

Karol May

SZEJK TARIK

Tytuł oryginału: Allah il Allah

Tłumaczenie: Ewa Szybawska

SPIS TREŚCI

W Kamiennym Puchu	2
Walka o oazę	34
Tarik godnym tytułu szejka	68

W Kamiennym Puchu

Już z daleka dostrzeżliśmy blask ogniska w obozie, wokół którego zebrani byli najstarsi członkowie plemienia na naradzie. Ponieważ przyrzekłem trzymać się z daleka od *dzemmy*, zatrzymaliśmy się tylko tak długo, jak długo było to konieczne, aby zadbać o zwierzęta, a potem wróciliśmy do zamczyska.

Blask migotającego ogniska rozświetlił na chwilę poważne twarze mężów o długich brodach. W ciszy nocnej można było usłyszeć tylko ich mamrot i odgłosy wydawane przez przeżuwające wielbłądy.

Ruina wyglądała jak wyludniona. Nigdzie nie spotkaliśmy żadnego człowieka oprócz warty na schodach. Badija i Hiluja przebywały zapewne w swoich pomieszczeniach. Tarik i Hilal brali udział w *dzemmie*, na którą zaproszona także starego szejka Beni Abbas z obowiązku uprzejmości w stosunku do ojca Khanum.

Wybraliśmy to samo miejsce między blokami skalnymi co wczoraj po naszym przybyciu i oddaliśmy się urokowi widoku, który roztaczał się na ognisko w *duarze* i tańczące wokół niego cienie. Ileż zmieniło się w ciągu tego dnia! Jeden z wielkich stracił swą moc; zakwitło też szczęście dwojga kochających się ludzi, którzy nigdy nie odważyliby się nawet marzyć o tak szybkiej zmianie w ich życiu.

U podnóża ruiny było bardzo spokojnie. Tak długo jak trwała *dżemma*, wszyscy musieli zachować ciszę. Ale wiedziałem, że jeszcze dzisiaj ta cisza zostanie zastąpiona głośną wesołością i pogodną krzątaniną świątecznego nastroju. Wypadało przecież nim uczcić wybór nowego szejka.

Dżemma przeciągała się dłużej, niż tego oczekiwano. Od początku byłem w stanie znacznie przyspieszyć jej decyzję. Wystarczyłoby, gdybym ogłosił radzie starszych plemienia, że mam zamiar ofiarować Beni Sallah trzysta sztuk broni palnej i amunicję. Byłoby to jednak niezgodne z moimi zasadami. Beni Sallah powinni zdecydować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i poczuciem wspólnoty ludzkiej, i to nie pod wpływem mojego daru. Ta broń miała być w pewnym sensie zapłatą za to, że potrafili oprzeć się podszeptom obcych wysłanników. A jeżeli

wbrew oczekiwaniom i niezgodnie z moim życzeniem zadecydują inaczej? Wtedy nikt i nic nie będzie w stanie zmienić mojej decyzji; nie otrzymają ani jednego karabinu. Wolałbym, aby zardzewiały w pustynnym piasku, aniżeli ich kule miałyby ranić i zabijać bezbronnych *fellahów*.

Wyglądało na to, że w końcu zapadła decyzja. Cienie przy głównym ognisku ożywiły się i ciemne postacie poruszały się rażno. Siedzieliśmy dalej spokojnie, bo byłem pewny, że wkrótce dowiemy się o przebiegu i decyzji *dżemmy*.

Szmer tuż nad naszymi głowami zdradził nam, że *muezin* zajął już miejsce w swojej „ambonie” i znów usłyszeliśmy znajome uderzenie w deseczkę i dźwięczny głos oznajmiający:

— *Bismillah errachmahn errachihm*, w imię najmiłosierniej-szego Boga! Niech będą mu dzięki, że dał mężom mądrość, aby potrafili rozróżnić zło i dobro! Chwalmy Ismaila Paszę, władcę Masr i El Kahira! Niech jego życie trwa tysiąc lat a w ślad za jego krokami niech podąża szczęście i błogosławieństwo! On jest naszym przyjacielem a my jego przyjaciółmi! Kto jest przeciw niemu, jest też przeciw nam i powinien zakosztować naszej zemsty. Tak zadecydowali najstarsi w czasie *dżemmy*. Posłuchajcie wy mężowie i wy kobiety! To Allach jest mądrością i daje rozum. Chwalmy go, bo to on jest Bogiem a Mahomet jest jego Prorokiem!

Po tym obwieszczeniu w iście mahometańskim stylu wszyscy w *duarze* wiedzieli dokładnie jak miały się sprawy. Decyzja była więc zgodna z moją radą i wszystkich rozsądnych w *duarze*.

Zaledwie przebrzmiały słowa *muezina*, usłyszeliśmy wołanie toczące się wśród kamieni:

— Efendi, gdzie jesteś? Warty doniosły, że wróciłeś!

Był to głos Tarika. Odpowiedzieliśmy na jego wołanie i już wkrótce zza rogu wyłoniły się postacie mężczyzn. Był to Hilal i nowy szejk.

— Czy zrozumiałeś efendi, co ogłosił *muezin*? — zapytał Ta-rik, gdy był już blisko.

— Tak, głos rozsądku zwyciężył. Życzę ci dużo szczęścia.

— Dziękuję! Ale niewiele brakowało, a przegralibyśmy.

— A więc jednak!

— Tak. Różnice zdań były bardzo duże i doszło do ostrych sporów. Niektórzy, na których głosy liczyłem, przeszli na stronę przeciwnika.

— Aha! Chyba nawet wiem dlaczego!

— Ja też wiedziałem, ale najpierw nie mówiłem nic. Dopiero gdy szala zwycięstwa przechylała się już na naszą niekorzyść, wstałem i zarzuciłem niektórym z rady starszych, że

dali się przekupić obcym agentom. Moje oskarżenie było prawdziwą bombą. Oczywiście, obwinieni zaprzeczyli wszystkiemu, ale jako dowód przeciwko obcym podałem, że chcieli przekupić również ciebie za sumę pięćdziesięciu tysięcy franków.

— Czy to pomogło?

— Początkowo nie bardzo. Obcy określili moją wypowiedź jako bezczelne oszczerstwo.

— Ale odparłeś ich zarzut?

— Tak, ostrym tonem zaproponowałem *dżemmie*, aby na dowód moich słów poprosić ciebie, żebyś zaszczycił zebranie swoją osobą.

— I dopiero to zdenerwowało obcych jeszcze bardziej! — zaśmiałem się.

— Dokładnie, jak powiedziałeś. Zaraz zgłosili *veto* przeciw sprowadzaniu na *dżemmę* człowieka, którego cała ta sprawa, jak stwierdzili, nic nie obchodzi. Dopiero gdy odrzekłem, że również oni są obcymi i zaledwie tolerowani na naszej *dżemmie*, zaniemówili. W końcu stwierdzili, że nie muszą posyłać po ciebie, ponieważ i tak nie będą wypowiadać się co do tego zarzutu.

— I to wprawilo z pewnością *dżemmę* w zdumienie?

— Oczywiście! Pomyśl sobie, dwieście tysięcy piastrow! Jakież zyski musi obiecywać sobie ten, który oferuje taką sumę, jeżeli zgodzilibyśmy się działać zgodnie z jego wolą! Tak myślał każdy z rady.

— A co z przesłaniem szejka z Dżarabub? Czyżby pozostało bez echa?

— Nie. Odczytanie listu sidi Mahdi zostawiliśmy na koniec. Hilal opowiedział o swojej podróży, którą zaplanował za zgodą Khanum i gdy później usłyszeli słowa „Wielebnego”, nikt się już nie sprzeciwiał. Odnieśliśmy zwycięstwo, bo nawet ci, którzy mieli zamiar głosować przeciw nam, nie mieli już odwagi. Zaczęli się bać!

— Pozwól, że jeszcze raz ci pogratuluję. Po raz pierwszy dziś wystąpiłeś w swojej nowej roli i należą ci się słowa pochwały. A po czyjej stronie stał Esra?

— Po naszej. Czasami miałem wrażenie, że chciał coś powiedzieć, co bardzo leżało mu na sercu. Przynajmniej tak mi się wydawało.

— No cóż, być może miał ci coś ważnego do powiedzenia, ale nie mógł się odważyć.

— Mówisz tak szczególnym tonem. A kogóż miałby się bać!

— Mnie!

— *Maschallah*] Jak to?

— Właśnie tak jak słyszysz. Nie odważył się powiedzieć ci tego, bo ja mu zabroniłem.

— Twoje słowa przestały być dla mnie zupełnie zrozumiałe. Czyżbyś ...

— Czy nie byłoby lepiej, abyś Śam poszedł teraz do Esry i zapytał go, co przed tobą zataił? Mój wczorajszy zakaz nie jest już obowiązujący i obecnie może mówić. Gdzie go teraz znajdziesz?

— U Khanum. Wysłałem go do niej, aby powiadomił ją o decyzji rady starszych. W tym czasie Hilal i ja chcieliśmy porozmawiać z tobą.

— Więc i ty udaj się do niej, abyś mógł usłyszeć wiadomość, która z pewnością cię ucieszy. Nie zwlekaj już ani chwili dłużej.

— *Allah il Allah!* Efendi, czy nie możesz powiedzieć mi tej radosnej wieści już teraz? — naciskał.

— Przenigdy! — uśmiechnąłem się z zadowoleniem. — Czy znasz bajkę z „Tysiąca i jednej nocy” o górze Sezam? A więc właśnie Esra posiada klucz do Sezamu. Pospiesz się więc i każ mu sobie go dać!

Mówiąc to odwróciłem się zostawiając ich samych. Nie pozostało im nic innego, jak pójść za moją radą.

— Sidi — zaśmiał się Halef, gdy już odeszli — zobaczysz, jak szybko obaj, albo przynajmniej jeden z nich, znów do nas wróci, żeby nas zaprowadzić do Khanum.

Halef był obecny przy wczorajszej rozmowie z Esrą, więc wiedział o naszej tajemnicy. Jego przepowiednia się spełniła. Nie upłynęło jeszcze pięć minut od odejścia braci, gdy z ciemności wyłoniła się postać Hilala.

— Efendi, szejki i Khanum proszą cię, abyś do nich przyszedł. Chcą dowiedzieć się od ciebie czegoś więcej. Na Allacha, panie! Sprowadziłeś radość do naszego obozu.

Oczywiście, spełniliśmy jego prośbę i wkrótce staliśmy przed znanym nam już pomieszczeniem, w którym mieliśmy się spotkać z Badiją, Hiliją, Tarikiem, starym Esrą i szejkiem.

Już przy wejściu powitano nas gradem pytań, na które było niemożliwym od razu odpowiedzieć, i na które uśmiechnąłem się tylko. Ale gdy już usiedliśmy na poduszkach, zaczęliśmy opowiadać.

Czytelnik moich opowiadań z podróży wie aż za dobrze, że Halef namiętnie i przy tym bardzo ładnie potrafi opowiadać. A ja z kolei nigdy nie mogłem się nadziwić i objąć umysłem jego wspaniałych zdolności pod tym względem i byłem coraz bardziej zadziwiony słysząc, jak nasze przeżycia przedstawia w zupełnie nowym i zupełnie nieznanym mi świetle. Chociaż nie

zawsze byłem zgodny z jego przedstawianiem faktów, to muszę przyznać, że jego pozostali słuchacze śledzili każdy ruch jego ust i nie zauważali zupełnie przesady w jego opowiadaniach, a co więcej, uważali to nawet za coś zupełnie oczywistego. Orient — to właśnie również pod tym względem zupełnie inna mentalność niż Europejczyków.

— Więc jest to tajemnica przysypanej przez piach karawany! — przerwał Hilal milczenie, które nastąpiło po opowiadaniu Ha-lefa. — Kto by pomyślał!

— Wiedziałaś o tym już od dawna — szepnęła Hiluja.

— I nie powiedziałaś o tym ani słowa? — spytał Hilal z wyrzutem.

— Nie mogłam. Nasz efendi, któremu tyle zawdzięczam, zabronił mi — odrzekła dziewczyna czerwieniąc się.

— Tak jest. — potwierdziłem. — Wtedy jeszcze sam nie wiedziałem, kto powinien dostać tę broń. Musiałem więc zażądać zachowania tajemnicy.

— Ale teraz możesz już o tym mówić? — zapytał Tarik.

— *Na 'am*, tak jest! Wiem, że ta broń nie dostanie się w niepowołane ręce.

— Czy sądzisz, że potrafisz odnaleźć to miejsce, gdzie zasypało karawanę?

— Jestem o tym przekonany. Dokładnie oznaczyłem je, a kształt wydm odrysowałem w swoim notesie. A zresztą sądziłem, że Hilal, który lepiej zna pustynię niż ja, odnajdzie to miejsce z łatwością.

— Masz rację — potwierdził Hilal. — Byłbym w stanie odnaleźć je nawet w nocy, bo to tam zostałem napadnięty przez obcych.

— Więc nie będzie to trudne? — zapytał szejk.

— Daj mi tylko dziesięciu jeźdźców na wielbłądach i dziesięć wielbłądów bez jeźdźców. I jeszcze kilka mat, które są konieczne, aby ludzie nie wpadali do głębokiego piachu. A ja ręczę za to, że karabiny wraz z nabojami będą odkopane w kilka godzin! — zapewniłem.

— Czy chcesz tylko dziesięciu ludzi? — zadziwił się Tarik. — Dam ci ich pięćdziesięciu, a najchętniej wyruszyłbym natychmiast sam z całym plemieniem, aby wydobyć ten skarb. Na Allacha! Trzysta karabinów. Nie mogę w to uwierzyć!

— Na pewno uwierzysz, gdy zobaczysz ten skarb już wydobyty. Ale nie musisz stawiać na nogi całego plemienia. Dwudziestu ludzi i dziesięć wielbłądów jucznych to aż za dużo.

— Kiedy powinniśmy wyruszyć? Jak sądzisz?

— Stąd do miejsca tragedii jest cały dzień jazdy. Jeżeli wyruszylibyśmy dopiero jutro, to nawet jadąc na wypoczętych zwierzętach, nie dojedziemy tam przed zapadnięciem zmroku i musielibyśmy czekać z odkopywaniem broni aż do następnego ranka.

— *Ojazik!* To nie byłoby korzystne!

— Tak! Dlatego byłoby najlepiej już teraz wybrać ludzi i zwierzęta, abyśmy mogli zaraz po północy wyruszyć! ■

— Nie będzie to możliwe ze względu na uroczystości!

— Dlaczego nie? Ogłoś więc o co chodzi i obiecaj, że wydasz dla uczestników karawany po ich powrocie wspaniałe przyjęcie, a zapał ich będzie tak duży, że na pewno znajdziesz więcej ludzi niż potrzebujesz.

— Na pewno tak będzie! A czy dla ciebie nie będzie zbyt uciążliwym, aby po tak długiej podróży...

— Ja? Z mojej osoby musicie niestety zrezygnować. Broń wydobędą na pewno twoi ludzie sami, a poza tym czuję się rzeczywiście zmęczony. Zresztą ta sprawa będzie bezpiecznie kierowana przez twojego brata Hilala.

— Ale czy na pewno Hilal odnajdzie to miejsce?

— Możesz być tego pewny! Zatrósz się tylko o to, aby karawana wyruszyła jak najszybciej, aby przybyła na miejsce jeszcze przed wieczorem. Mogą załatwić wszystko do zapadnięcia zmroku i już na następny dzień będziesz w posiadaniu broni, która może zdecydować o przewadze wszystkich plemion pustyni.

— Niech się tak stanie — przytaknął mi Tarik z zapałem. — Zaraz zejść do duaru, aby ogłosić wszystko. *IaAllah, ia nabi, ia suruhr*, Na Allacha! Na Proroka! Cóż za radość!

I szybko odszedł.

A my nie czekaliśmy już na jego powrót; powoli podążyliśmy za nim, aby wziąć udział w dzisiejszej uczcie. Jeszcze raz mogłem delektować się tym jedynym w swoim rodzaju życiem i krzątaniną obozu Beduinów, które chociaż nie były dla mnie czymś nowym, zawsze działały na mnie jak magnes. Pod pojęciem „my” mam oczywiście na myśli tylko mężczyzn. Panie — mianowicie Khanum i Hiluja, pozostały w swoich pokojach. A gdy doszliśmy już w dół do *duaru*, Hilal wyczekał stosowną chwilę, tak że mógł ze mną porozmawiać w cztery oczy.

— Efendi — zaczął. — Szkoda, że nie chcesz brać udziału w naszej wyprawie po broń.

— Dlaczego? Czy obawiasz się, że nie odnajdziesz tego miejsca?

— Nie, to nie to. Nie chciałbym tylko, aby cały sukces, którego ty jesteś autorem, był moim udziałem.

— Masz rację, to będzie sukces i to duży. I to jest właśnie powodem, dlaczego wysyłam cię samego.

— Nie rozumiem.

— Zaraz to zrozumiesz. Czy nie sądzisz, że gdy wrócisz jako prowadzący karawanę, która w oczach Beni Sallah jest prawdziwą karawaną skarbów, znacznie wzrośnie twoje uznanie również w oczach szejka Beni Abbas, na którego opinii na pewno ci bardzo zależy.

— *Allah il Allah!* Więc to tak wymyśliłeś.

— Tak, musisz jutro zasłużyć na ostrogi. Tak właśnie mówi się u nas, w kraju zachodzącego słońca o młodym bohaterze, który się szczególnie wyróżnia. Dzięki temu zbliżysz się krok do Hi-lui.

— *Maschallah!* To prawda! Nie pomyślałem o tym! Dziękuję ci, panie!

— Jeszcze coś! Chcę ci dać wskazówkę. Wiatr oczywiście dawno już zatarł wszelkie ślady pozostawione przez nasze stopy i wielbłądy, a przecież nie jest całkowicie wykluczone, że nie będziesz mógł odnaleźć miejsca pogrzebanej karawany lub przynajmniej nie znajdziesz go natychmiast. Szukaj wtedy bambusowej trzciny, którą wetknąłem w grzebień wydmy. Ona pokaże ci drogę i będziesz mógł ją zauważyć już ze znacznej odległości. Resztę dowiedziałeś się już z opowiadania mojego sługi.

— Czy będę potrafił od razu odgadnąć, gdzie mamy zacząć kopać?

— Myślę, że tak. Nie sądzę, aby wiatr naniósł w tak krótkim czasie tyle piasku, że mogły zrównać się z terenem. Jestem pewien, że wyraźnie się odznaczają.

— Więc wiem już wszystko. Teraz pospieszę do brata, aby omówić z nim przygotowania do wyprawy. *Allah jisal limak*, niech Allah zostanie z tobą!

Hilal odszedł. Również szejka Beni Abbas oddalił się.

Odszukał swoich wojowników, aby wraz z nimi rozkoszować się radosnym świętem. Pozostał więc tylko stary Esra, aby mnie i Halefowi dotrzymywać towarzystwa.

Cały *duar* tętnił życiem. Khanum poświęciła najdorodniejsze sztuki ze swoich stad i nie poskapiła też innych zapasów. Arabowie są umiarkowani w jedzeniu i potrafią żyć skromnie. Ale gdy już urządzają ucztę, to jedzą porządnie i udawadniają, że ludzki żołądek potrafi pochłonąć ilości, które nasyciłyby nawet olbrzymiego drapieżnika.

Na placu u podnóża ruiny zebrało się tylu ludzi, ile tylko mógł ten plac pomieścić. Zasiadali oni wokół olbrzymiego rożna, a gdy dziesięciu nasyconych już odchodziło, to na ich miejscu zjawiało się dwunastu innych. Śpiewano, wydawano radosne okrzyki i grano na jednostrunowych skrzypkach. Gdy przechadzaliśmy się wśród namiotów zauważyliśmy wkrótce skutek ogłoszenia przez Tarika wiadomości o karawanie. Z pewnością sfermentowany sok z daktyli uczynił w ich głowach już swoje i podniósł świąteczny nastrój Beduinów, ale ten nastrój został teraz zwielokrotniony dobrą wiadomością, która rozprzestrzeniła się po *duarze* z prędkością wiatru. Trzysta sztuk broni najnowszego typu, a nie staromodnych strzelb, które stało do dyspozycji synów pustyni — to osiągnięcie, które przyprawiało o zawrót głowy nawet najbardziej szacownych członków plemienia.

Nie mogłem temu zapobiec, że głośnie, radosna wrzawa Beduinów zawładnęła też moją osobą. Byłem dla nich *sahhar*, czarodziejem, któremu zawdzięczali to nieoczekiwane szczęście, byłem też przyjacielem i dobroczyńcą całego plemienia. Słyszałem ciche i głośnie pochwalne głosy. A nawet — naprawdę nie mogłem przecież tego źle zrozumieć — usłyszałem koło jednego z ognisk, jak jakiś mężczyzna mówił do swojego sąsiada:

— *Challi balak! Bigi abul alfa sa'ika!* Spójrz! Nadchodzi ojciec tysiąca błysków!

„Ojciec tysiąca błysków"! Zupełnie nieźle! Moja sława wśród tak wymagających synów pustyni rosła z szaloną prędkością. Również towarzyszący mi mężczyźni usłyszeli moje nowe imię. Esra zapytał mnie:

— Czy rozumiałeś, efendi, co powiedział ten mężczyzna?

— Tak!

— I czy wiesz również, dlaczego cię tak nazwali?

— Oczywiście — zaśmiałem się. — Mają na pewno na myśli błysk z trzystu karabinów szybkostrzelnych. Na pewno właśnie to przekształciło proste „Ojciec błysku" w „Ojca tysiąca błysków".

— *Tamahm*, masz rację! — wtrącił się Halef. — I weź pod uwagę, sidi, że jutro będzie twoim imieniem rozbrzmiewał cały *duar*, a za miesiąc można j e będzie usłyszeć przy wszystkich ogniskach i namiotach Beni Arab daleko poza granicą Masr, a chwała twojego imienia przejdzie na twoje dzieci i wnuki.

— *Ichlas!* Przestań! — sprzeciwiłem się z uśmiechem. — Mylisz się! Gdy mnie nie będzie już wśród Beni Sallah moje imię wnet zostanie zapomniane, a tam dokąd zmierzam, na pewno nikt nie będzie nic wiedział o „Ojcu tysiąca błysków".

— *Malesch*, nic nie szkodzi. Już ja o to zadbam!

— Nie, nie zadbasz! — przerwałem mu ostro, w ogóle nie troszcząc się o to, że Esra stał się świadkiem tej sceny — Zabraniam ci stanowczo używać tego imienia, gdy tylko wyjedziemy poza teren Beni Sallah. Znasz moje zdanie co do tej sprawy. Jeżeli chcesz ze mnie uczynić sławnego człowieka, to Kara Ben Nemzi jest tak samo przydatne, jak twój „Ojciec tysiąca błysków”.

Zdarzało się niezmiernie rzadko, że w ten sposób łąjałem Ha-lefa. Dlatego zamilkł zmrożony moim tonem.

Jednak moje pojawienie się w *duarze* nie zostało wszędzie przyjęte radośnie i z zachwytem. Niektóre oczy spoglądały w moim kierunku ponuro. Zwolennicy Falehda nie mogli tak szybko pogodzić się z faktem, że pokrzyżowałem ich plany. Przy jednym z namiotów przyjęto mnie nawet z otwartą wrogością.

Zauważyłem Tarika rozmawiającego z dwoma mężczyznami. Gdy podszedłem bliżej rozpoznałem Sadik Paszę i Aksakowa. Rozmowa, jak zauważyłem po nerwowych gestach i minach, nie była zbyt przyjacielska. Gdy tylko Rosjanin mnie zauważył, jego twarz zazieleniła się ze złości.

— Oto idzie, ten kłamca i zdrajca — zawołał do swojego towarzysza.

— Czyżbyś mówił o mnie? — spytałem spokojnie.

— Tak! O tobie!

— Musisz cofnąć te obraźliwe słowa.

— Ani mi to w głowie! Czyżbyś zaprzeczył, że jesteś wysłannikiem któregoś z europejskich rządów?

— Tak.

— Tak? — szydził Rosjanin. — Więc powiedz mi, jeżeli nie jesteś wysłannikiem ani Francji, ani Niemiec i jak wyjaśnić to, że taki zwyczajny turysta może ofiarować trzysta sztuk broni.

— Ach, więc o to chodzi — odrzekłem. — Można przecież w różny sposób wejść w posiadanie broni, nie tylko będąc w służbie jakiegoś państwa.

— Widzę tylko jedną taką możliwość, ukradłeś tę broń!

Nawet ta obelga nie wyprowadziła mnie z równowagi. Rosjanin pokazał teraz swoją prawdziwą twarz. I tak od razu go rozszyfrowałem i wiedziałem nie od teraz, że jego uprzejmość podczas naszej ostatniej rozmowy była tylko fortelem dyplomaty. Potrafił teraz mówić doskonale po arabsku. Jego wcześniejsza wypowiedź, że niezbyt dobrze porozumiewa

się tym językiem, była więc kłamstwem. Wymyślił je zapewne, aby usłyszeć jak mówię po francusku, a na tym podstępnie uzyskanym dowodzie chciał oprzeć swoją sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem tezę, że jestem francuskim szpiegiem.

— Istnieje też druga możliwość — odrzekłem ze spokojem na jego ostatnią obelgę. — Mogłem tę broń znaleźć.

Aksakow wybuchnął głośnym śmiechem.

— Znaleźć! Czy słyszałeś Sadik Efendi! On miałby tę broń znaleźć! Tak jak gdyby można było znaleźć trzysta karabinów tak po prostu ot, jak miedziaka, który leży w ulicznym ścieku.

— Nie wierzysz mi? No cóż. Możesz się o tym sam przekonać. Jeszcze tej nocy wyruszy karawana w głąb pustyni, aby przywieźć tę broń. Możesz po prostu jechać z nią, o ile pozwoli ci na to szejk.

— Tak, o ile pozwoli ci na to szejk — wtrącił się Tarik. — Ale ja nie pozwalam!

— Co zrobiłbyś, gdybyśmy pomimo twojego zakazu dołączyli do twoich ludzi? — zapytał szyderczo Rosjanin.

— Użyłbym siły.

— W stosunku do nas? Gości?

— Uważam was za swoich gości tylko tak długo, jak długo znajdujecie się na terenie obozu Beni Sallah.

— Później już nie?

— Nie!

— Jakim prawem?

— Prawem wodza Beni Sallah! Nie zasłużyliście na jakiegokolwiek względy! Pomyśl efendi, ci dwaj mężczyźni chcą nas obrazić i wyjechać jutro wraz z nadejściem dnia, chociaż tak długo korzystali z gościnności naszego plemienia. A przecież wiesz, że prawo pustyni nakazuje porę odjazdu na trzy godziny przed zachodem słońca, dopiero po popołudniowej modlitwie *asr*.

Mogłem z łatwością zrozumieć oburzenie szejka, bo znałem zwyczaje tego kraju, ale jako Europejczyk nie musiałem go podzielać. Dlatego przemilczałem jego wywód.

— Mamy prawo decydować o własnych poczynaniach i żądamy niełamania tego prawa — odrzekł z uporem Rosjanin. — Wyruszamy jutro rano. Nie musisz się niepokoić, nawet na myśl nam nie przyjdzie wałęsać się po pustyni. Nie wierzymy w ani jedno słowo tej bajki o znalezionej broni.

— Czy w to wierzysz czy nie, to nie ma większego znaczenia — powiedziałem teraz specjalnie lekceważącym tonem. Zacząłem jednak powoli tracić cierpliwość. — Istnieją ludzie, którzy są tak niepoohamowanie zuchwali, że nie docierają do nich żadne życzliwe uwagi.

— Czy pod pojęciem „zuchwały” masz na myśli nas? — spytał grożąco Rosjanin.

— Tak, was!

— Nie pozwolimy się obrażać!

— Tylko bez tych górnolotnych słów! To ty pierwszy nazwałeś mnie zdrajcą i oszustem. Jesteśmy więc kwita. Chcecie uważać się za dyplomatów? To zakłada oprócz mądrości i zręczności także gruntowną znajomość politycznych i gospodarczych stosunków. A tego wam brakuje. Podajecie się za wysłanników cara i sułtana, ale ja dalej nie mogę zrozumieć, jakie korzyści mogłaby mieć Rosja czy Turcja z pogłębienia trudności kedywa. A zwłaszcza padyszach, który ryzykuje tylko, że nie otrzyma już rocznej daniny.

— Twoje słowa są po prostu śmieszne. Cóż ty możesz wiedzieć o polityce?

— Może nawet więcej niż wy! Czyżby słońce pustyni wypaliło wam rozum, że sądzicie, iż naprawdę będziecie zbierać żniwo z tego ziarna, które tu chcecie zasiać⁷ Ani Rosja ani Turcja, dla których to państw podobno prowadzicie swoją misję, ani Niemcy czy Francja, której ja miałem być wysłannikiem, nie zbiorą tego żniwa tylko ktoś zupełnie inny.

— Cóż za mądry z ciebie człowiek — szydził Aksakow. — Czyżbyś mógł panie zniżyć się do naszego poziomu niewiedzy i pozwolić nam się dowiedzieć, kto jest tym innym.

— Zostaw tę ironię dla siebie, nie świadczy to zbyt dobrze

o twojej inteligencji, gdy zaczekasz, aż ci odpowiem. Mam na myśli Anglików.

— Anglików! — zawołał wzburzony. — Jak do tego doszedłeś?

— No cóż. Sam dzisiaj powiedziałeś, że to Anglia należy do tych państw, które mają co do Egiptu pewne żądania i życzenia.

I możesz być tego pewien, że Anglia je ma i to w dużym stopniu. A nawet chce bronić tutaj żywotnych interesów swojego imperium, bo przecież właśnie przez Kanał Sueski prowadzi najkrótsza droga do Indii.

— O tym wiemy. Ale właśnie Anglia wystrzegalaby się niszczenia kedywa. Ma ona przecież zbyt duże finansowe i gospodarcze powiązania w Egipcie.

— Nie ma sensu dalej się o to spierać. Ale zdradzę ci jeszcze tylko to, że broń, którą rzeczywiście znalazłem na pustyni i podarowałem Beni Sallah pochodzi z Anglii i była przeznaczona dla plemienia, które jest uważane za rabusiów pustyni.

— Czyżbyś mówił prawdę?

— Tak. Są to wielostrzałowe karabiny najnowszego typu. Czyżbyście sądzili, że Anglicy narażaliby się na takie wydatki dla innych? Podburzacie narody i kraje przeciw sobie, aby mieć z tego małejki zysk dla swoich krajów. A przy tym kupczeniu me zauważacie nawet, że za wami stoi ktoś inny, który czeka cierpliwie na moment, aby zabrać wam wasz łup i schować go w swojej kieszeni. Jakże jesteście wszyscy ślepi, gdy nie widzicie, że błogosławieństwem dla ziemi jest tylko pokój między mieszkającymi na niej narodami. Zapamiętajcie jedno: nad Nilem nie będzie panował ani Turek ani Francuz ale Anglik!

Tym samym odwróciłem się od nich i zostawiłem ich samych. Trochę się zdenerwowałem i byłem bardziej gwałtowny, niż zazwyczaj. Ale te podstępne, a jednak możliwe do przejrzenia zapędy egoizmu i bezwzględności tych mężczyzn, którzy beztrąsko deptali po szczęściu obcych narodów, wzbudziły we mnie nieopisane obrzydzenie, i musiałem się bardzo wyteńczyć, aby jeszcze panować nad swoimi odruchami. Gdybym rozmawiał z nimi w innym miejscu, a nie w *duarze*, gdzie musieli być traktowani jak goście plemienia, to porozmawiałbym z nimi inaczej.

— Efendi, pokonałeś ich w pięknym stylu — wyraził mi swoje uznanie Esra. — Dopiero teraz przejrzałem grę tych ludzi. Biada tym, których los spoczywa w ich rękach!

Przez pewien czas przechadzaliśmy się między namiotami i przyglądaliśmy się wymarszowi karawany, która miała wydobyć zakopany skarb, aż w końcu, na pewno było już dawno po północy, pożegnaliśmy się ze starym Esrą, aby udać się na spoczynek.

Gdy wyciągnąłem swoje zmęczona członki na dywanie, ogarnęło mnie miłe uczucie samozadowolenia, że zasłużyłem sobie na odpoczynek po wszystkich przeżyciach tego dnia. Byłem też przekonany, że większość mieszkańców obozu ciepło wspomina przeżyty dzień, o ile *lagmi*, którym się do woli rozkoszowali, nie zmaćło ich umysłów.

Ajeżeli w obozie mimo wszystko byli niezadowoleni, to z pewnością należał do nich mój mały Halef To on rzucał się i przewracał z boku na bok, jak gdyby miał do rozwiązania bardzo trudną zagadkę, która nie tylko przyprawiała go o ból głowy, ale nawet całego ciała. Zauważyłem, oczywiście, że coś mu leży na sercu, o czym chętnie porozmawiałby ze mną, ale byłem nieugięty i udawałem, że zasnąłem. Byłem zmęczony i chciałem zaznać trochę spokoju. Wyglądało na to, że „bóle” szarpiące jego ciało wzmogły się; wywnioskowałem to z tego, że jego jęki i postękiwania następowały teraz w coraz to krótszych odstępach. W końcu nie mógł już wytrzymać i zapytał:

— Panie, czy już śpisz?

— Tak — odpowiedziałem krótko unikając rozmowy.

— *Hamdulillah!* Więc nie możesz wysłuchać, o czym koniecznie chciałem ci dzisiaj opowiedzieć, i nie muszę się już bać, że znów mnie złajasz, jak poprzednio. Muszę ci powiedzieć, że jestem dzisiaj bardzo z ciebie niezadowolony.

Pauza. Ponieważ nie odpowiedziałem, mówił dalej:

— Nie uważam się tylko za twojego sługę ale także za twojego obrońcę i przyjaciela. Sidi, jest moim najszczerzym życzeniem, aby widzieć cię opływającego w dostatki, i wszystko mnie wewnątrz aż pali, gdy widzę, jak niweczysz moje zamiary.

Jeszcze raz pauza. A po chwili powtórzyło się to samo pytanie:

— Sidi, czy wciąż jeszcze śpisz?

— Tak!

— *Kuwajjis*, wyśmienicie! Mogę więc mówić dalej! Gdybyś tylko chciał, mógłbyś być teraz szejkiem i przywódcą sześciu tysięcy Beni Sallah. Nawet nie da się ogarnąć myślą tych niezrównanych zwycięstw, które mógłbyś mieć na swoim koncie z tymi dzielnymi wojownikami i tą bronią, którą ich obdarowałeś. Moglibyśmy wszystkim graniczącym plemionom dać poczuć, jak ostre są szpice naszych lanc i zobaczyć błyski naszych strzelb. Mógłbyś wywalczyć sobie tytuł Sułtana Pustyni a nawet Padyszacha całej Sahary i zmusić nawet Paszę Egiptu i Wielkiego Władcę z Istambułu, aby rządili zgodnie z twoją wolą. Gdy później, otoczony chwałą, wracałbyś z wypraw obładowany łupami, wychodziłaby ci naprzeciw władczyni twojego kobiecego namiotu, piękna jak anioł z błękitnych niebios, i przygotowywałaby dla ciebie *akl en nasr*, ucztę na cześć zwycięstwa. Ale cóż, stało się inaczej! Moja nadzieja podobna była do zżartego przez robaki daktyla, którego teraz zrzucił wiatr z drzewa. Laury zwycięstwa ozdobią skronie innego, a twój harem pozostanie pusty; bo ty nie zauważasz kobiet, które są stworzone przez Allacha ku rozkoszy mężów. Żadna kobieta nie przygotowuje ci kuskussu, a dziury w twym namiocie rozmnożą się do niezliczonych ilości. A ty sam będziesz jak samotnie rosnąca wierzba, która smutna spuszcza ku ziemi swoje gałęzie i musi jej wystarczyć to, że sama podziwiać się może w lustrze stawu, bo nie będziesz miał ani dzieci, ani wnuków, którzy mogliby śpiewać o twych czynach i cię wspominać.

Po dłuższej przemowie Halef zaczerpnął głęboko oddech i zapytał ponownie:

— Sidi, czy rzeczywiście wciąż jeszcze śpisz?

— Tak!

— Więc mogę ci wyznać szczerze to, czego nieusłyszysz; nie możesz się więc o tym dowiedzieć. Wiesz, że już się pogodziłem z tym, że nic nie wyszło z ożenku z Hilują.

Rozmyślałem jednak o Badii. Może nawet dobrze, że tak się stało. Była władczynią pustyni i tak, jak słyszałem, rządziła nie tylko plemieniem, ale nawet jego dawnym władcą. Czy nie sądzisz, że tak od razu zrezygnowałaby z władzy, którą dawna miała? Nie sądzę. Czy też jesteś innego zda... Na Allacha! Ty przecież śpisz i nie możesz mi odpowiedzieć. Ale przysięgam ci na brodę Proroka, że jeżeli chodzi o innego mężczyznę, to nie miałbym nic przeciw temu, jeżeli władczyni namiotu kobiet byłaby jednocześnie władcą i szejkiem swojego męża. Ale tobie, sisi, życzę czegoś innego. Na Allacha i Proroka! Mówię to serio! Jestem przecież twoim przyjacielem i obrońcą, którego dusza bardzo by ucierpiała, gdyby „Ojciec tysiąca błysków” w swoim własnym namiocie stał się *Ibn el alf dihk* czyli „Synem tysiąca nieszczęść”.

Halef milczał dłuższą chwilę, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi z mojej strony. Ale gdy nie doczekał się na nią, mówił dalej:

— Dlatego pocieszam się wciąż, że Tarik złowił Khanum dla siebie. Ale gdy tym razem udało ci się wszystkie moje plany obrócić wniwecz, to nie wyciągaj z tego wniosku, że jesteś zwycięzcą a ja pokonanym. I tak nawrócę cię jeszcze na naukę Proroka, czy tego chcesz, czy nie, bo jestem Hadschi Halef Omar Ben Hadschi Abul Abbas Ibn Hadzi al Gossarah.

Potem usłyszałem szmer, który świadczył o tym, że Halef odwrócił się w drugą stronę, a głębokie westchnięcie ulgi, które dotarło do mnie z miejsca, gdzie leżał, przekonało mnie, że dzisiaj nie muszę się go już obawiać.

Mogłem więc w końcu zasnąć.

* * *

Następny rano rozkwitł swą promienistą urodą. Od razu po przebudzeniu podniosłem się z posłania i wyszedłem w zalaną słońcem przestrzeń. Już wczoraj zauważyłem, że głównym źródłem wody dla oazy był mały, zadaszony palmami staw. Jego niewielka część była odgrodzona płotem z namiotowych kijów. Wyznaczała ona miejsce kąpieli Beni Sallah, które miało zaledwie kilka metrów wielkości, ale wystarczająco dużo dla moich potrzeb. Właśnie tam się udałem. Miałem szczęście; wczesna pora spowodowała, że byłem dzisiaj pierwszym i jedynym gościem kąpieliska. Gdy zmyłem z siebie kurz pustyni, wyszedłem z wody jak nowonarodzony i powróciłem do ruiny.

Ta tak odświeżająca, poranna kąpiel spowodowała, że z ochotą spożyłem śniadanie w towarzystwie Khanum. W porannym posiłku brali też udział jej ojciec i siostra.

Rozmowa dotyczyła wydarzeń ostatniego dnia. Poruszono też temat podróży szejka Beni Abbas.

— Przybyłeś z południa, więc z pewnością wędrowałeś przez tereny Beni Suef, wrogów Beni Sallah? — dopytywałem się.

— A jak sądzisz, mój przyjacielu? Nie, nie odważyliśmy się na to, zrobiliśmy łuk wokół ich terenów.

— Jak myślisz Badijo — drążyłem dalej ten temat, — czy Beni Suef wiedzieli o broni, którą mieli otrzymać?

— *Maluhm*, oczywiście!

— Miałem na myśli, czy wiedzieli o terminie, w którym powinna przybyć karawana?

— Jestem o tym przekonana.

— Pomyśl więc, co zrobiłabyś na ich miejscu, gdybyś oczekiwała karawany, która wiozłaby tak cenne dla ciebie rzeczy?

— Wyruszyłabym jej na spotkanie.

— Właśnie to chciałem usłyszeć. Tym bardziej, że karawana miała przebyć tak niebezpieczną drogę. Czy sądzisz, że Beni Suef nie podjęli żadnych środków ostrożności?

— Z pewnością nie!

— A w którym kierunku, biorąc pod uwagę obóz Beni Suef, musieliby wyruszyć?

— Na północ.

— A jakie plemię znajduje się dokładnie na północ od pastwisk Beni Suef?

— Wiesz przecież tak samo dobrze jak ja, Beni Sallah. *Ma-schallah!* Teraz już wiem do czego zmierzasz! Sądzisz, że pewna ilość wojowników Beni Suef być może jest już w pobliżu naszego obozu!

— Nie tylko być może, ale jest na pewno!

— Czy to w czymś przeszkadza?

— Niezbyt przejęłaś się tą wiadomością.

— Nie. Ale żyjemy każdy dzień zagrożeni ze strony Beni Suef, tak jak oni ze strony naszego plemienia. Przez to przyzwyczailiśmy się tak do niebezpieczeństwa, że nie mówimy nawet o nim.

— Więc pozwól, że ja to powiem! Wyciągnę nawet z twoich słów pewne wnioski. Wasi wrogowie mają otrzymać trzysta strzelb. Jak sądzisz, przeciw komu będą one zwrócone w pierwszej kolejności?

— *Allah il Allah!* Teraz rozumiem!

— Cóż się więc stanie, jeżeli Beni Suef nie tylko wysłali kilku swoich wojowników, ale że wyruszyło całe plemię, aby gdzieś na pustyni przejąć broń i napaść na waszą oazę?

Oczy Badiji rozszerzyły się z przerażenia.

— Efendi, napelniłeś moją duszę przerażeniem.

W tym momencie wszedł do pomieszczenia szejka. Na jego czole zarysowała się zmarszczka wyrażająca niezadowolenie.

— Te niewdzięczne psy! — zawołał rozzłoszczony. — Tak jak powiedzieli już z nadejściem świtu opuścili *duar*, nawet się nie pożegnawszy! Na Allacha! Mam ochotę ich dogonić i nauczyć, co znaczy nakaz uprzejmości w stosunku do udzielających gościny!

— Masz na myśli obcych wysłanników? — zapytała Kha-num. — Pozwól im spokojnie odjechać! W którym udali się kierunku?

— Na wschód.

— Pozbyliśmy się ich. Nie myśl już o nich. Mamy coś ważniejszego do omówienia.

Potem powiedziała Tarikowi o obawach, jakie wywołały moje słowa. Szejka przysłuchiwał się uważnie, a gdy Badija skończyła, powiedział:

— Efendi ma rację. Muszę się wstydić, że nie pomyślałem o tym wcześniej niż on. Beni Suef są na pewno w pobliżu naszego obozu.

— Ale gdzie?

— Przyjmijmy, że duża ilość Beni Suef wyruszyła, aby w określonym miejscu oczekiwać *kafilah el aslihe*, karawanę z bronią. A w grę wchodzi tylko jedno miejsce — miejsce, gdzie musi być woda, i to dużo wody.

— Ale takiego miejsca nie ma? — zapytałem.

— Nie. *

— Czy wiesz to na pewno?

— Tak. Już od dawna poszukiwaliśmy wody wokół naszej oazy w obrębie wielu dni drogi i nie znaleźliśmy jej.

— To jeszcze o niczym nie świadczy. Słyszałeś z pewnością o źródłach ukrytych na pustyni?

— Niejeden raz! Wielbłąd spragnionego wędrowca przystaje na pustynnym terenie, gdzie nic nie wskazuje na istnienie choćby kropli wody i kopie nogami w piasku. Jeździec zeskakuje i zaczyna wygrzebywać piach rękami. Wtedy jego oczom ukazuje się źródło. Jeździec pije z

niego, pozwala napić się do syta swojemu zwierzęciu i napełnia bukłaki. Później zakrywa źródło swoim kocem i zasypuje piaskiem tak, że żaden z przejeżdżających nawet blisko tego miejsca nie ma o nim pojęcia. Wędrowiec wraca do źródła, ilekroć potrzebuje wody. To jego ratunek w potrzebie i ucieczce. Tak długo, jak długo wie o nim tylko on, żaden z jego nieprzyjaciół nic jest w stanie go pokonać.

— Masz rację. I właśnie takie miejsce być może znaleźli wasi wrogowie. A jeżeli tak jest, to musicie mieć się przed nimi na baczności.

— Co więc powinniśmy zrobić? — zapytała niespokojnie Ba-dija.

— Jeżeli moje obawy się sprawdzą, to należy przypuszczać, że w pobliżu obozu byli lub są jeszcze teraz zwiadowcy. Musimy poszukać ich śladów na piasku. Wyruszę więc teraz ze swoim sługą, aby je odnaleźć.

— Ty? Chcesz znów dla nas ryzykować życiem?

— Czyż nie jestem waszym gościem? Czyż niebezpieczeństwo, które grozi wam, nie jest też moim? Pomyśl o Falehdzie! Jeżeli moje przypuszczenia są prawdą, to jest całkiem możliwe, że spotkał się już z Beni Suef Ofiaruje im wszystko, aby podburzyć ich jeszcze bardziej przeciw wam i będzie naciskał na szybkie działanie.

— *Allah il Allah!* Falehd! O nim w ogóle nie pomyślałem!

— Musimy liczyć się wciąż z jego osobą i jego nienawiścią. Każ więc osiodłać dla mnie i mojego służącego konie!

— Dwa? Efendi, potrzebujemy trzy, bo ja też jadę z wami.

— Tym lepiej! Znasz tutejszą okolicę i możesz mi wyjaśnić to, co dla mnie jest nieznanne.

* * *

Już wkrótce pędziliśmy z szybkością wichury w kierunku pustyni. Wyposażono nas wysmienicie. Galopowałem na klaczy, którą znałem już od wczoraj, Tarik na tej drugiej, a Halef miał też wysmienitego konia, przynajmniej tak dobrego jak nasze, bo nie zostawał w tyle.

Minęła może godzina. Dopiero wtedy zrobiliśmy pierwszą przerwę. Natknęliśmy się na ścieżkę, która prowadziła z północnego wschodu na południe. Zsiadłem z konia, aby ją zbadać. Dokładnie rozróżniłem ślady trzech wielbłądów wyraźnie odcisnięte w głębokim piasku. Brzegi śladów były już trochę zatarte. Wyciągnąłem z tego wnioski, że musiały przeminąć przynajmniej trzy godziny od przejazdu jeźdźców i od razu pomyślałem o Rosjaninie i Turku.

— Czy obcy wysłannicy mieli konie czy wielbłądy? — zapytałem.

— Wielbłądy — odrzekł Tarik.

— Ile?

— Trzy. Dwa wielbłądy dla jeźdźców i jednego jucznego.

— Więc nie ma wątpliwości, że są to ich ślady.

— *Maschallah!* Przecież odjechali na wschód!

— Ale później zatoczyli łuk na południe.

— Więc dlaczego nie jechali od razu w tym kierunku?

— Prawdopodobnie nie chcieli zdradzić celu swojej podróży! Teraz już poznałeś powód, dla którego tak upierali się co do wczesnej pory swojego wymarszu. Gdyby wyruszyli dopiero po zachodzie słońca, nie mogliby odjechać zbyt daleko. Za to teraz mają przed sobą cały długi dzień.

— *Allah il Allah!* To jest zupełnie możliwe.

— Jedźmy dalej po śladach!

Wsiadłem na konia i jechaliśmy dalej wzdłuż wyłobionej w piasku ścieżki, która wyraźnie prowadziła dalej na południe. Po dziesięciu minutach zatrzymaliśmy się ponownie. Powodem było nagromadzenie się śladów, piaskowa tafla była zarysowana i to na olbrzymiej przestrzeni.

— Co to znaczy? — spytał zdziwiony Tarik. — Może stoczono tu walkę?

— Zaczekajcie. Zaraz się temu przyjrzę.

Zeskoczyłem ze swojej klaczy i zacząłem dokładnie oglądać ślady. Czyniłem to z taką pieczołowitością, że szejek stracił w końcu cierpliwość.

— Cóż to pomoże, że dokładnie oglądasz każde ziarno piasku? — zapytał. — Tracisz tylko cenny czas.

— Nie, to nieprawda. Zyskujemy na czasie. Im bardziej dokładni jesteśmy teraz, tym bardziej pewne staną się nasze przypuszczenia i tym szybciej możemy później działać. Zresztą jestem już gotowy.

— I co odkryłeś?

— Obawiam się, że nic dobrego. Nasi dwaj agenci spotkali się tutaj z pięcioma, sześcioma jeźdźcami, którzy nadjechali z południa. Przez pewien czas rozmawiali, a potem wszyscy wyruszyli na południe jak możesz sam poznać po tej szerokiej ścieżce.

— Jako wrogowie czy przyjaciele?

— Wydaje się, że jako przyjaciele, nie zauważyłem bowiem ani jednego śladu walki.

— Kim mogli być ci jeźdźcy?

— Przypuszczam, że byli to Beni Suef.

— Na Allacha! Skąd to przypuszczenie?

— Pomyśl o naszej wcześniejszej rozmowie u Khanum. Jestem prawie przekonany, że chodzi tu o zwiadowców wroga. Beni Suef zamierzają na was napaść.

— Przyjmiemy ich odpowiednio. Allah nam dopomoże!

— Bez pośpiechu! Jeszcze nie skończyłem. Tych sześciu jeźdźców było na koniach, nie na wielbłądach. Co z tego wynika?

Tarik spojrział na mnie zdziwiony. Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

— Cóż może z tego wynikać. Jechali na koniach, nie na wielbłądach, bo nie mieli wielbłądów.

— To rzeczywiście trzę, ale niezbyt wnikliwie — roześmiałem się. — Czyż nie powiedzieliście wczoraj, że do pastwisk Beni Suef jest około trzech dni jazdy?

— Tak, to prawda.

— Czy konie wytrzymałyby tak długą drogę bez wody?

— A kto ci powiedział, że nie mieli wody ze sobą?

— Mój umysł. Przyjmijmy, że byli to wywiadowcy Beni Suef, więc na pięć do sześciu dni jazdy konnej potrzebowaliby tyle zapasu wody, że utrudniłoby to lub wręcz[^]uniemożliwiło szybką jazdę. A więc?

—A więc? — zapytał szejk, który nie był w stanie na to odpowiedzieć.

— A więc — mówiłem dalej, — musieli gdzieś między tym miejscem, a swoimi pastwiskami odnaleźć źródło wody.

— Ale tu nie ma żadnego źródła.

— Nie bądź tego taki pewny. A jeżeli tak nie jest, to można sądzić, że mają wielbłądy z zapasami wody i to gdzieś w pobliżu.

Szejk przestraszył się.

— Wielbłądy z buklakami? W pobliżu? Ale to znaczyłoby, że są już przygotowani do ataku!

— Założyliśmy przecież taką możliwość. Są już w drodze i z pewnością wysłali przodem swoich sześciu zwiadowców, aby powęszyli trochę wokół waszego obozu.

— Jak możesz mówić to z taką pewnością w głosie? Nie widziałeś tego przecież, tylko czytałeś w piasku.

— Piasek jest dla mnie jak otwarta księga. Byłem przez lata w odległym kraju, gdzie mieszkają dzicy ludzie zwani Indianami. W każdej chwili można tam stracić życie. Człowiek uczy się tam odczytywać ostrzeżenia w trawie, piasku, liściach drzew na nizinach i wyżynach, w głosach ptaków a nawet w poszumie wiatru, które same w sobie są w stanie ostrzec zagrożonego. Uwierz w moje słowa. Beni Suef są już gotowi do napaści na was i wysłali tych jeźdźców[^] jako zwiad. Tak, ślady w piasku zdradziły mi jeszcze coś innego.

— Jeszcze coś? — zdziwił się Tarik.

— Tak, twierdzą, że zwiadowcy mieli za zadanie zbadać wasz obóz. Spotkali dwóch obcych i od razu zawrócili w ich towarzystwie. Czy nie wydaje ci się to podejrzane?

— O tak. Ale nie mogę wymyślić powodu, dla którego mieliby zawrócić.

— Tak, to prawda. Był powód, dla którego zrezygnowali z wypełnienia swojego zadania. Musieli dowiedzieć się od obcych o czymś, co skłoniło ich do natychmiastowego odwrotu.

— Ale czego się dowiedzieli?

— Czy naprawdę nie możesz odgadnąć? Pomyśl o broni!

— O broni? Dlaczego?

— Obcy agenci opowiedzieli im, że Beni Sallah mają otrzymać trzysta sztuk karabinów, i że właśnie wyruszyła karawana.

aby wydobyć je z piasków pustyni. Czy teraz już wiesz, co mam na myśli?

— *Allah il Allah!* Teraz już wiem. Ale przecież nikomu nie powiedziałem, dla kogo była ta broń pierwotnie przeznaczona.

— To wcale nie było konieczne. Beni Suef byliby największymi głupcami, gdyby nie odgadli od razu, że chodzi o ich broń. Właśnie dokładnie trzysta sztuk! A ja nie ukrywałem przed wysłannikami Rosji i Turcji, że znalazłem je na pustyni. Czy mogą pomyśleć, że chodzi o inną broń, niż ta, która była przeznaczona dla nich?

§[^] — *Maschallah!* Gdy to tak przedstawiasz, to nie mogli pomyśleć inaczej!

— Czy to rozumiesz? Wstaw się teraz w położenie Beni Suef; §4 }2; czekają z utęsknieniem na strzelby, dzięki którym mają nadzieję

uzyskać władzę i bogactwo, i oto dowiadują się, że ich broń wpadła w obce ręce. Jest więc jasne, że to ta wiadomość była tak niesamowicie ważna, że zwiadowcy nawet długo się nie namyślając zawrócili, aby swojemu szejkowi zanieść tę przerażającą wiadomość.

— *Allah akbar!* Właśnie tak mogło to się odbyć.

— Widzisz więc, że czytanie ze śladów nie jest taką złą rzeczą — śmiałem się.

— Tak — wtrącił się Halef. — Jeszcze nie znasz mojego pana. Zna on ścieżki wszystkich ludzi i wszystkich zwierząt począwszy od potężnego stąpania słonia, aż do nieznacznego śladu, który zostawia pchła. Potrafi śledzić lot orla w powietrzu i brzęczenie komara w promieniach słońca. Nawet szumiący strumyk powierza mu swoje tajemnice, a milczenie grobowca nie przeszkadza mu...

— *Uskut*, zamilcz! — przerwałem potok jego słów. — Nie mamy teraz czasu na słowa. Musimy działać.

— Co proponujesz? — zapytał żywo szejk.

— Musimy natychmiast wrócić do *duaru*. Nasze konie nie są przydatne do śledzenia, musielibyśmy bowiem długo jeszcze jechać, nim dotarlibyśmy do wrogów. Musimy zaopatrzyć się w żywność, wodę i przesiąść się na wielbłądy.

— Masz rację! A więc szybko do obozu!

Podczas gdy wracaliśmy do zamku, zamieniliśmy jeszcze kilka słów.

— Najważniejszym jest poznać plany wroga — powiedziałem. — To jest zadanie moje i Halefa.

— Pojadę z wami — dodał szejk.

— Nie, jesteś szejkiem, przywódcą Beni Sallah. Oczy całego plemienia spoczywają na tobie. Daj mi jednego dobrego wojownika!

— Niech będzie zgodnie z twoją wolą.

— Jak daleko stąd mieszkają sprzymierzeńcy waszego plemienia?

— Pół dnia jazdy.

— Wyślij więc od razu wici, niech wyślą wam na pomoc swoich wojowników. Nim do was dotrą, wrócę z Halefem ze zwiadów i wtedy będziemy mogli coś zadecydować.

— Czy wieźmiemy konie? — zapytał Halef

— Już mówiłem, że nie. Nie wiemy, czy potrafimy odnaleźć wodę. Musimy mieć wielbłądy, bo wytrzymają dłużej bez niej.

— Dostaniecie najlepsze wielbłądy — zapewnił nas szejk.

— I powiedz swoim ludziom, aby zachowywali się tak spokojnie, jak zazwyczaj, aby ewentualnie wysłani szpiedzy nie mogli zauważyć, że przygotowujecie się do obrony.

Najlepiej będzie, jeżeli w ogóle nikt nie dowie się o grożącym wam niebezpieczeństwie oprócz jeźdźców, którzy pojedą do waszych sprzymierzeńców.

— A mój brat Hilal? Czy nie powinienem go powiadomić?

— Na to jest jeszcze za wcześnie. Nie powinniśmy zakłócać ich planu, którego powodzenie jest być może ważniejsze dla nas, niż to możemy teraz ocenić. Jeżeli broń dotrze do nas w odpowiednim czasie, to będzie ona nieporównywalną pomocą.

* * *

Pędziliśmy na koniach tak szybko, że po godzinie byliśmy już w *duarze*. Tam zatrzymaliśmy się tylko tak długo, że ledwie zdążyliśmy przynieść broń i już zeszliśmy w dół ku wielbłądom, które dla nas przygotowano.

Już po kwadransie wyruszyliśmy z prędkością błyskawicy w kierunku, z którego nadciągało niebezpieczeństwo — na południe. Silne, długonogie zwierzęta niosły tylko jeźdźców, mały zapas suszonych daktyli i jeden szczelnie wypełniony wodą bukłak.

Było nas czterech: Halef, dwóch postawnych Beduinów i ja. Galopowaliśmy w milczeniu starając się nie ominąć żadnego szczegółu w obrębie pola widzenia. Naszym głównym zadaniem było obserwować i nie być przy tym widocznym. Nie było trudno podążać po śladach ściganych. Co prawda, piach pustynny jest w ciągłym, nieprzerwanym ruchu, nawet gdy człowiek tego nie zauważa. Ale dziury, które wrywają w piaski kopyta pospiesznie stąpającego wielbłąda lub konia w pełnym biegu, nie są zatarte nawet w przeciągu kilku godzin, jeżeli wiatr nie wieje zbyt mocno.

Mijała godzina za godziną. Minęło południe i popołudnie. Tylko raz pozwoliliśmy sobie na krótki odpoczynek, aby wypić łyk wody; później wyruszyliśmy dalej w tym samym szaleńczym pędzie.

Po południu zsiadłem jeszcze raz z wielbłąda, aby zbadać ślady. Z zadowoleniem pokiwałem głową.

— Jeżeli chcielibyśmy, moglibyśmy dogonić ich za godzinę.

— Ale czy tego chcemy? — zapytał Halef

— Nie, nie powinni nawet podejrzewać, że znamy już ich plan.

— *Tamahm*, to prawda! Gdy przybędą, wtedy ich powitamy. Czy naprawdę są aż tak blisko?

— Tak, poznają to po kształcie śladów. Spójrz na ślad kopyta końskiego. Nie jest już tak ostro zarysowany jak poprzednie, stąpania stały się niepewne. Jedźmy teraz wolniej, w przeciwnym razie możemy dostrzec ich później, niż oni nas.

Ten rozkaz wykonali wszyscy. Posuwaliśmy się bardzo powoli, a mimo to wkrótce dostrzegliśmy w polu widzenia kilka małych punktów.

— To oni! — zawołał Halef

— Tak, niech nasze wielbłądy położą się na chwilę, aby nas nie zauważyli.

Tak też uczyniliśmy, ale i tak już wkrótce byliśmy tak blisko ściganych, jak przed chwilą. Wyglądało na to, że nie tylko jechali wolniej, ale na dodatek zmieniali kierunek jazdy. Starszy z Bedu-inów potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Wygląda na to, że zmierzają w prawo do Fers el Hadszar, do Kamiennego Puchu.

— Co to za miejsce?

— Zapadnięte góry, bez drzewa, krzewu i wody.

— Czy łatwo tam znaleźć kryjówkę?

— Więcej ich tam niż dla tysiąca ludzi.

— — Więc już wiemy, gdzie ich szukać. Z pewnością są w Fers el

Hadszar. Wodę najwidoczniej przetransportowali na wielbłądach, więc nie odczuwają jej braku. Jak daleko są te góry?

— — Jeżeli nie jechalibyśmy wolniej niż poprzednio, to łatwo dotarlibyśmy tam przed zachodem słońca.

— Wyśmienicie się składa. Zatoczmy więc łuk, aby przybyć od innej strony do Fers el Hadszar, niż od tej, z której mogą oczekiwać niebezpieczeństwa. Czy znacie załamania skał w całym ich przebiegu?

— O nie! Są tam miejsca, gdzie nie stąpała jeszcze ludzka stopa.

— Więc nie macie pojęcia, gdzie można by odnaleźć Beni Suef?

— Nie.

— No cóż. Sądzę, że pomimo to nasza wyprawa nie będzie bezowocna.

Wojownik Beni Sallah wyraził jednak swoje powątpiewanie.

— Może być bezowocna. Tylko ślady, którymi kierowaliśmy się dotąd, mogły nas do nich zaprowadzić. Jeżeli je teraz zgubimy, możemy już ich nie odnaleźć w ciemności.

— To już niech nie będzie moim zmartwieniem. Nie przypuszczam, aby mogli mi umknąć. Czy sądzisz, że jada okrężną drogą do Kamiennego Puchu?

— Nie, z pewnością nie!

— Też tak sądzę. Ich zwierzęta są już wyczerpane i jestem pewien, że jeźdźcy zdążają prosto do celu. A ich celem jest kryjówka Beni Suef

— Przyznaję ci rację.

— Spójrzmy teraz, czy nie znajdziemy jakiegoś drobiazgu, dzięki któremu będziemy mogli orientować się w terenie.

Mówiąc to wyciągnąłem swoją lunetę i ustawiłem na punkt w polu widzenia, do którego prowadziła ścieżka zwiadowców. Wszystko się zgadzało, nie rozczarowałem się. Właśnie w tym kierunku zauważyłem dwie pojedyncze, wysokie i smukłe skały, które wyglądem przypominały kolumny.

— To Benat el Hawa, — wyjaśnił Beduin, gdy tylko opisałem mu swoje znalezisko. — Znam je.

— Benat el Hawa, a więc Córki Wiatrów. Dlaczego nazwano tak te skały?

— Bo zostały zrzucone przez wiatr ze szczytów gór.

— Co do tego nie zgadzam się z tobą, ale to jest teraz nieważne. Najważniejsze, że mamy stały punkt orientacyjny. Obserwowani przez nas podążają do Benat el Hawa, więc na pewno zostawią ślady przy tych skałach i zawsze będziemy mogli je tam znaleźć. Jestem przekonany, że teraz możemy już bez skrępulów zmienić kierunek naszej podróży.

Zatoczyliśmy więc szeroki łuk, który zaprowadził nas bardziej na wschód. Nasze wielbłądy rozwinęły przy tym swoją maksymalną prędkość, bo już przed zachodem słońca dotarliśmy na tą samą wysokość, na jakiej wznosił się Fers el Hadszar, tylko lekko z lewej strony od niego.

Wędrowaliśmy teraz po ostrym zboczu w prawo, prosto na skały, a potem jeszcze krótka trasa prosto w kamienny bezład. Dałem znak do zatrzymania się. Mniej więcej w połowie drogi, między pastwiskami Beni Sallah i Beni Suef, wznosiły się wśród głębokopiaszczystej pustyni strome, nagie odłamy skalne, które leżały jeden na drugim jak ruiny zapadłych przed tysiącleciem gór. Wydawało się, że nie ma tu ani dróg ani ścieżek. Wszystko wokół stwarzało atmosferę śmierci i martwoty. To właśnie był Fers el Hadszar, Kamienny Puch.

Beduini często nazywali miejsca na pustyni w podobny sposób: Batte el Hadszar — Kamienny Brzuch, Amm el Hadszar -Matka Kamieni, Abu'l Hadszar — Ojciec Kamieni.

Wyszukaliśmy miejsce, które otoczone było stosem kamiennego rumowiska, co mogło nam zapewnić konieczną osłonę. Moi ludzie kazali za moim przykładem uklęknąć zwierzętom i zsiadli z wysokich siodeł.

— Czy rozbijemy tu obóz?

— Nie wszyscy. Tylko ty i jeden z naszych przewodników. Ja i drugi Beni Sallah przedrzemy się wśród tej masy skał do Córek Wiatru. Według moich obliczeń możemy tam dotrzeć jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Odszukamy tam ślady wrogów i będziemy jechali za nimi, aż ich odnajdziemy.

— Dlaczego chcecie jechać tylko we dwójkę? Wystarczy przecież, aby jeden z nas pozostał przy koniach.

— Dwoje ludzi nie zauważy się tak łatwo jak troje.

— Ale mógłbyś zabrać mnie z sobą zamiast Beduina.

— Tym razem byłbyś mi mniej przydatny niż Beni Sallah, który zna okolice Fers el Hadszar.

— Ale jeżeli nas odnajdą tutaj w czasie waszej nieobecności, to jesteśmy zgubieni a wy z nami, bo nie będziecie mieli wielbłądów, aby uciec.

— Na pewno nie zostaniecie odkryci, jeżeli będziecie ostrożni. Jeden z was musi wspiąć się na skały i ukryć się w ich załomach. Może z tego miejsca obserwować teren i będzie w stanie ostrzec tego drugiego przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Jeżeli ktoś będzie tylko przejeżdżał obok, musicie zachowywać się bardzo cicho.

— A jeżeli mimo to nas odkryją?

— Musicie wtedy uciekać w różnych kierunkach. To utrudnia pościg. Wróćcie na to samo miejsce o północy, aby spotkać się z nami. Nasze wielbłądy są jeszcze na tyle szybkie, aby umknąć prześladowcom. Wszystkie ustalenia dotyczą jednak dnia. Gdy nastanie noc, będzie niemożliwym was tu dostrzec, nawet jeśli ktoś wpadłby na pomysł, aby z jakiegoś powodu tędy przejeżdżać. Musicie tylko zachowywać się bardzo cicho.

Wyruszyłem ze starszym z naszych współtowarzyszy, gdy tylko dałem kilka wskazówek pozostającym przy naszych wielbłądach. Droga, którą wyruszyliśmy, prowadziła między rozrzuconymi blokami skalnymi i była zasłana tak małymi odłamkami skalnymi, że nie było rzeczą łatwą poruszać się naprzód, tym bardziej, że musieliśmy za każdą większą skałą sprawdzać, czy nie ukrywa się za nią nasz wróg.

Mimo to dotarliśmy do Córek Wiatru jeszcze przed nocą. Właśnie, gdy przybyliśmy pod pierwszą z wysmukłych skał, wielka kula słońca zatopila się na zachodzie. Nastal więc czas modlitwy wieczornej i mój towarzysz uklęknął mimo wszystko, aby dopełnić rytuału modlitwy. Oczywiście, stosownie do okoliczności, uczynił to bardzo cicho. Później kontynuowaliśmy naszą podróż w kierunku drugiej skały. Z daleka wydawało się, że obydwie

„sio-stry” stają bardzo blisko siebie; teraz jednak okazało się, że między nimi było przynajmniej trzy czwarte kilometra odstepu. Posuwaliśmy się naprzód bardzo ostrożnie, ja jako pierwszy, a za każdą skałą szukaliśmy osłony. Jeszcze nie dotarliśmy do drugiej „siostry”, gdy nagle zatrzymałem się i wskazałem na skalne podłoże.

— Czy widzisz? Tu są ślady. Miałem więc rację. Biegną w lewo w głąb skał. Skręćmy więc też, aby iść tą samą trasą.

— Zauważą nas. Te kamienie są początkiem drogi.

— Nie pójdziemy więc po śladach, ale trochę z boku za kamiennymi skałami.

Staraliśmy się bardzo, aby nie przeoczyć nawet najmniejszej wskazówki, jaką dawał nam skalisty grunt i cichaczem zakradaliśmy się w kierunku południowym, w coraz bardziej zagmatwanej płataninie kamieni.

Nagle usłyszałem jakiś cichy dźwięk, który skłonił mnie, aby przystanąć. Dałem towarzyszowi wyprawy znak, aby się zatrzymał.

— Czy słyszałeś? — szepnąłem.

— Tak, to odgłos deski *muezina*.

Wsluchaliśmy się dokładniej; rzeczywiście, oto rozległo się, jak z zaświatów, wołanie wzywające do modlitwy, przerywające głęboką ciszę kamiennej pustyni:

— *Ja el moslemin, hai al el salah*. Powstańcie prawowierni i przygotujcie się do modlitwy!

— Są tutaj! — powiedział zdenerwowany Beni Sallah.

— Tak, i to niezbyt daleko! Musimy zdwoić naszą czujność!

— Modlą się za późno. Nie mogli tu wśród tych skał zobaczyć dokładnie, jak słońce zanurzało się w morzu piasku. Allah więc nie wysłucha ich modłów, bo lubi punktualność!

Musiałem w głębi duszy uśmiechnąć się do dziecinnego rozumowania, ale nie powiedziałem ani słowa, bo oto z oddali dotarł do nas przytłumiony dźwięk podobny do szumu wody w strumieniu.

— Modlą się głośno. — szepnął Beni Sallah. — Cóż za nieostrożność! Tym samym wskazali nam drogę. Powinni przecież, szykując się do bitwy, unikać wszelkiego zgiełku.

— Nie przywiązują do tego wagi, co oznacza, że czują się niezwykle pewnie w swojej kryjówce. Podejdźmy bliżej!

Stawało się coraz ciemniej. Ale nam to było bardzo na rękę. Nie musieliśmy już przecież odczytywać śladów. Wiedzieliśmy już, w jakim kierunku i w jakiej odległości mogliśmy znaleźć Beni Suef

Nie zaszliśmy jeszcze zbyt daleko i właśnie miałem zamiar skręcić za olbrzymią skałą, gdy musiałem się cofnąć tak szybko, jak tylko potrafiłem.

— Co jest? — zapytał Beni Sallah.

— Dwóch mężów, tuż przed nami na wolnej płaszczyźnie tuż za skałą.

— Czy mogę ich zobaczyć?

— Tak, ale ostrożnie!

Beni Sallah położył się na ziemi i powoli podczołgał się za skałą. Przez pewien czas leżał nieruchomo kierując tylko oczy na przeciwników, a potem przesunął się znów w moim kierunku i wstał.

— Znam ich bardzo dobrze.

Z tonu jego głosu odczytałem już, iż nie byli to przeciętni ludzie. I nie myliłem się, bo Beduin zaraz dodał:

— To Mehemmed, szejek Beni Suef oraz jego sprzymierzeniec i zięć, Amram.

— Chciałbym ich oglądnąć sobie dokładniej.

Tak jak poprzednio Beni Sallah położyłem się na kamienistym podłożu, aby spojrzeć na zbliżających się, ale już w następnej sekundzie cofnąłem się gwałtownie.

— Szybko! Ukryjmy się wśród kamieni. Idą prosto na nas! Na Allacha! Każdy odgłos może nas zdradzić!

Szybko zaszliśmy się za jedną ze skał, o którą opierała się druga, na wpół przechylona tak, że między nimi powstał otwór. Przyłgnęliśmy do nich i zastygliśmy w bezruchu z bronią ciasno przyciśniętą do naszych szybko oddychających ciał. Już w następnej chwili usłyszeliśmy kroki Beni Suef

— Gdy nas dostrzegą, nie strzelaj. Musimy użyć noży! — szepnąłem jeszcze.

Właśnie tuż przed naszą kryjówką wrogowie zwolnili kroku i przystanęli zagłębiwszy się w rozmowie. Wyglądało na to, że szejek Beni Suef wybrał się ze swoim zięciem, aby porozmawiać z nim z dala od obozu i swoich wojowników.

— Ustawiać warty? — spytał szejek. — Po co?

— Istnieje możliwość, że mogą się tu zjawić.

— Wątpię w to. Przecież nic nie przeczuwają.

— Ale ten obcy, o którym opowiadał Falehd, a potem ci dwaj cudzoziemcy. Być może nawet pojechał za nimi, a przy tym natknął się na nasze ślady.

— Nawet jemu nie przyszło to do głowy. Olbrzym został pokonany, a całe plemię świętuje wybór nowego szejka. Nikt nie pomyśli o śledzeniu tych dwóch. Wręcz przeciwnie. Beni Sallah są zadowoleni, że się ich pozbyli. Uwierz mi! Jestem starszy i bardziej doświadczony niż ty!

— Tak, jesteś bardziej doświadczony i jesteś szejkiem. Dlatego nie chcę się z tobą spierać. Ale być może zezwoliłbyś na postawienie jednego z ludzi przy Siostrach Wiatru. Nie może nam to zaszkodzić.

— No cóż! Jeżeli to cię uspokoi, uczynię to. Ale mamy na to czas. Zapadła noc i nawet gdyby Beni Sallah nas śledzili, nie są w stanie odnaleźć naszych śladów. Jeżeli się zbliżają, to pojawią się dopiero o świcie. A wtedy zgotujemy im przyjęcie.

A więc zięć szejka, którego jak powiedział Beni Sallah zwano Amram, był z pewnością jednym z pięciu zwiadowców, a jego słowa świadczyły o tym, że był mądrzejszy i bardziej przezorny niż jego teść.

— A co zamierzasz uczynić z Falehdem? — zapytał Amram po chwili.

— Nie musimy dotrzymywać słowa, które mu dałem, bo jak usłyszałem, został wyrzucony z plemienia i jest pozbawiony honoru! — powiedział pogardliwie szejk.

— Tak, nie powiedział tego wyraźnie, ale został pokonany w walce i błagał o litość. Czy w takim wypadku możemy przyjąć go do naszego plemienia?

— Nie! Sprowadziłby na nas hańbę.

— Więc nie będzie miał też prawa do łupu?

— Nic nie dostanie! Zupełnie nic! Ten głupiec ubzdurał sobie, że dostanie Khanum lub jej siostrę za żonę, ale myli się bardzo! Wykorzystamy go, aby dowiedzieć się tego, na czym nam zależy, a potem go przepędzimy!

— Jestem za tym.

— Ten człowiek, muszę przyznać, ma siłę dzikiego zwierza. Każdy inny z jego raną nie odważyłby się jechać przez pustynię, a on ma zamiar brać udział w napadzie.

Amram skinął głową.

— A co zamierzasz w stosunku do agentów Rosji i Turcji, którzy zawitali do naszego obozu? — pytał dalej.

— Są wrogami Kedywa i Beni Sallah, a więc naszymi przyjaciółmi. Dzieliłem się więc z nimi chlebem i solą, są naszymi gośćmi tak długo jak zechcą. Zresztą w napadzie na naszych wrogów mogą być bardzo pomocni. Są przecież oficerami armii.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby wyruszyli razem z nami, chociaż nie ocenilem ich jako zbyt dzielnych wojowników.

— Nie muszą być zbyt dzielni. To nie przesądzi o zwycięstwie. Mamy sześciuset wojowników i napadniemy na naszych wrogów tak niespodziewanie, że nawet nie dojdzie do walki. Zabijemy każdego, ledwo zdąży wyjść ze swojego namiotu.

— Jeżeli nam się tak poszczęści, to niech będą dzięki Allachowi. Ale wciąż myślę o tym nieznanym. Olbrzym go przeklina, wysłannicy również. Obrzucają go wyzwiskami, ale właśnie z tych obraźliwych słów wnioskuję, że jest to człowiek godny uwagi.

— Chyba szatan go tu sprowadził — zawołał szejk. — Właśnie temu obcemu zawdzięczamy, że nasi wrogowie weszli w posiadanie naszej broni. Gdy tylko o tym pomyślę, dławię się swoją własną złością.

— Jak mogło do tego dojść?

— Skąd mogę to wiedzieć? Nie sądzę, aby to cudzoziemiec i jego człowiek zabili wiozących broń. Można więc założyć, że zginęli podczas burzy piaskowej, a Frank przez przypadek, albo co bardziej prawdopodobne, wiedziony przez szatana, dotarł na miejsce nieszczęścia. Jest to tym bardziej możliwe, gdyż opowiada wszystkim, że znalazł tę broń.

— Właściwie powinieneś mu być wdzięczny — zaśmiał się Amram. — Bo jeżeli tak było jak przypuszczasz, to karabiny byłyby stracone na zawsze, gdyż nie znamy miejsca, gdzie spotkali się ze śmiercią.

— Wszystko było tak pięknie ułożone i na pewno odnieśliśmy sukces. Właśnie w tym miejscu otrzymalibyśmy karabiny i dzięki temu moglibyśmy powystrelać wszystkich Beni Sallah. Nie musielibyśmy się teraz przed nimi ukrywać, a później napadać na nich z ukrycia.

— Kiedy wyruszymy? Chyba pod osłoną nocy?

— Nie. Nie jest to moim zdaniem odpowiednia pora. Mogłoby dojść do takiego zamieszania, że sami moglibyśmy ponieść straty, bo noc nie sprzyja odróżnieniu wroga od przyjaciela.

— Masz rację. Więc zaraz z nastaniem dnia?

— Tak. Wtedy śpi się najmniej czujnie. Zresztą Beni Sallah świętują teraz. Pójdą więc później spać i gdy będzie świtać będą tak zmęczeni, że nie zdążą nawet wstać ze swoich posłań, gdy ich dopadniemy.

— Więc nie musimy wyruszać zbyt wcześnie rano?

— Nie, wyruszymy jutro koło południa, podążając prosto na obóz wroga. Gdy dotrzemy na odległość od *duaru*, którą można przebyć w godzinę, zatrzymamy się i zrobimy przerwę na odpoczynek. Do walki wyruszymy na godzinę przed świtem.

— Co z naszymi zwierzętami?

— Nie będziemy ich zabierać ze sobą. W czasie napadu przeszkadzałyby nam tylko. Zostawimy przy nich około pięćdziesięciu ludzi, którzy przypędzą je nam później.

— W swoim planie nie bierzesz pod uwagę czegoś bardzo ważnego.

— A mianowicie?

— Być może do czasu naszego ataku Beni Sallah będą już w posiadaniu naszej broni.

— Czy to może nam zaszkodzić? Nie będą mieli czasu, aby jej użyć. Nie zdążą nawet sięgnąć po strzelby.

— Czy nie byłoby korzystniej napaść najpierw na karawanę, która ma dostarczyć wydobytą na pustyni broń?

— Jak sobie to wyobrażasz? Czy wiesz, gdzie jej szukać i jaką drogą będą wracać? Aby to ustalić musielibyśmy naszych ludzi podzielić na dwadzieścia grup zwiadowczych i wtedy narażamy się na niebezpieczeństwo przedwczesnego odkrycia przez Beni Sallah. Nie, te strzelby nam i tak nie przepadną, dostaniemy je wraz z innymi łupami.

— A jeżeli *kalifah* z bronią jeszcze nie dotrze do Beni Sallah do czasu naszego ataku?

— Wtedy wejdziemy w posiadanie tych karabinów tym bardziej. Będziemy oczekiwać na karawanę w *dnarze* Beni Sallah. Nie umknie nam ani jeden człowiek.

— Obyś miał rację. Na Allacha! Jeszcze nigdy nie zdobyliśmy takich łupów.

— O tak, pustynia zatrząse się od krzyków przerażenia naszych wrogów, a w oazach Beni Sallah będą płakać i zawodzić kobiety. Już nigdy to plemię nie powstanie po tej klęsce.

— A my — dodał Amram, — my będziemy najbogatszym plemieniem wśród mieszkańców piaszczystej równiny. Gdyby Beni Sallah wiedzieli, że tu tkwimy! Ale chodź! Pokażę ci, gdzie chciałbym postawić strażę.

Szejk oddalił się ze swoim sprzymierzeńcem, a my mogliśmy opuścić naszą niewygodną kryjówkę. Beduin zaczerpnął głęboko powietrza. To, co usłyszał, poruszyło go bardzo.

— Czy słyszałeś dokładnie, co mówili? — zapytałem.

— *Allah il Allah!* Czy wiesz, co chciałbym teraz uczynić?

— Mogę sobie wyobrazić! Miałbyś ochotę popełnić olbrzymie głupstwo.

— Czy uważasz za głupstwo podążać teraz za tymi dwoma i dać im zakosztować naszych noży?

— O tak. Zdradzilibyśmy tym swoją obecność. A wtedy Beni Suef na pewno zmieniliby plan ataku na waszą oazę, bo wiedzieliby, że coś podejrzewacie. Być może wróciliby do swojego *duaru* a potem czekali by na korzystniejszą okazję wciąż myśląc o zemście. Czy byłoby to korzystne dla twojego plemienia? Pozwól więc im obu odejść i chodź ze mną.

Byłem już co najmniej tuzin razy na zwiadach, nie w państwach Orientu, ale wśród mieszkańców Dzikiego Zachodu i muszę przyznać, że nigdy nie poszło mi tak łatwo jak dzisiaj.

Nie było nawet mowy o prawdziwym zakradaniu się i czołganiu. Nie, szejk przybył sam na miejsce, gdzie znalazłem się przypadkowo i powiadomił mnie o całym planie wyprawy z taką dokładnością, że więcej nawet nie chciałem wiedzieć. Znałem więc dokładnie zamiary wroga i mogłem przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności i obrony. To spotkanie było rzeczywiście szczęśliwym zrzędzeniem losu. Czy był to przypadek?

Moi czytelnicy wiedzą, że nie wierzę w przypadki; każda myśl i każdy czyn pociąga za sobą skutki. Ludzie, którzy chcą swoich bliźnich skrzywdzić, kierowani swoim sumieniem mówią o swych złych zamiarach właśnie wtedy, gdy raczej powinni milczeć. Trzeba więc tylko mieć otwarte uszy i ofiarować swą duszę dobru, aby mógł zdarzyć się „przypadek” lub inaczej „szczęśliwe zrzędzenie losu”.

* * *

Przemykaliśmy teraz w stronę naszych wielbłądów tak szybko, jak tylko było to możliwe w ciemności nocy. Oczywiście, ominęliśmy Córki Wiatru, bo tam udał się szejk ze swoim zięciem. Skręciliśmy więc bardziej na prawo.

— Chcą więc na nas napaść idąc pieszo — szepnął mój towarzysz wyprawy bardzo przejęty podsłuchaną rozmową. — Mamy więc okazję, aby zdeptać ich kopytami naszych zwierząt. Mam nadzieję, że ty też jesteś zdania, że powinniśmy pozwolić im podejść możliwie blisko obozu.

— To byłby błąd. Nie stratujemy ich też, a przyjmujemy ich również pieszo.

— Niemożliwe!

Sam pomysł walki w otwartym polu pieszo, był dla Beduina czymś niesamowitym. Gdy nie siedzą bowiem w siodle, czujają się nieporadni. Uspokoilem go: jffafs&s.

— Nie martw się. Najpierw zbierzemy się na naradzie fiwftedy okaże się, czyj plan jest najlepszy. Chodź! szfin.

Poznaliśmy wkrótce po układzie bezładnie leżących skał, że Córki Wiatru zostały daleko w tyle a my posuwaliśmy się teraz wzdłuż brzegu pustyni, aż dotarliśmy do oczekujących nas współników. Nie spodziewali się nas tak szybko i byli żądni usłyszeć o wynikach naszego zwiadu. Opowiedziałem krótko o tym, co podsłuchaliśmy. Później wsiedliśmy na wielbłądy, które przez tę godzinę mogły już sobie trochę odpocząć.

Wracaliśmy. Po chwili na niebie, po zachodniej stronie zobaczyłem jasną, żółtawą plamę. To zjawisko było dla mnie czymś tak nieznanym, że chciałem się dowiedzieć, czy nie jest to żaden zły omen.

— O nie! — odrzekł Beni Sallah. — Przeciwnie, to dobry znak. Ten jasny punkt to dziura, z której za kilka minut wyjdzie *rih el kila*. Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatnio wiał.

Rih el leila oznacza nocne powietrze, nocny wiatr. Rzeczywiście jest to rzadkie zjawisko na Saharze, gdy wieje zimny, nocny wiatr. Powierzchnia piasku wchłania w czasie dnia tak dużo żaru słonecznego, że w nocy promieniuje nim i nawet jeżeli wieje wiatr, to jest gorący i nuży ludzi, i zwierzęta.

Ale Beni Sallah miał rację. Tak jak powiedział, za chwilę doszedł do nas zimny powiew z zachodu. Zaczął nas muskać przyjemnym chłodem, a pod jego dotykiem nasze wielbłądy wyciągnęły długie szyje i podwoiły szybkość swoich kroków. Powiew przybierał wciąż na sile.

— To rzeczywiście dobrodziejstwo. Ten wiatr to nie wichura, ale jest na tyle silny, aby zatrzeć nasze ślady, więc Beni Suef nie znajdą jutro nic, co mogłoby wskazywać, że nie byli tej nocy sami przy Fers el Hadszar. Tym większą niespodzianką będzie dla nich nasz ruch.

Potrzebowaliśmy około dwunastu godzin, aby dotrzeć z *duaru* Beni Sallah do Kamiennego Puchu. Nasza droga powrotna nic trwała dłużej, chociaż braliśmy pod uwagę, że nasze wielbłądy będą już zmęczone. Ale ten rześki wiatr zwiększył ich wytrzymałość. Gdy już z daleka zauważyliśmy pierwsze znajome oznaki obozu, odetchnąłem z ulgą. Mogliśmy być zadowoleni z naszej wyprawy.

Walka o oazę

Libia — w starożytności określano tym mianem północno-wschodnią Afrykę, zamieszkałą przez jasnoskóry lud barbarzyńców: Lebu — Egipcjan i Lubim — Hebrajczyków. Tereny położone na południe nazywano Etiopią — krajem „Spalonych Twarzy” — krajem ludzi o ciemnych cerach. Dziś pod pojęciem Libii kryją się trzy krainy leżące między Tunezją i Egiptem: Trypolitania, Fessan i Cyrenajka. Olbrzymi teren o powierzchni trzech czwartych miliona kilometrów kwadratowych, ale zamieszkały przez zaledwie milion ludzi, dlatego, iż tym terenem jest słabo porośnięty step i pustynia. W jego skład wchodzi także zachodnia część Pustyni Libijskiej, a jej wschodnia część należy do Egiptu.

Na powierzchni prawie dwóch milionów kilometrów kwadratowych rozpościera się kamienna i piaszczysta pustynia, która tworzy wschodnią część olbrzymiej pustyni północnoafrykańskiej -Sahary. Leży ona mniej więcej między 15 stopniem szerokości geograficznej południowej i 30 stopniem północnej — między Dar-fior w Sudanie i Równiną Libijską nad Morzem Śródziemnym -oraz między 15 stopniem długości geograficznej zachodniej i 30 stopniem wschodniej — między Wyżyną Tibesti a doliną Nilu.

Różnorodne i wspaniałe jest oblicze tej przerażającej samotni, którą ożywiają tylko drogi karawan. Wtedy, gdy przemierzałem ją ze swoim miłym towarzyszem Halefem, była prawie nieznaną Europejczykom i w większej części swojego terenu jeszcze niezbadana.

Skaliste wzniesienia przechodzą w piaszczyste wydmy i powierzchnie słabo porośnięte pustynną roślinnością, a na palcach można policzyć w tej samotni z piasku i kamienia oazy, w których mogą żyć ludzie. Jak zastygły chaos fal rozciąga się wokół morze piasku ze swoimi wydmami, których grzebienie tak często mają nawet sto metrów wysokości. Po nawietrznej stronie są płaskie, ale po przeciwnej zazwyczaj wypiętrzają się stromo i wyniośle. W tej dolinie fal każdy z jeźdźców musi szukać swej drogi, a gdy słońce stanie pionowo na niebie, każdy obcy w tych stronach musi szukać ratunku w kompasie. Pośrodku tego morza piachu, nawet widok z najwyższego grzebienia wydmy nie byłby niczym innym, jak tylko spojrzeniem na nagie, nieruchome, piaszczyste fale uderzające o horyzont i nikt nie potrafiłby określić, gdzie

północ i południe a gdzie zachód i wschód. Tylko gdy nad pustynią przeciąga *samum*, zaczyna się to olbrzymie morze poruszać. Luźne masy piasku wzbijają się w powietrze i pędzą wraz z nim. Fale przesuwiają się. Stare wydmy giną, a wypiętrzają się nowe. W przeciągu kilku godzin krajobraz zmienia się do tego stopnia, że nawet tubylec nie jest w stanie odnaleźć drogi. Ale nie mniej straszną jest *hammada* — nieurodzajna ziemia. Czasami jest płaszczyną pokrytą kamiennym gruzem, blokami z żółtego krzemienia lub czerwonego piaskowca, w których kumuluje się cały żar słoneczny; czasami jest labiryntem gór wapiennych z jaskiniami zdobionymi stalagmitami, wąskimi skalnymi bramami i głębokimi wąwozami, w których rozgrzane powietrze na przemian drży i mieni się kolorami światła. A czasami przemienia się w powierzchnię pokrytą karłowatą roślinnością. Te równiny ciągną się bez końca, są zasiane żwirkami wielkości laskowego orzecha i upodabniają się do kolorowych mozaik. Daremnie szuka oślepienie oko wśród nich punktu zaczepienia, rośliny czy zwierzęcia; a gdy w oddali rozbrzysnie nagle woda, której powierzchnia zdaje się być pokryta zmierzwioną falą, to jest to tylko gra fatamorgany — to tylko złudzenie. A gdy podróżny rzeczywiście zobaczy wynurzające się z tej pustyni piasku i kamienia palmy daktyłowe, budynki i zielone ogrody, to ta oaza zdaje się być dla niego kawałkiem raj.

* * *

Tylko dwa razy po dwanaście godzin zabrał nam nasz zwiad do Kamiennego Puchu, gdzie podsłuchiwaliśmy szejka Beni Suef w rozmowie ze swym zięciem. Później w blasku porannego słońca zobaczyliśmy leżącą przed nami oazę Beni Sallah z ruinami murów, koronami palm, a wtedy sądziliśmy, że jest to właśnie kawałek raj u pośrodku pustyni.

Do *duaru* przybyliśmy około szóstej. Mimo tak wczesnej pory nikt już nie spał. W międzyczasie przybyli wojownicy sprzymierzonych plemion i z sąsiednich oaz. Było już więc około ośmiuset zdolnych do walki ludzi. Ledwo wyskoczyliśmy z siodła, już ze wszystkich stron podążali ciekawscy, którzy chcieli się dowiedzieć, jakie wieści przywieźliśmy ze sobą.

Gdy tylko przybyli wojownicy innych plemion nie można było utrzymać dłużej tajemnicy. Beni Sallah wiedzieli już, że grozi im napad ze strony Beni Suef. Zaraz po naszym przybyciu zwołano *dżemę*, która miała zdecydować o planie obrony. Esra, najbardziej szanowany człowiek plemienia, a zarazem głowa rady starszych podszedł do mnie.

— Allah prowadził twą rękę, gdy zwyciężyłeś Falehda — powiedział. — Jego wolą było, abys powiedział nam o broni, której kazał zniknąć w czasie *samumu*, a którą wydobędzie na światło dnia teraz Hilal. Allah nam cię zesłał i wierzymy, że spełniamy jego wolę, jeżeli cię poprosimy, abys wziął udział w *dżemie* i dalej wspierał nas swoimi radami.

Podążyłem więc za nim. I tak już zabrnąłem w tę sprawę tak daleko, że nie mogłem po raz drugi odmówić udziału w naradzie. Wskazano mi miejsce obok szejka w kręgu szacownych, przeważnie białobrodych mężów. Esra od razu udzielił mi głosu, abym mógł opowiedzieć o wynikach naszego podchodu i uczyniłem to pokrótce. Potem Esra, jako najstarszy zwrócił się do szejka.

— Pozwól, że usłyszemy twój głos, abysmy mogli poznać twe zamiary.

Tarik skromnie potrząsnął głową.

— Jestem jeszcze za młody. Są tu wśród nas starcy, silni swoim doświadczeniem i wiedzą, dzielni wojownicy, starsi niż ja. Niech przemówią oni.

— Twe słowa podobają mi się. Młodości cnotą jest skromność, a kto szanuje starość, ten na starość potrafi sam z honorem nosić swe siwe włosy. Ale jesteś szejkiem tego plemienia. Masz prawo do pierwszego słowa.

Wprawilo to Tarika w dość znaczne zakłopotanie, chociaż nie dał tego po sobie poznać. Nie czuł się mniej odważny ani mniej obeznany ze sztuką walki niż członkowie rady. To ja byłem tą osobą, przed którą czuł duży respekt i wolałby, aby ktoś inny jako pierwszy wyraził swoje zdanie. Wybrnął jednak bardzo zrecznie:

— To prawda, że jestem szejkiem, ale właśnie jako noszący tę godność znam swoje obowiązki. Mamy wśród nas gościa. Gościom zaś należy się szacunek. A ten chce być z nami i za nas walczyć, jest gotowy oddać za nas swoje życie i oddał nam już nieocenione usługi. Dlatego też sądzę, że jest więcej niż koniecznym, aby jako pierwszy zabrał głos Kara Ben Nemzi.

Wśród zebranych Beduinów rozległ się mamrot wyrażający przyzwolenie.

— Masz rację — wyjaśnił Esra. — Widzimy, że dostaliśmy wolę Allacha właściwego człowieka na przywódcę. Jeżeli nie zatracisz swej mądrości, to twe imię będzie brzmiało jeszcze w ustach synów i potomków twoich wnuków tak długo, jak będą oni istnieli. Poprośmy więc Kara Ben Nemzi, który nosi również honorowe imię Ojciec Błysku, aby nam powiedział, jak postąpiłby będąc na naszym miejscu.

Oczywiście, dobrze wiedziałem, dlaczego młody szejek ustąpił mi pierwszeństwa głosu. Ale rozwaga jego słów ucieszyła mnie i odrzekłem:

— Twe imię, szejku, nie tylko będzie można czytać w księgach, ale również ja opowiem o Tariku, dzielnym Beni Sallah, w państwach, na których ziemi postawię swą stopę. Niech Allah błogosławi wasz ród i plemię Beni Abbas, które u was gości, czy będziecie walczyć z nami?

— Oczywiście, że będziemy walczyć razem z naszymi przyjaciółmi — zdeklarował się szejka Beni Abbas.

Nikt z nas nawet nie *zauważył*, że Badija, która od śmierci ostatniego szejka Beni Sallah rządziła plemieniem jako Khanum, Królowa Pustyni, podeszła do kręgu zebranych i przysłuchiwała się obradom. Ale teraz wszyscy zwrócili się w jej stronę, gdy zawołała:

— Nie! Czyż mój ojciec przybył tu, aby zginąć trafiony od kuli?

Była rzeczywiście piękna i nikt nie mógł oprzeć się jej urokowi, a jednocześnie w jej dużych, ciemnych oczach osadzonych w owalu twarzy koloru brązu z wąskim nosem i delikatnym zarysem ust, było coś władczego. Swe wysokie, szczupłe ciało otuliła tego ranka w ciemnoniebieską, podobną do koszuli szatę jak te, które nosi na codzień większość kobiet w *duarze*; tylko na kruczoczarne włosy zarzuciła białą, jedwabną chustę a jej szyję zdobił sznur bursztynów.

Wmieszanie się Khanum do obrad rady było w oczach zebranych Beduinów czymś nagannym. Plemię Beni Sallah miało już nowego szejka a Khanum -jak wyrażono by to u nas — abdyko-wała. Jednak szacunek dla niej, jaki umiała sobie zjednać od dnia przybycia do tego plemienia, był tak duży, że nikt się nie odważył złajać ją za nieprzystojne zachowanie.

— Czyż moje życie nie jest w rękach Allacha? — zapytał stary szejka. — Czyż los człowieka nie jest zapisany wraz z jego przyjściem na świat? Jeśli będę walczył wraz z wami, to spełnię wolę Allacha, jeżeli nie będę brał udziału w tej wojnie, spełni się również jego wola! Dlatego wybieram to pierwsze. Beni Sallah nie mogą uważać Beni Abbas za tchórzki!

— Nie pozwolę, aby do tego doszło! Efendi, pomóż mi — Khanum zwróciła się teraz do mnie.

Uspokoilem ją gestem ręki i zwróciłem się do *dżem my*:

— Nie znam taktyk wojennych synów pustym, ale wiem, jak inne wielkie i dzielne narody odnosiły zwycięstwo za zwycięstwem. Na pewno ich sztuka walki nie jest taka jak wasza, ale chcę wam ją przybliżyć a potem wy zdecydujecie, którą z taktyk wybierzemy dla tej bitwy.

— Mów. Słuchamy — poprosił Esra.

— Zanim ułożymy jakiś plan musimy poznać siebie i wroga. Beni Suef to sześciuset wojowników, z których pięćdziesięciu zostanie przy zwierzętach. Nas jest ośmiuset, a więc

liczebnie przewyższamy przeciwnika. Oprócz tego, liczę na nowe karabiny, które być może znajdują się tutaj jeszcze dziś. Możemy więc być pewni, że zwycięstwo należy do nas. Czy sądzicie inaczej?

Głośne, potwierdzające moje słowa okrzyki.

— Ale każde zwycięstwo pociąga za sobą ofiary. Również to zwycięstwo, którego oczekujemy, nie będzie inne. Mądry dowódca będzie więc koncentrował się zwłaszcza na tym, aby ofiary nie były zbyt duże. Zrobi tak też wasz wódz Tarik. Czy sądzisz szejku, że powinniśmy spokojnie czekać, aż nadejdą Beni Suef i napadną na nas?

— *Rhemallah!* Niech Allah zachowa! Nie jest to moim zamysłem — odrzekł Tarik, widocznie ucieszony tym, że podsunąłem mu ten plan.

— Sądzisz więc, że nie powinniśmy na to pozwolić, aby oni na nas napadli pierwsi. Możemy przecież wyruszyć im naprzeciw, aby ich zaatakować!

— Tak, to właśnie był mój plan, który poddałbym radzie, gdyby moja jakakolwiek rada była potrzebna tak świątłym mężom *dżem my*.

— Twoja propozycja to najlepszy plan — powiedziałem tonem tak głębokiego uznania, jak gdyby ta myśl wyszła rzeczywiście od Tarika. — Jeżeli wyruszymy naprzeciw naszym wrogom, to pole bitwy będzie znacznie oddalone od obozu. Możecie więc spokojnie opuścić *duar* i pozostawić wasze stada na pastwisku. Waszym kobietom i córkom, starcom, chorym i słabym nie spadnie włos z głowy. A my pokonamy wroga, zanim zdąży zrobić użytek ze swojej broni. Odniesiecie tak wspaniałe zwycięstwo, jakiego nie wywalczył jeszcze nikt przed wami. Jest to plan waszego wodza, a ja całkowicie się z nim zgadzam. Niech Allah zachowa Tarika, szejka Beni Sallah przez wiele dni, miesięcy i lat.

— Allah! Allah! — rozległo się wokół.

Tarik aż pokrył się rumieńcem z radości i zakłopotania jednocześnie, a policzki Khanum stały się purpurowe.

— Ale i tak będę walczył z wami — powtórzył jej ojciec.

— Tak! Powinniście również wziąć udział w tej potyczce — powiedziałem. — Musimy mieć wojowników, którzy w czasie naszego wymarszu będą strzec *duaru* i niech to uczynią dla nas dzielni Beni Abbas. Niech powstrzymają Beni Suef, którzy być może przedrą się przez nasze szeregi i będą chcieli rabować, i plądrować *duar*. Czy się z tym zgadzacie, szejku?

— Tak — odrzekł Tarik i podał dłoń swojemu teściowi. — Oto zawieramy ci wszystko, co jest w naszym posiadaniu. Wiemy, że będziesz tego dobrze strzegł.

I ta propozycja została przyjęta z uznaniem. Postanowiono jeszcze, że nie napadniemy na wroga, ale będziemy na niego czekać poza *duarem* przed piaszczystymi wydmiami, które ciągnęły się w odległości kwadransa drogi na południe od oazy. Były to tak zwane wydmy wędrujące, których drobniutki, luźny piach zasypywał pustynne zarośla przy mocniejszych podmuchach zachodniego wiatru. Dlatego też wędrują one bardzo powoli, ale zawsze w kierunku z zachodu na wschód. Jeżeli te wzniesienia nie były jeszcze zbyt wysokie, to można było się już za nimi ukryć.

Właśnie tam chcieliśmy pozwolić przeciwnikowi możliwie blisko podejść, a później powitać go niespodziewaną salwą wystrzałów. Broń, na którą tak niecierpliwie czekaliśmy, miała o wiele większy zasięg, aniżeli dotychczas znana, więc nasz atak powinien nam przynieść zwycięstwo.

Próbowałem jeszcze przekonać Beni Sallah do trochę łagodniejszego sposobu walki, bez przelewu krwi, ale pod tym względem byli nieprzejednani.

Prawym skrzydłem miał dowodzić Tarik, ja lewym. Hiłal po swoim powrocie miał otrzymać zadanie, aby z kilkoma dobrymi, zaprawionymi w biegach wojownikami, podejść możliwie blisko stanowisk wroga, aby go obserwować. To przedsięwzięcie było konieczne, aby zapobiec niespodziewanemu uderzeniu z innej, niż oczekiwanej przez nas, strony.

Jak widzisz drogi Czytelniku, nasz „plan działań wojennych” był w dużej mierze oparty na wydarzeniu, które jeszcze nie miało miejsca, a mianowicie na powrocie Hilala z karabinami.

Co będzie, jeżeli brat szejka nie odnajdzie miejsca zasypania karawany? Lub jeżeli wydobycie broni zabierze tyle czasu, że powróci zbyt późno? Co prawda, mogłoby i tak dojść do klęski Beni Suef, ponieważ Beni Sallah zostali ostrzeżeni i nie można było liczyć już na zaskoczenie, jak to czynili wrogowie. Do tego dochodziła przewaga liczebna Beni Sallah, więc należało założyć, że Beni Suef muszą odstąpić od dalszego natarcia. Ale nie chodziło tylko o to, aby odeprzeć natarcie wroga. Nie! Zamiarem Beni Sallah było zniszczenie przeciwnika do tego stopnia, aby przez wieki nie przyszła im do głowy nawet myśl o wojnie i napadach. A do tego niezbędna była broń. I to broń, która dotarłaby na tyle wcześnie, aby Beni Sallah mieli jeszcze czas wprawić się przed bitwą w posługiwaniu się tymi tak dla nich niezwykłymi strzelbami. Musieliśmy więc i z naszej strony uczynić wszystko co możliwe, aby zapewnić dotarcie tej broni w porę.

Dlatego też zaproponowałem *dzemmie*, aby wysłać naprzeciw karawany kilku wojowników z dużą ilością jucznych zwierząt. Musieliśmy bowiem założyć, że wielbłądy karawany Hilala nie będą już tak szybkie w drodze powrotnej, co pociągnęłoby za sobą tak

znamiennie w skutkach opóźnienie. Jeżeli udałoby się nam wyjechać możliwie daleko naprzeciw Hilala, to oznaczałoby to dla nas zaoszczędzenie kilku godzin, co w stosunku do niewielkiej ilości czasu, jaką jeszcze dysponowaliśmy, było bardzo ważne.

— Jak sądzisz — zapytał szejka odpowiadając na moją propozycję, — kiedy może przybyć w najlepszym czasie Hilal?

— Wszystko zależy od tego, czy twój brat będzie miał szczęście w wyszukaniu miejsca zasypanej karawany. Jeżeli je miał, to powinien dotrzeć do niej wczoraj. Zanim zapadł zmrok, powinien uporać się z wykopaniem broni i naboju. Pozostaje pytaniem, czy wyruszył bezzwłocznie, czy też dopiero dziś o brzasku. Może więc przybyć albo dziś po południu, albo dopiero bardzo późno w nocy.

— Zgadzam się z tobą. Musimy więc uczynić wszystko, aby przyspieszyć jego powrót. Ale teraz najważniejsze: kto ma dowodzić wojownikami, którzy wyruszą naprzeciw karawany Hilala? Nie znam drogi, którą należałoby wybrać, a od północy dnia wczorajszego minęło już więcej niż trzydzieści godzin i wiatr dawno zatarł wszelkie ślady na pustyni.

Hm? O tym nie pomyślałem. Był tylko jeden człowiek, który znał drogę. Byłem nim ja. Ale spędziłem dwadzieścia cztery godziny w siodle i nikt nie mógł mieć mi za złe, że tęskniłem już za odpoczynkiem.

Z drugiej jednak strony było to tak ważne, że nawet sam fakt, iż jako gość Beni Sallah nie musiałem się troszczyć o pomyślność *Waru*, nie pozwolił mi, abym wyłączył się z tego zadania. Dlatego też odpowiedziałem na ukrytą w pytaniu prośbę szejka.

— Jeżeli chcesz powierzyć mi dowództwo, to obiecuję ci, że uczynię wszystko, aby odnaleźć Hilala i dowieźć z nim oczekiwaną broń.

— *Hamdulillah!* Czy naprawdę tego dokonasz? Więc już mogę przestać się martwić. Ale czy nowa wyprawa nie będzie dla ciebie zbyt uciążliwa? Jesteś przecież naszym gościem i...

— Nie myśl o mnie, ale zatroszcz się o to, aby za pół godziny przygotowano zarówno zwierzęta jak i jeźdźców. Ja wmiędzyczka-się przygotuję się również do drogi.

Członkowie *dżemmy* nie wyrazili żadnego sprzeciwu, abym to ja wyruszył. Zagłosowali jednomyślnie. I tak zakończyła się narada wojenna.

— *Allah il Allah we Mahomet rassuhl Allah.* I z tymi słowami rozeszliśmy się.

Punktualnie za pół godziny stanęła gotowa do wymarszu karawana, którą miałem poprowadzić. Składała się z pięciu jeźdźców na wielbłądach i dwudziestu zwierząt bez ładunku. Wyszukano najszybsze wielbłądy, aby możliwie wydatnie przyspieszyć dostarczenie broni. Ponieważ chcieliśmy odciążyć Hilala tylko z takiej ilości broni i amunicji, jaką

przewidywalnie mogliśmy potrzebować w walce, naszym zamiarem było takie rozłożenie ciężaru na dwadzieścia wielbłądów, abyśmy drogę powrotną mogli przebyć w jak najkrótszym czasie.

Dżemma trwała mniej więcej godzinę, a mój zegarek wskazywał ósmą, gdy opuściliśmy *duar* kierując się na zachód. Pozostawiłem Halefowi wolną rękę, czy będzie mi towarzyszył, czy też zostanie w obozie, ale dzielny „malec” odrzucił nawet myśl o odpoczynku, gdy jego *sidi* będzie torturowany natarczywością słońca, a być może nawet połknięty przez bezkresną gardziel pustyni.

Było nas więc siedmiu. Siedmiu mężczyzn pędzących na czele dwudziestu szybko nogich *dżemmelów*. Nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa, bo całą naszą uwagę pochłaniała droga, o ile można na pustyni w ogóle to słowo stosować. A zresztą, nasz pośpiech uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę.

Nie było dla mnie łatwym zadaniem dokładne zachowanie kierunku, z którego przybyliśmy kilka dni wcześniej. Nie mogłem odnaleźć już żadnego śladu na piasku, a piaszczyste wydmy były jak jajka bliźniaczo podobne do siebie. Ale tam, gdzie zawodziła pamięć, pomagało mi przecucie trapera, które mógłbym porównać z szóstym zmysłem. Ten właśnie „szósty zmysł” rozwinął się u mnie w czasie wieloletniej wędrówki na Dzikim Zachodzie Ameryki Północnej tak, że nie wątpiłem ani przez chwilę, iż jestem na właściwej ścieżce.

Jechaliśmy już dobre trzy godziny i w tym czasie przebyliśmy z pewnością trasę, której Hilal ze swoimi obładowanymi ponad miarę wielbłądami nie zrobiłby nawet w sześć godzin. Coraz częściej sięgałem po lunetę. Zakładając, że Hilal nie tracił czasu i jeszcze wczorajszej nocy wyruszył w drogę powrotną, nie powinien być już zbyt daleko od nas. Ale to zależało od bardzo wielu czynników, a zwłaszcza: czy odnalazł on od razu ten tak ważny punkt na pustyni, czy też poszukiwania trwały bardzo długo.

Mogłem się tylko pocieszać jego zapewnieniem, że zna pustynię jak własną kieszeń; a zresztą byłem prawie przekonany, że już od dawna wędruje ze swym cennym ładunkiem w kierunku oazy.

Właśnie skierowałem swoją lunetę na grzywę jednej z wydmy, która wznosiła się w dość znacznej odległości od nas. I wtedy zauważyłem na szczycie grzbietu wydmy jeźdźca. Ale już w następnej sekundzie zniknął we wgłębieniu. Wkrótce jednak wynurzył się znów, pokonując następne wzniesienie. Gołym okiem nie sposób byłoby go dostrzec.

Jeden tylko okrzyk wystarczył, aby powiadomić moich ludzi. Wszyscy spoglądaliśmy teraz w tym kierunku i już po krótkim czasie można było zobaczyć bez lunety, jak jeździec naprzemian zjawia się na grzbiecie wydmy a potem znika w dolinie piaszczystych fal.

Chwyciłem swój sztucer i wystrzeliłem. Jeździec przystanął, a potem zdawać by się mogło, że spojrzął w naszą stronę. Być może oceniał tylko odległość, jak daleko jesteśmy od niego i czy musi się mieć przed nami na baczności. Przez chwilę tkwił nieruchomo i obserwował nas. A potem zaczął powoli jechać w naszym kierunku. Ale już wkrótce przyspieszył krok swojego wielbłąda. Chyba doszedł do wniosku, że w tej okolicy i właśnie na tej linii może spotkać tylko przyjaciół. Gdy właśnie wynurzył się na grzbiecie którejś z kolei wydmy, zatrzymał się gwałtownie. Radośnie wyciągnął prawą rękę na powitanie, a później już tylko zachęcał swojego wielbłąda do przyspieszenia kroku. I ja rozpoznałem tego jeźdźcę. To Hilal, który z jakiegoś powodu wyprzedził swoich ludzi. Już z daleka wymachiwał do nas, a gdy wreszcie do nas dotarł, zawołał radośnie:

— *Hamidulillah!* Niech będą dzięki Allachowi, że obdarowuje mnie łaską ujrzenia ciebie. Mamy je! Mamy karabiny! Mamy je wszystkie! Mamy też naboje, pełne trzydzieści skrzyń! *Allah ak-bar!* Allach jest wielki i obdarowuje synów Sallah jednym dniem radości goniącym drugi jeszcze radośniejszym!

— Dlaczego jedziesz sam? — zapytałem.

— To dla bezpieczeństwa swoich ludzi jechałem przodem.

— Czy są daleko w tyle?

— Nie, dotrą tu za parę minut.

— To dobrze.

— Dlaczego? Czy coś się stało w obozie? I skąd tyle zwierząt w waszej karawanie?

Opowiedziałem mu krótko o wydarzeniach, które rozegrały się w czasie jego nieobecności i o celu naszego wymarszu w pustynię. Potem chciałem usłyszeć o jego wyprawie. Wykonanie zadania, które powierzono karawanie Hilala, przebiegało zgodnie z planem. Hilal nie musiał zbyt długo szukać miejsca, gdzie straszliwy *samum* pogrzebał żywcem handlarzy bronią. Zatknięta przeze mnie trzcinka bambusowa spełniła doskonale swoją rolę. Już z daleka zdradziła mu szukany punkt. Nikt nie odkrył miejsca ukrycia broni, a po dwóch godzinach dwadzieścia pakunków ze strzelbami i trzydzieści skrzyń naboji było już załadowane na wielbłądy. Po zakończeniu prac Hilal nie zwlekał ani minuty, ale nakazał wyruszyć w drogę powrotną. Zwierzęta odpoczęły trochę w czasie załadunku i zapadający zmrok zastał karawanę w czasie marszu. Oczywiście, droga powrotna zabierała o wiele więcej czasu i sił. Mimo to,

rankiem minęli już najgorszy odcinek pustyni i Hilal miał nadzieję dotrzeć do *duaru* późnym popołudniem. Nasze pojawienie się zmieniło wszystko. Zanim jeszcze Hilal skończył swoje sprawozdanie, już zauważyliśmy w oddali jego karawanę. A po jej przybyciu gorączkowo zaczęliśmy przeładowywać to— były z bronią na nasze niezmęczone zwierzęta. Zabraliśmy tylko jedną skrzynię z nabojami, bo jej zawartość wystarczyłaby, aby pokonać nawet dziesięciokrotnie silniejszego przeciwnika niż Beni Suef

A potem droga powrotna. Hilal pojechał z nami, a swoim ludziom nakazał powoli podążać po naszych śladach, aby zapobiec odkryciu przez szpiegów Beni Suef Trzystu sztuk karabinów było dla naszych dwudziestu wielbłądów tak niewielkim obciążeniem, że ich ciężar prawie nie utrudniał szybkiego tempa. Na dodatek mogliśmy poruszać się po naszych własnych śladach, które z mile teraz widzianą przez nas wyrazistością rysowały się na piaszczystych powierzchniach.

Właśnie minęła pora modlitwy popołudniowej — *asr*, gdy nasza *kafllah* osiągnęła *duar*. Zgotowano nam tam przyjęcie tak gorące, że z trudem udało mi się wymknąć z uścisków rozradowanych Beduinów. Zawołałem obydwu Synów Błysku i kazałem przynieść jedną sztukę nowej broni. Tak, jak już stwierdziłem, gdy zobaczyłem tę broń po raz pierwszy na pustyni, były to angielskie wielostrzałowce. Objąsniłem braciom konieczne ruchy i rozłożyłem zamek karabinu, a później poleciłem im sprawdzić, czy do niektórych karabinów nie dostał się piasek.

Na pewno pamiętasz jeszcze Czytelniku, że jedna z pak uszkodziła się w czasie upadku wielbłąda i jego beznadziejnej walki z *samumem*. Właśnie ta broń musiała być dokładnie oczyszczona z miążskiego piasku. Na szczęście okazało się, że była to jedyna uszkodzona partia.

Jednak tak długo skrywane uczucie zmęczenia i snu zawładnęło teraz nad moim ciałem. Poprosiłem Tarika, aby obudził mnie za dwie godziny a potem położyłem się w tym samym miejscu, w którym stałem. Oczy zamknęły mi się same i już nic nie docierało do mojej uśpionej świadomości.

* * *

Gdy obudzono mnie zgodnie z moim życzeniem, zmęczenie zniknęło. Cały obóz tętnił życiem. Odlewano kule, przygotowywano naboje i wkładano lonty do puszek z ubitym prochem. Każdy przygotowywał sobie zapas ładunków w zależności od rodzaju broni jaką posiadał. Tarik rozdzielił nowo zdobytą broń wśród swoich najlepszych strzelców. Kazałem im

się zebrać na wolnym placu przed ruiną zamczyska i zacząłem im wyjaśniać obsługę i strzelanie na rozkaz. Oczywiście, nie używaliśmy prawdziwych naboju, tylko puste łuski, aby zwiadowcy wroga, którzy mogliby kręcić się w pobliżu duaru, nie nabrali podejrzeń.

Beduini pojęli szybko o co chodzi. Każdy z niemieckich podoficerów na pewno z przerażenia załamywałby ręce i z jego ust padłoby niejedno przekleństwo. Ale nie mieliśmy za przeciwnika regularnej armii a tylko chmarę Beduinów, którzy mieli w zwyczaju walczyć bez reguł i porządku. Właśnie w tym wypadku nasz nowy sposób walki miał być największym zaskoczeniem i największą siłą niszczenia.

Później wyruszyłem ze swoimi podopiecznymi na wydmy, aby dalej ćwiczyć. Każdy miał dokładnie znać swoje miejsce i wiedzieć co do niego należy. Były to prawdziwe manewry dostosowane do warunków pustynnych i muszę przyznać, że Beni Sallah bardzo szybko nauczyli się grać swoje role, chociaż byli przyzwyczajeni do walki siedząc w siodle na koniu lub wielbłądzie, a każdy z nich miał dotąd wolną rękę co do wyboru sposobu walki. Zapał, jaki ogarnął tych ludzi, nie wróżył nic dobrego dla wroga. Jeszcze raz próbowałem przekonać Tarika, żeby oszczędzać wroga. Spojrzał mi długo i wymownie prosto w oczy, a potem potrząsnął przecząco głową.

— Panie, gdybyśmy nie wiedzieli, jak wielką posiadasz w sobie siłę i odwagę, musielibyśmy powiedzieć, że boisz się przeciwnika. Zrezygnuj z prób wyproszenia litości dla Beni Suef! To rabusie i złodzieje. Już nieraz przez nich nasz *duar* zanosił się płaczem żon i córek. Jeżeli nie chcesz stracić miłości i uznania naszych wojowników, pozwól im pobić wroga na śmierć. Wierz mi, Beni Suef zasłużyli na to stokrotnie! Ja też znam swoich ludzi. Ale możesz porozmawiać z nimi o tym po zwycięstwie!

* * *

Tak przeminął dzień. Zapadła noc. Nie zapalono ognisk, aby nie dać zwiadowcom okazji do zauważenia istotnych zmian w *duar ze*. Było przecież wciąż możliwe, że Beni Suef zmienili swój plan i przenieśli atak na wcześniejszą porę. Ale nic podobnego się nie stało. Minęła północ i Hilal wyruszył ze swoimi zwiadowcami w drogę. Pół godziny później wyruszyło ośmiuset uzbrojonych Beni Sallah w kierunku wydmy. Stu spośród nich miało ze sobą konie i ustawiło się w połowie drogi jako osłona dla *duaru*. Pozostali utworzyli potrójny rząd o takiej mobilności, że w przeciągu minuty mógł się on kurczyć lub, gdy konieczne, rozciągać wszcz.

Trzystu strzelców zajęło pozycję w pierwszym rzędzie. Stary szejka Beni Abbas zgodnie z umową rozstawił posterunki swoich ludzi wokół oazy.

Okolo drugiej przesłał Hilal przez jednego ze swoich ludzi wiadomość, że przybyli w pobliże obozu wroga, ale panuje w nim jeszcze całkowity spokój. W pół godziny później przybył drugi posłaniec z wiadomością, że wrogowie zaczynają się przygotowywać. O trzeciej powrócił Hilal ze swoimi ludźmi i przyniósł wieść, że Beni Suef wyruszyli i będą oczekiwać na nadejście poranka w odległości co najwyżej trzech tysięcy kroków od nas. Wszystkich opanowało napięcie, którego nie da się opisać. Miały stanąć naprzeciw siebie dwa plemiona — ludzie tego samego pochodzenia, mężowie jednej krwi i jednego języka, mieszkańcy jednego kraju, a jednak pełni zapału, aby wzajemnie się wyniszczyć. Minuta mijała za minutą.

Na wschodzie zaczął odbarwiać się błękit nieba. Stawał się coraz bardziej matowy, w końcu biało-żółty i teraz już można było dostrzec większe przedmioty i zarysy postaci, i to w znacznej odległości. Hilal leżał tuż obok mnie, tak jak ja na ziemi. Wszyscy mieliśmy wzrok skierowany tylko w jednym kierunku. Stawało się coraz jaśniej. Można było już widzieć na odległość stu, potem tysiąca kroków. W końcu, daleko na horyzoncie, zauważyłem bezładną masę postaci.

— Uwaga — szeptano z ust do ust.

Zbliżali się Beni Suef, ale nie w uporządkowanej linii, lecz w beztroskim nieładzie i szli prosto na środek naszej linii obrony. Nawet nie przeczuwali, jakiemu losowi wychodzą naprzeciw maszerując przez piaszczyste wzniesienia. Najbardziej wysunięci do przodu byli oddaleni jeszcze o około sto pięćdziesiąt kroków. Wtedy wyłoniłem się zza wydmy i podniosłem w górę prawą rękę. — *Wakkif*, stać!

Wrogowie zaskoczeni zatrzymali się i wyglądało na to, że się naradzają. W tym samym momencie nad horyzont wysunęło się słońce jak olbrzymia, czerwona tarcza, wspięło się wyżej a potem zmniejszyło się i zamieniło się w oślepiającą kulę ognistą, która w mgnieniu oka rozjaśniła wszystko wokół i zanurzyła nawet moją postać na grzbiecie wydmy w jaskrawym ukropie. Widziałem dokładnie, jak mężczyźni w dole wydmy spoglądali ku mnie i naradzali się między sobą.

Po pewnym czasie od wysuniętej naprzód grupy odłączyła się pojedyncza postać. Było Amram, zięć szejka. Przyłożył obie dłonie do ust, abym mógł go lepiej zrozumieć i zawołał:

— *Sabakha bilkheer!* Dobre rano!

— *Miht sabah*, niech Allah pozwoli ci przeżyć sto dobrych poranków — odrzekłem.

— *Mehn hua'l* Kim jesteś?

— Kara Ben Nemzi.

Zauważyłem jego zdziwienie. Nie spodziewał się spotkać mnie tutaj.

— Zbliź się — zawołał po chwili. — Chcemy z tobą pomówić!

— Więc zbliźcie się wy! Kim jesteście?

— Jesteśmy sprzymierzeńcami plemienia Beni Sallah.

— A co was tu sprowadza?

— Chcemy odwiedzić naszych braci.

— Więc dotarliście już prawie do celu. Ale jak to się stało, że przybywacie tak licznie?

— Chcemy urządzić fantazję!

— Więc podejdźcie bliżej. Jeżeli jednak nie jesteście tymi, za których się podajecie, to miejcie się na baczności!

— Dlaczego rozmawiasz z nami aż z takiej odległości? Czy Allah pozbawił cię nóg, czy odwagi?

— Obdarzył mnie jednym i drugim. Ale tobie poskąpił odwagi. W przeciwnym razie nie przystanąłbyś. Od Amrama Beni Suef oczekiwałbym więcej!

— *Allah il Allah!* Czyżbyś wziął mnie za zięcia szejka Beni Suef?

— Tak, a ten, który stoi obok ciebie, to twój teść Mehemmed -szejk.

— *Allah kerihml* Twe oczy mylą się!

— Czyż mogą się mylić teraz, w biały dzień, a nie myliły się wczoraj, gdy było ciemno?

— Widziałeś nas już wczoraj? Gdzie?

— W Fers el Hadszar, gdzie zmierzaliście do Córek Wiatru, aby omówić plan napadu.

Te słowa wywołały wśród Beni Suef zamierzony efekt. Ich myśli biegły szybko -jeżeli podsłuchałem ich rozmowę, to i Beni Sallah zostali ostrzeżeni. I byli z pewnością przygotowani na natarcie.

— Zawróćcie — zawołałem teraz głośno i natarczywie. — Przybyliście, aby nas podstępnie napaść, ale chcę was jeszcze ostrzec i odwieść od tego zamiaru.

— Zawróć? Czy sądzisz, że sześciuset dzielnych Beni Suef boi się dwustu tchórzliwych Beni Sallah?

— Dlaczego nazywasz Beni Sallah tchórzami? Amram splunął przed siebie.

— Są podobni do szakali i sępów padlinożerców, które tylko tak mogą zdobyć swoje pożywienie. Są też podobni do małej ptaszyny siadającej na grzbiecie wielbłąda i

wydziałającej z jego skóry robactwo, która ucieka nawet słysząc głos płaczącego niemowlęcia.

— Czy mnie też uważasz za szakala, sępa lub wróbla pustynnego?

— O tak, twe kolana drżą ze strachu i już nie jesteś nawet w stanie podejść do mnie bliżej, bo dosięgłyby cię moje pięści.

Zacząłem śmiać się z jego obraźliwych słów; nie były w stanie mnie zranić, bo znałem aż za dobrze bogactwo języka Beduinów, a zwłaszcza ich obelg i radość każdego mieszkańca pustyni, gdy mógł zrobić z niego użytek. Często nazywali oni przeciwnika tchórzem, aby go zdenerwować i przez to sprowokować jego pochopne zachowanie.

Dlatego też nie brałem słów Abrama na serio. Nie powinny one mnie skłonić do oddania przewagi przeciwnikowi. Musiałem wziąć pod uwagę, że nie chodziło tu przecież tylko o moje własne bezpieczeństwo i honor. Zawsze i wszędzie starałem się unikać stosowania siły i niepotrzebnego przelewu krwi. Często, nawet bardzo często, udawało mi się to dzięki podstępowi lub sile perswazji. Starania te były związane głęboko z moimi poglądami na świat i rzeczywistość i moimi sposobami pojmowania chrześcijaństwa. Na pewno o wiele szybciej mógłbym pociągnąć za cyngiel swojego sztucera Henry'ego i wten sposób zastraszyć przeciwnika, ale u mnie zawsze trwało to trochę nim zgiąłem swój palec na cunглу i kula przesywała powietrze. Teraz też próbowałem przemyśleć wszystkie możliwości, które mogłyby doprowadzić do innego, bardziej pokojowego rozwiązania. Nie zaprzeczam, że właśnie oszczędzanie przeciwnika wiele razy spowodowało, że mój wróg był bezwzględny i podstępny, ale nie ma to większego znaczenia w stosunku do niepodważalnego faktu, że dzięki temu często moi niejednani wrogowie stawali się przyjaciółmi, a niezliczona ilość istnień ludzkich pozostawała przy życiu.

Czasami słyszałem też gorzkie słowa o moim postępowaniu. Czyż mogłem jednak postąpić inaczej jako chrześcijanin? Czasami w bardzo trudnych sytuacjach mogła uratować mnie właśnie ta wystrzelona przeze mnie kula i mogła zaoszczędzić mi wielu gorzkich chwil — ale któż z nas może twierdzić, że ma prawo „zgasić” inne życie, odbierając mu przez to możliwość poprawy i skruchy. Jak często zarzucano mi, tak w domu jak i w czasie moich podróży, że przecież mimo nauki Chrystusa i przykazania miłości bliźniego jeszcze do dziś, tysiąc osiemset lat po Golgocie, świat kapie się we krwi, i że jeden chrześcijański naród zabija inny. Na to mogę odpowiedzieć tylko, że zewnętrzne oznaki chrześcijaństwa nie mają nic, ale to nic wspólnego z wewnętrznym pojęciem tej religii, i że na pewno byłoby lepiej na świecie, gdyby tak zwani chrześcijanie nosili słowa miłości rzeczywiście w sercu, a nie tylko na języku.

Również tu, na pustyni, w tych decydujących chwilach przed krwawą bitwą, poczułem ból w sercu. Zagłuszyło ono nawet rozum, który przekonywał mnie, że mam do czynienia z żądnymi krwi i łupów Beduinami, którzy nie są w stanie usłyszeć głosu rozsądku, nie mówiąc już o sercu, a kierują się tylko namiętnościami.

Podniosłem więc jeszcze raz prawą rękę i podszedłem kilka kroków do przodu.

— *Wakkif*. Stać! Wojownicy Beni Suef, nie pędźcie prosto w ramiona śmierci. Jeżeli nie posłuchacie moich słów, to wielu z was nie powróci do *duaru*, bo...

— *Zamilcz!* — przerwał mi Amram. — Z twych ust płyną słowa zachęcające do tchórzostwa. Dzielny Beduin walczy, a nie mówi! Naprzód dzieci prochu! Strzeżcie się tchórze! Nasze szable i lance będą kapać od waszej krwi a wasz dobytek oddamy w prezencie naszym kobietom! Ognia, dzielni Beni Suef! To nie kule zabijają, o wszystkim decyduje przeznaczenie! To ono zabija.

Tymi słowami zagrzewał Amram swych młodych wojowników do walki. Odpowiedzią były okrzyki pełne zapału. Uczyniłem jeszcze jeden krok do przodu i zawołałem:

— Oby Allah oświecił wasze umysły! Mam wobec was dobre zamiary. Mylicie się sądząc, że jest nas tylko dwustu ...

— Psi synu! Będiesz pierwszym, którego dosięgnie moja kula!

Chwył swą długą flintę i wystrzelił. Moje oczy śledziły jednak każdy jego ruch i w tym samym momencie, gdy naciskał spust, szybko rzuciłem się na ziemię i kula zaświszczała tuż nad moją głową.

Ten strzał był dla Beni Sallah oznaką rozpoczęcia natarcia.

— *Jalla i*Naprzód! — usłyszałem głos szejka tuż za mną.

Być może sądził, że kula Amrama trafiła mnie; mój unik i odgłos wystrzału nastąpiły jednocześnie.

Szybko pozbierałem się z piasku i w kilku susach dopadłem wydmy.

Po swoim tchórzliwym ataku na mnie Amram ruszył do przodu z wzniesioną ku górze strzelbą. Beni Suef za nim.

Wtedy wystrzelono zza wydm pierwszą salwę ku atakującym. Zaskoczona masa wroga zatrzymała się jak przygwożdżona kulami. Trwało to jednak tylko moment. Zbita i zdezorientowana wydała głośny okrzyk wściekłości i kto nie był martwy lub ranny, atakował na ślepo.

Ale wkrótce padła druga salwa. Wyglądało to tak, jakby dobrze wyszkolona armia odpierała atak kawalerii. Beni Suef padali jeden za drugim. Zginął szejek. Amram żył jeszcze, ale ranny i ryczący z upokorzenia nadal zagrzewał swoich ludzi do ataku i jeszcze raz rzucił się naprzód — prosto w objęcia śmierci.

Beni Sallah załadowali ponownie broń. W ogólnym zamieszaniu tylko niewielu z nich zauważyło, że wróciłem z pertraktacji z Amramem żywy. Wszyscy jednak widzieli jak się przewracam i jeszcze wciąż sądzili, że kula Amrama przeszła moje ciało. Wieść o śmierci Ojca Błysku podsyciła jeszcze bardziej nienawiść w sercach Beni Sallah.

Trzecia salwa spełniła swą powinność. Przez chwilę trwał jeszcze napór atakujących. Później zaczęli się rozpraszać; najpierw powoli, a później szybko i coraz szybciej szukali ratunku w ucieczce.

— Straż tylna na konie! — zawołałem w kierunku wrzawy. — Nie pozwólcie, aby wrogowie dostali się do swoich koni!

Gdy bowiem rozległy się trzy salwy pod rząd, straż tylna była przekonana, że mamy trudności z zatrzymaniem wroga. Był to bowiem nasz umówiony znak. Przybyła więc tak szybko, jak to było możliwe. I zaledwie Beni Suef rzucili się do ucieczki, jeźdźcy już popędzili za nimi. Niespodziewanie dotarła jeszcze druga grupa jeźdźców: stary szejek Beni Abbas ze swoimi ludźmi.

Przystanąłem zdziwiony. Skąd on tutaj? Jego zadaniem było przecież osłanianie obozu.

Zwyciężyła w nim żądza walki; wskoczyli na najlepsze konie i szybkością wiatru podążyli za strażą.

Najchętniej uczyniłbym to sam i przypomniał zapaleńcowi o jego obowiązkach zmuszając go do powrotu do *duaru*. Musiałem jednak z tego zrezygnować, bo nie miałem konia, aby go dogonić.

Nic już nie mogło zatrzymać teraz Beni Sallah. Wszystko, co mogło się poruszać, biegło obecnie za uciekającymi. Krzyczano ile sił w płucach a zgiełek ludzki mieszał się z rzeniem koni i odgłosami wystrzałów. Wołano:

— Ha, uciekają wspaniali wojownicy, którzy szczycili się swoją bronią, a w czasie świąt stroili się w kosztowne szaty jak pawie! Biegnijcie, wy psie syny! I tak was dopadniemy! Brońcie się! Od dziś nie jesteście godnymi zwać się mężami!

Beni Suef byli tak pewni swojego zwycięstwa, że odwrócenie ról było dla nich niezwykle bolesne. Gdy ich szejek i jego zięć zginęli, znalazło się niewielu, którzy jeszcze próbowali, na próżno zresztą, zatrzymać falę uciekinierów:

— Czy jesteście mężami czy nie? Hańba! Walczcie, aby nie powiedziano, że Beni Suef uciekają z pola bitwy!

Te słowa nie były w stanie zatrzymać Beni Suef. Chociaż kule dosięgły tylko nielicznych z nich, a wśród wydm leżało niewiele ponad tuzin zabitych, te trzy salwy odebrały Beni Suef odwagę. Wszyscy biegli z powrotem do obozu, wskakiwali na co lepsze konie i odjeżdżali w popłochu.

Wraz z ostatnimi z nich, do obozu wdarli się także zwycięzcy i żaden z uciekających nie miał już czasu, aby zabrać coś ze sobą. Beni Sallah zeskoczyli z koni i rzucili się na wszystko, co tylko było w obozie. Ich żądza łupu była niepohamowana.

Zdyscyplinowane wojska europejskie zaniechałyby tego i kontynuowałyby pościg. Synowie Sahary nie wiedzieli co to opanowanie. Obóz był przecież olbrzymi. Były w nim namioty, konie, wielbłądy, broń, koce, ubrania i inne przedmioty, które kłuły w oczy zwycięzców do tego stopnia, że większość z nich już nie myślała o tym, aby deptać po piętach uciekającemu wrogowi.

Inni, o bardziej wojowniczej naturze, ścigali rozproszonych wśród wydm. Byli nieubłagani, nie szczydzili nikogo, bo wiedzieli, że w razie klęski i oni nie zaznaliby litości. Do nich dołączył również Tarik. Zapomniał, że był wodzem. Syn Błysku walczył teraz jak prosty wojownik i nie myślał o tym, że powinien rozkazać pościg za przeciwnikiem.

Wszystkie te przemyślenia chodziły po mojej głowie. Gdy zobaczyłem że zwycięstwo jest pewne, nie brałem już udziału w pościgu. Jako gość Beni Sallah, czułem się co prawda w obowiązku pomóc im w odparciu ataku, ale nie oddałem ani jednego strzału w kierunku wroga. Nie było moim zamiarem wyniszczenie plemienia Beni Suef. Mierziła mnie ta bezlitosna walka. Synów pustyni porwała żądza zabijania. Ta sama, która również masy tak zwanych cywilizowanych ludzi popycha do najstraszniejszych czynów. Jako Europejczyk nie miałem prawa wywyższać się nad tych, prawie nie skażonych cywilizacją ludzi i wołać jak Faryzeusze w Ewangelii: „Boże! Dzięki Ci, że nie jestem taki jak oni!”.

Zanim zdążyłem ochłonąć, już zabito bezbronnych, rannych, a upojeni zwycięstwem Beni Sallah i tak nie zrozumieliby, gdybym robił im z tego powodu wyrzuty. Dlatego udałem się w kierunku wroga z mieszanymi uczuciami. To co tam zobaczyłem, przeszło moje oczekiwania. Nie tylko wojownicy, ale nawet starcy, kobiety i dzieci, którzy opuścili *duar*, plądrowali wszystko, chcąc mieć jak największy udział w łupie. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy widziałem jak zdzierano z umierającego ubranie. Nie mogłem się opanować. Odtrąciłem kilku starców i zawołałem:

— Modlicie się do Allacha miłosiernego, żądacie od niego dla siebie miłosierdzia, ale sami jesteście, jak cuchnące hieny, wydzierające sobie nawzajem padlinę. Pozwólcie temu człowiekowi spokojnie umrzeć!

Mężczyźni zaczęli przeklinać, a kobiety gderać. Zaczęli otaczać mnie ze złowrogimi minami i przywoływać innych. Nie brakowało dużo, aby się na mnie rzucili. Na szczęście przejeżdżał tamtędy Tarik, który powrócił z pościgu za wrogiem. Od razu rozpedził zebranych w ciasnym kręgu wokół mnie. Potem zebrał wojowników.

— Co czynicie? — zawołał szejk. — Bierzecie szaty i łachmany, które i tak wam nie umkną, a pozwalacie uciec wrogowi. Zostawcie to! Wszystko zostanie zebrane i później sprawiedliwie rozdzielone. Mamy teraz inne zadanie.

Nikt nie odważył się sprzeciwić. Ale wróg umknął w międzyczasie. Beni Suef zabrali najlepsze konie, a w ich obozie pozostały tylko te mniej szybkie.

— Za mną — zawołał szejk i wziął za cugle pierwszego, lepszego konia i właśnie zamierzał go osiodłać, gdy go zatrzymałem słowami:

— Zaczekaj, proszę! Spójrz na tego konia. Czyż na nim chcesz dogonić uciekających Beni Suef?

Tarik zobaczył dopiero teraz, że wybrany przez niego koń był ranny od kuli i krwawił.

— Masz rację. Osiodłam innego!

— Nie tak szybko. Naradźmy się!

— Ale w międzyczasie Beni Suef umkną nam!

— Im szybciej rozpoczniesz pościg, tym większe są szanse ich ucieczki. Spójrz na te zwierzęta. Na konie i wielbłądy! Czyżby plemię Beni Suef nie miało lepszych?

— Beni Suef posiadają jedną z najlepszych hodowli koni i wielbłądów.

— Dlaczego więc ich tu nie ma?

— Zabrali je! Te psy! Niech Allah ześle na nich wszystkie plagi! Zabrali najlepsze zwierzęta!

— Nie możesz przecież mieć im tego za złe! — zaśmiałem się. — Byliby głupcami, gdyby uczynili inaczej! Powiedz mi tylko, jak chcesz to zrobić, aby dogonić ich wyśmienite konie tymi szkapami?

— Masz rację. Na Allacha! Spieszę więc do naszego *ditaru*, aby sprowadzić tu szybsze zwierzęta.

— Tak, uczynić to, ale bez pośpiechu. Wyszukamy tutaj możliwie dobre konie, nawet jeżeli nie ma ich dużo. Na nich popędzi część twoich ludzi, aby nie stracić Beni Suef z oczu. Doliczając jeszcze straż tylną, potrzebujemy mniej więcej sześćdziesięciu jeźdźców, którzy mogą wyruszyć natychmiast.

— Efendi, masz rację. Stanie się jak chcesz. Chodź! Poszukamy razem!

Znaleźliśmy znaczną ilość świetnych koni i wielbłądów, które pozostawiono w panicznej ucieczce.

— Wystarczy — powiedziałem — chodzi teraz o to, aby nie dać Beni Suef wytchnienia, aby nie mogli się naradzać, ani wypocząć. Wybierz sobie najdzielniejszych wojowników. Niech będą gotowi natychmiast!

— Kto będzie nimi dowodził?

— Hm! Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Nie znam tych ludzi. Dowódca tego zastępu musi być bardzo ostrożny.

— Więc pojedę ja.

— Ty! Szejk! Ty musisz dowodzić całością. Dlaczego chcesz wydawać rozkazy tak małej grupie?

— Bo od tego zależy powodzenie całej akcji.

— Tu się nie mylisz. Kto będzie jednak wydawał rozkazy wszystkim innym?

— Zostanie Hilal. I... i będziesz jeszcze ty. Wiem, że nie mam żadnego prawa, aby cię prosić, byś brał udział w naszych walkach, ale...

— Jestem twoim przyjacielem. Pomogę ci.

— Czy chcesz dotrzeć aż do obozu Beni Suef?

— Tak. Musicie dobrze wykorzystać okazję i uczynić z nich swoich poddanych. Jeżeli się wam to uda, to będziecie najpotężniejszym plemieniem na zachód od Nilu i możecie być zawsze pewni poparcia i przyjaźni ze strony Kedywa.

— Napadniemy na nich i pokonamy Beni Suef. Oni chcieli nas zniszczyć, ale ja nie dążę do ich zagłady, chcę aby byli naszymi poddanymi, aż nam udowodnią, że możemy ich bez podejrzliwości uważać za naszych sprzymierzeńców.

— Nie będzie to na pewno błędem. Uciekinierzy podążą najpierw do Fers el Hadszar. Musisz jechać za nimi w tym kierunku i zapędzić ich do wioski namiotów. A tam ja będę na nich czekać, aby móc im zgotować godne powitanie.

— Jak? Czy jest możliwe, abyś mógł tam przybyć przed nimi?

— Tak! Zaraz rozkażę, aby napojono wszystkie wybrane konie i wielbłądy, dano im jeść i napełniono bukłaki. Gdy tylko będziemy gotowi, wyruszymy prosto do obozu Beni Suef

— A kto będzie osłaniał nasz *duarl*

— Szejk Beni Abbas ze swoimi ludźmi. On przejmie to zadanie. Ty możesz wyruszyć już teraz.

To był nasz plan. Tarik wyruszył ze swoimi sześćdziesięcioma, dobrze uzbrojonymi wojownikami za uciekającymi Beni Suef, a ja zebrałem rozproszonych Beni Sallah. Dołączył też do mnie Halef Brał udział zarówno w walce jak i w pościgu za wrogiem, aż do momentu, gdy znów przyszło mu na myśl, że powinien się troszczyć nie tylko o Beni Sallah, ale przede wszystkim o swojego sidi. Dlatego też powrócił do obozu.

Nagle zobaczyłem biegnącego od strony *ditaru* starca. Biegł w pośpiechu, chociaż trudno było nazwać pośpiechem jego utykanie. Widocznie musiał zostać w obozie jako jeden z najsłabszych, nawet wtedy, gdy wszyscy wyruszyli z *duaru*, aby mieć jakiś udział w łupach. Dlatego jego przyjście tak zwróciło moją uwagę. Już z daleka wymachiwał rękami jak skrzydłami wiatraka i wołał ciężko łapiąc powietrze:

— Efendi, szybko do obozu. Stało się tam coś strasznego!

— Coś strasznego? Niemożliwe! Przecież żaden z wrogów nie mógł dostać się do *duaru*.

— Może jednak mógł. Beni Abbas opuścili swe posterunki. Beni Suef mogli więc podejść od niestrzeżonej strony. Słyszałem, jak Khanum wołała o pomoc. Widziałem też biegnącego w kierunku ruiny Hilala.

Hilal! Od tej chwili nie zauważałem już uciekających wrogów. W czasie walki Hilal był wciąż obok mnie. A jeżeli opuścił plac walki, to uczynił to na pewno tylko dlatego, że musiał mieć jakiś ważny powód.

— Szybko! Halef! Dwa konie!

Wskoczyliśmy na stojące obok konie i zaczęliśmy pędzić w szalonym tempie do *dnaru*. Im bardziej zbliżaliśmy się do obozu, tym bardziej rosły moje obawy. Myślałem o Falehddie, który znalazł schronienie wśród Beni Suef i z pewnością nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o zemście. Co będzie, jeżeli udało mu się zakraść do obozu? Zadanie to nie było zbyt trudne. Beni Abbas opuścili przecież swe posterunki.

Dostrzegłem ruinę. Mogłem już rozróżnić każdy jej szczegół. Aby dostać się do podnóża schodów prowadzących w górę, musieliśmy skierować nasze konie wzdłuż obmurowań. Nagle mój koń przeraził się czegoś, co leżało na ziemi i cofnął się nie chcąc jechać do przodu. Tknięty złym przeczuciem zsiadłem z konia i zbliżyłem się do tego miejsca. Moim oczom ukazał się

straszliwy widok. Leżał tam zgruchotany Falehd. Odniosłem wrażenie, że żadna część jego olbrzymiego ciała nie ocalała. Nie oddychał. Nie żył. Jedno oko było odwrócone tak, że można było zobaczyć tylko białkówkę. Oczodół drugiego był pusty.

Nie zostaliśmy ani minuty dłużej nad tym przerażającym nawet po śmierci trupem. Pospieszliśmy schodami w górę. Tam znaleźliśmy kobiety i Hilalę, od którego dowiedzieliśmy się o przebiegu zdarzeń, które mogły tragicznie zakończyć się dla Khanum i Hiluji.

on

Z jego opowiadania i tego, co sami zobaczyliśmy, mogliśmy sobie ułożyć dość dokładny obraz tego, co nie tak dawno rozegrało się wśród ruin.

* * *

Przesycony myślą o zemście na Badii, która go odtrąciła, i na wszystkich Beni Sallah, którzy wygnali go ze swojego plemienia, Falehd obserwował z pewnej odległości wymarsz Beni Suef. Tak jak oni był pewien zwycięstwa i miał zamiar tuż po wygranej bitwie rozliczyć się z Khanum. Ale nagle wszystko zaczęło wyglądać inaczej, niż wcześniej planował. Słońce wstało, a w jego promieniach pojawił się na grzbiecie wydmy ten cudzoziemiec, któremu zawdzięczał swą klęskę w walce na pięści. Obserwował jak wymieniano słowa. Później wszędzie na szczytach wydm pojawiły się głowy i do jego uszu dotarły odgłosy wystrzałów. Falehd widział chaotyczną ucieczkę Beni Suef, ale zauważył też, jak pospiesznie opuścili *duar* Beni Sallah, aby zgarnąć łupy. Beni Abbas już wcześniej opuścili swe posterunki. Z napięciem szukał oczyma Badii, ale wśród kobiet, które opuściły *duar* nie mógł dostrzec ani jej, ani jej siostry Hilui.

Olbrzym nie był tchórzem i podjął szybko odważny plan. Wskoczył na swego konia i pogalopował w kierunku oazy, do której dotarł zupełnie niezauważony. Khanum i Hiluja stały na występie ruiny otoczonym balustradą. Zaledwie Badija dostrzegła zbliżającego się olbrzyma, zrozumiała całą grozę sytuacji.

— Falehd! Chce się zemścić! Uciekaj! — zawołała głośno i popchnęła siostrę przed sobą do wejścia aby potem podążyć w tę samą kryjówkę.

Olbrzym był jednak szybszy. Nie tracił czasu, aby zeskakiwać z konia. Wjechał na nim po schodach i już wyciągał ramiona w stronę Khanum.

— Stój! Khanum! Teraz jesteś moja!

I już prawie pochwycił ją w swe mocarne ramiona, ale Badija zdążyła jeszcze zrobić unik i wyslizgnąć się z jego rąk kryjąc się we wnętrzu ruiny. Falehd goił ją. Khanum wpadła do swojej komnaty, gdzie schroniła się Hiluja.

— Dalej — zawołała Badija. — On tu idzie! W górę schodów! Hiluja zdążyła się wymknąć, ale gdy Badija chciała uciekać

przez tylne drzwi, wpadła wprost na Falehda.

— Zaczekaj, proszę, ma gwiazdo — zaśmiał się szyderczo. — Twój oblubieniec wyjechał, teraz odbędzie się mój ślub z tobą.

Badija coiała się przed nim, ale nie była w stanie uciec.

— Zostaw mnie — wydusiła. — Allachu! Pomóż! Falehd zaśmiał się.

— Przywołuj Allacha, mój aniele. On przecież swoim wiernym obiecuje anioły z rajy. Nie broń się więc!

Badija broniła się zaciekle. Wtedy nadeszła nieoczekiwana pomoc. Od strony wejścia rozległ się kobiecy głos:

— Falehd! Odwróć się!

Falehd odwrócił się i rozpoznał starą Haluję, służącą Hiluji.

— Czego chcesz, stara! Odejdź do diabła!

Ale Haluja patrzyła na niego bez obawy z błyskiem w oku.

— Zostaw Khanum!

Napastnik wybuchnął głośnym śmiechem, który już wkrótce przeszedł w okrzyk bólu.

Wierna służąca Hiluji długą, ostrą, wyciągniętą z włosów szpilką ugodziła go w ramię.

— Ty źmijo! — zawył. — Zaraz wydrę ci ten trujący ząb!

Rzucił się próbując ją oburącz chwycić, ale rozzłoszczony nic zauważył, że przez ten ruch uwolnił z objęć Khanum. Badija zdążyła zniknąć w ciemnym korytarzu, który prowadził do tajemnego przejścia.

— Ty stara jędzo! Zapłacisz mi za to! — groził Falehd.

— Podejdź więc! — szydziła Haluja.

Dzielna staruszka chciała zatrzymać olbrzyma i dać trochę czasu Khanum. Ale olbrzym przejrzał jej plan.

— Policzę się z tobą później! — zawołał i zbliżył się do korytarza, gdzie przed chwilą zniknęła Khanum. Odchodząc jeszcze przeklinał:

— *Allah inha! el bakk!* Niech Allah zmiażdży tę pluskwę! Słowo „pluskwa” jest najbardziej obraźliwym, którego może

użyć Arab w stosunku do kobiety.

Haluja oburzyła się do tego stopnia, że natychmiast podążyła za olbrzymem w głąb korytarza.

Falehd słyszał wyraźne kroki Badiji i posuwał się bardzo szybko za nią i w ten sposób dotarł do schodów, które prowadziły na szczyt. Z odgłosu kroków wywnioskował, że Khanum znajduje się tylko o parę schodów nad nim. Ponieważ nie mógł nic zobaczyć, gdyż w przejściu nie było ani okna, ani innych otworów i wewnątrz panowała całkowita ciemność, Badiji udało się dotrzeć na platformę szczytu jeszcze przed nim. Gdy Falehd wynurzył głowę z tajnego przejścia, obie siostry stały przytulone do siebie. Sytuacja, której się znalazły była rozpaczliwa. Przerażone szukały wzrokiem pomocy. A w oddali wrzała walka. W obozie natomiast nie było ani jednego człowieka, który, nawet jeżeli byłby na tyle szybki, odważyłby się stanąć oko w oko w obronie osaczonych.

— Więc cię dostałem! — triumfował Falehd. — Widzisz przecież, że stąd nie ma już ucieczki! Chodź do mnie!

— Tarik na pewno nam pomoże, jeżeli tylko nas usłyszy — łkała Badija.

Przyłożyła obie dłonie do ust i wydała z siebie głośny, przeraźliwy krzyk.

Był to ich symbol, ich znak, że potrzebuje dzielnego dowódcy straży, gdy wyruszała z nim daleko w głąb pustyni lub ukrywała się tu, na platformie ruiny, aby rozkoszować się samotnością.

Ale czy Tarik mógł usłyszeć ten krzyk? Czy nie zginął on w ogólnym zgiełku walki? Czy Tarik potrafi rozpoznać jej głos?

Badija nie miała żadnych złudzeń — to był jej krzyk rozpacz!

Falehd zrobił jeszcze jeden krok do przodu w kierunku Kha-num. Zawahał się jednak, gdy zobaczył obydwie siostry: Badiję w całym przepychu kobiecej dojrzałości i Hiluję z jej młodzieńczą świeżością dopiero rozkwitłego pąka.

— Na Allacha! Ta młoda jest jeszcze lepsza! — szdyził — Wezmę Hiluję ze sobą.

Schylił się i skoczył między obie siostry. Khanum została popchnięta w kierunku balustrady okalającej szczyt. Falehd natomiast schwycił Hiluję w swe łapy i chciał ją ściągnąć w dół po schodach. Wtedy po raz drugi na pomoc pospieszyła stara służąca. Podążyła za

Falehdem i gdy wynurzyła się z otworu kończącego schody, zobaczyła swą ukochaną panią w niebezpieczeństwie. Uczępiła się więc kurczowo Falehda od tyłu i krzyczała:

— Stój potworze! Dopóki żyję, nie dostaniesz jej! Nigdy! Badija powtórnie próbowała wzywać pomocy.

— Krzyczysz i sądzisz, że ktoś cię usłyszy? — szydził z uśmiechem Falehd. — Spójrz wokół. Nie ma tu nikogo, kto mógłby wam pomóc.

Próbował przy tym strząsnąć z siebie staruszkę. Prawą ręką mocno trzymał Hiluję, a lewą chciał uwolnić się od służącej, ale nie było to takie łatwe.

— Cóż sama tego chciałaś. Muszę cię zdeptać, jak zgniłego daktyla!

Szybko przysunął się do kamiennej balustrady i przywarł do niej tak, że służąca znalazła się między nim i twardymi, kamiennymi blokami. Zaparł się mocno nogami i przycisnął Hiluję do kamiennej zapory z taką siłą, że nie mogła złapać oddechu. Boleśnie zabrzmiał, odbijając się przeraźliwym echem, krzyk Badii. A potem Khanum rzuciła się na pomoc staruszce. Również Hilu-ja, uwięziona wciąż w objęciach olbrzyma, zaczęła się z nim mocować. I te rozpaczliwe wysiłki obu kobiet pomogły złapać służącej powietrze. Falehd musiał puścić Hiluję, aby mieć obie ręce wolne. W tym samym momencie obie kobiety zaczęły uciekać w przeciwnie strony; Khanum sięgnęła na pół z rozmysłem, na pół dzięki cudownemu olśnieniu do wgłębienia, gdzie wiatr zebrał piaskowy pył, nabrała go oburącz i rzuciła olbrzymowi w twarz. Piasek wdarł się niemiłosiernie w jeszcze zdrowe oko tak, że oślepiło to na kilka chwil napastnika.

— Uciekaj! Na dół! — wyszeptała do siostry ciężko dysząc Badija i rzuciła się w kierunku schodów.

Ale w drzwiach jedynej szansy ucieczki stanął już Falehd i zawołał:

— Oho! Tak mi nie uciekniecie!

Lewą ręką ścierał piach z oślepionego oka a prawą wyciągnął jak tarczę przed siebie, aby uniemożliwić im ucieczkę.

Wtedy wzrok Khanum spoczął na równinie przed jej twierdzą. Jakiś cień przemknął z szybkością gazeli wśród piasku.

— Dzięki niech będą Allahowi! Nadchodzi pomoc — Hilal! Hilal!

— Zmiażdżę go! — zgrzytał zębami rozwścieczony Falehd. — A was wraz z nim, wy przekłete kotki!

Znów wyciągnął swoje potężne ręce w kierunku Hiluji. Ale stara służąca zauważyła broń odkrytą przez Khanum. I ona nabrała dwie garście piasku i rzuciła je w oczy Falehda.

— Niech was piekło pochłonie! Czyżbyście chciały karmić piaskiem lwa swojego plemienia! Więc gińcie! — zawołał.

Mógł jednak używać tylko jednej ręki, drugą wciąż tarł łzawiące oko. Udało mu się w końcu przejrzeć, a wtedy rzucił się całym ciężarem na Hiluję, złapał ją i podniósł w górę.

— Jeżeli nie mogę zabrać cię ze sobą to musisz umrzeć!

W tym najbardziej niebezpiecznym momencie Haluja próbowała jeszcze bronić swej pani; zawisała na jego ramieniu i gryzła go z całej siły, że Falehd musiał opuścić ramię. Teraz odwrócił się i kopniakiem odrzucił służącą tak, że potoczyła się jak kula w przeciwną stronę.

— Przeklęta żmija! — zaryczał.

Nie puścił jednak Hiluji i jeszcze raz podniósł ją oburącz, aby przerzucić przez balustradę. Obie kobiety zamarły z przerażenia, a potem zaczęły głośno krzyczeć. Haluja ponownie zebrała siły i już zawisała na jednym z jego ramion, na drugim uczyniła to Badija. Falehd z pogardą chrząknął:

— Zaczekajcie! Przyjdzie i wasza kolej!

Próbował się od nich uwolnić, aby móc broniącą się i kopiącą nogami Hiluję podnieść dostatecznie blisko balustrady.

Ani kobiety, ani Falehd, nie zauważyli Hilala, który w tym właśnie momencie wynurzył się z wnętrza otworu i rzucił się z nieopisaną wściekłością na swojego śmiertelnego wroga chcącego skrzywdzić jego ukochaną.

Nagle olbrzym poczuł, jak jakaś potężna siła chwyta go od tyłu i odciąga od balustrady. Chwył, którym Hilal odciągnął olbrzyma, był tak silny, że Falehd się przewrócił. Także Badija i Hiluja zostały odrzucone na bok. Z szeroko otwartymi oczami skuliły się na podłodze i dopiero po chwili zaczęły pojmować, że w ostatniej sekundzie nadeszła pomoc. Gdy Falehd upadał, wypuścił z rąk Hiluję. Przez moment leżała jak bez zmysłów, a potem uciekła na bok. Przykucnęła w rogu przyciskając pięści do ust i czekała trzęsąc się ze strachu na dalszy bieg zdarzeń.

Falehd leżał jak powalone wicherą drzewo tylko chwilę trwającą kilka oddechów. Ale zaraz jego mięśnie zaczęły napinać się i nabierać wygląd gigantycznych powrozów. Podniósł się szybko i wyciągnął obie ręce jak niesamowite łapy zwierzęcia w kierunku Hilala. Z jego dolnej zwisającej wargi kapą ślina i krew. Jego prawie ślepe oko nadbiegło krwią.

— *Ta'al*, chodź tu! — zasyczał.

Ocecił niebezpieczeństwo, ale wyobrażał je sobie większym, bo sądził, że Hilal ma przy sobie broń palną. Nie miał pojęcia, że Syn Błysku zrzucił z siebie wszystko, co mogłoby mu przeszkadzać w szybkim biegu. Miał przy sobie tylko nóż, który tkwił za jego paskiem z wielbłądziej sierści.

Hilal mocno ścisnął jego rękojeść i wyrwał go z pochwy.

— *Chooll* Weź sobie to czego chcesz! Przecież jestem tutaj! Mówiąc to uczynił skok, aby wbić ostrze noża w serce wroga.

Ale jego cios trafił tylko w ramię.

— Ty mucho! Kąsasz! Więc nie potrafisz strzelać! Jesteś więc zgubiony!

Jeszcze raz łapy tej bestii o wyglądzie człowieka wyciągnęły się po Hilala. Syn Błysku — szczupły i zwinny — zacisnął zęby na nożu, zrobił unik pomiędzy ramionami olbrzyma i chwycił go z prawej i lewej strony na wysokości bioder. Falehd nie bronił się. Był zaskoczony siłą swojego przeciwnika, a jego na wpół ślepe oko nie zauważyło jeszcze jednego grożącego mu niebezpieczeństwa. Bo oto Hilal uczynił to, co każdy uznałby za niemożliwe. Złość podwoiła, a może nawet zwielokrotniła siły młodzieńca. Hilal podniósł tego kolosa jednym chwytem na wysokość balustrady. A Falehd spóźnił się, być może tylko o ułamek sekundy, aby wykonać ruch, który zadecydowałby o jego ratunku. Kosztowało go to życie.

— W dół — zawołał Hilal i zepchnął olbrzyma w pustkę powietrza.

Przerażający okrzyk spadającego rozległ się daleko poza obszarem równiny, a potem tępy dźwięk oznajmił, że jego ciało uderzyło o ziemię.

Dopiero teraz Hilal powoli odwrócił się i drżąc na całym ciele zaczął szukać uratowanych. Ale dostrzegł tylko jedną — Hiluję, która stała obok niego z szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby zastygła w swej pozie.

— *Allah il Allah!* — zawołał Hilal, wciąż jeszcze drżąc z wysiłku i oddychając z trudem.

Dziewczyna drgnęła.

— Hilal, ty... uratowałeś mnie i nas wszystkich. Jesteś taki dobry i taki dzielny!

— Sam nie wiem, jak tego dokonałem — powiedział skromnie.

— Jesteś silniejszy niż lew! Kto by pomyślał!

— To furia dodała mi sił. Nie potrafiłbym tego dokonać drugi raz — odrzekł.
— *Hamidulillah!* Jestem taki szczęśliwy, że Allah pozwolił mi ciebie ochronić!

Ale jak to się stało, że Hilal w ostatnim momencie zdążył przybyć, aby uratować osaczone kobiety?

Jak już opowiadałem, wciąż był u mego boku, aż do momentu, gdy wrogowie zaczęli uciekać. Również on zaczął biec za nimi, ale już po kilku krokach przystanął. Zdało mu się, że tumult odgłosów walki przeszył ostry krzyk. Przez chwilę wsłuchiwał się, czy nie zabrzmiał ponownie. Tak! Usłyszał go znów i wyraźnie rozróżnił słowo: „Tarik”.

— Na Allacha! To woła Khanum! Jest w niebezpieczeństwie! Szybko, chodźcie za mną!

Ale tego rozkazu nikt nie usłyszał. Nie było już nikogo. Wszyscy w pośpiechu biegli za wrogiem. Nie mógł też dostrzec Tarika. Był on wśród najbardziej zagorzałych pośrodku zamieszania. Gdyby Hilal mógł mieć chociaż konia, ale był więc zmuszony całą drogę do ruiny przebyć pieszo. Wierzę jego słowom, że była to najcięższa trasa, jaką przebył w swoim życiu.

W *duarze* nie zastał nikogo. Starcy, chorzy, a nawet dzieci podążyły w kierunku, gdzie wojownicy odnieśli zwycięstwo.

W końcu usłyszał po raz trzeci głos Badii. Zdawało mu się, że dochodzi z góry.

— Tarik!

Hilal zaczął biec w kierunku ruiny jak wystrzelona strzała. Zobaczył wysoko w górze białe szaty kobiece. Stamtąd też dochodziły wściekłe przekleństwa człowieka odrzuconego przez własne plemię.

W jaki sposób dotarł tam Falehd? Nie znał przecież tajemnego przejścia.

— Jeszcze chwilę! Wytrzymajcie! Nadchodzę! — zawołał Hilal i wpadł do środka przejścia, i zaczął szybko wspinać się po schodach. Gdy wynurzył wreszcie głowę, napastnik stał na szczycie, tuż obok okalającej go balustrady. Falehd trzymał w wysoko podniesionych ramionach kobietę. Ku swemu przerażeniu rozpoznał w niej Hiluję. Jak rozjuszony zwierzę rzucił się na Falehda — nie było ani sekundy do stracenia. Następną chwilą zwłoki zabrałyby mu szczęście jego życia na zawsze.

I tak nadszedł ratunek.

* * *

Nie przerwałem opowiadań kobiet i FJilala ani jednym słowem. Oczywiście, zabrały one o wiele więcej czasu, niż by potrzebował Czytelnik, aby przeczytać mój skrót wydarzeń. O swoje prawa dopominało się serce, a to, czego dokonał, Hilal było bohaterskim wyczynem. Kobiety, a

zwłaszcza Hiluja, nie odczuwały zmęczenia i wciąż na nowo opowiadając o zajściu wychwalały trochę zakłopotanego Hilala jako bohatera i wybawcę.

W końcu musiałem jednak im przerwać. Dałem Halefowi rozkaz natychmiastowego odszukania szejka Beni Abbas i poproszenia go o przybycie do ruin. Również Beni Sallah, którzy nie brali udziału w pościgu za wrogiem, otrzymali rozkaz powrotu do *dua-ru*.

Ten rozkaz przywrócił wszystkich do rzeczywistości. Zajęci Falehdem nie wiedzieli nawet, jak skończyła się walka.

— Czy Beni Suef rzucili się do ucieczki? — zapytała Khanum.

— Tak! — odrzekłem. — Odnieśliśmy pełne zwycięstwo.

— *Hamdulillah!*

— Niech wszystkie wasze ręce zaczną poić wielbłądy i napełniać tykwy, abyśmy jak najszybciej mogli rozpocząć pościg.

— Jakie są nasze straty?

— Niewielkie.

— *Allah akbar*. Opowiedz, efendi, jak doszło do zwycięstwa.

— Nowa broń zadecydowała o wszystkim. Jej salwy rzuciły Beni Suef w wir bezładnej ucieczki. Gdy szejk i jego zięć zginęli jako pierwsi, nie było już dowódcy, który mógłby nakazać im walkę. Uciekali z powrotem do obozu, a każdy szukał w popłochu dobrego konia, próbując ratować swoje życie.

— *Maschallah!* To cud! A gdzie Tarik?

— Jest w drodze do Fers el Hadszar, gdzie skierowali się prawie wszyscy uciekinierzy. Reszta rozpiezchła się we wszystkich kierunkach, ale i za nimi wysłano pościg, aby nie mogli znów zebrać się w oddział. Beni Suef nie mogą mieć chwili spokoju ani czasu, aby mogli otrząsnąć się z szoku po swojej porażce. Tylko wtedy będziecie mogli zawrzeć z nimi długotrwały pokój.

Wyjaśniłem swój plan zajęcia *duaru* Beni Suef zanim dotrą tam uciekinierzy z pola walki. I wtedy mój umysł przeszła myśl:

— Zamierzaliśmy początkowo wyruszyć ze wszystkimi wojownikami na wrogi *duar*. Ale dwustu wystarczy całkowicie.

— Tylko dwustu? — zapytał Hilal ze zważaniem w głosie. — Efendi, czy to nie jest za mało?

— Nie! Dlaczego napadać aż sześciuset wojownikami na *duar*, gdzie zostało z pewnością niewielu zdolnych do walki? Wyglądałoby to tak, jak gdybyś chciał zabić pchłę wystrzałem z armaty. Nie, ci ludzie są tu o wiele bardziej potrzebni.

— Tak, masz rację. Musimy pogrzebać zabitych i opatrzyć rannych. To praca, której nie są w stanie wykonać tylko Beni Abbas.

— Zgadza się. Zresztą, nie chcę pozostawić *duaru* po raz drugi pod wątpliwą ochroną szejka Beni Abbas. Co się stanie, jeżeli Beni Suef, którzy mogą teraz wałęsać się w pobliżu oazy, wpadną na pomysł, aby w jakiś sposób spróbować się zemścić. To co nie udało się Falehdowi, nie będzie uważane za niemożliwe dla kogoś innego, jeżeli obóz będzie pilnowany tak niedbale, jak dzisiaj!

— Szejk Beni Abbas nie popełni po raz drugi takiego błędu.

— Jestem o tym przekonany. Głównym jednak powodem, dla którego musimy zmienić nasz plan, jest coś innego. Chodzi nam przecież o to, aby przybyć do *duaru* wroga przed wojownikami Beni Suef. Musimy więc poruszać się bardzo szybko. Jest przecież oczywistym, że sześciuset wojowników nie dotrze tam tak szybko, jak mniejszy zastęp.

— Wybiorę więc spośród naszych ludzi dwustu najzwinniejszych strzelców, a wśród szybko nogich wielbłądów — najlepsze. Kiedy wyruszymy?

— Sądzę, że za dwie godziny powróci do *duaru* tylu wojowników, że będziesz już mógł dokonać odpowiedniego wyboru.

— Dobrze. Pozwól, że odejdę teraz, aby uczynić konieczne przygotowania.

Ale tak się nie stało.

W czasie naszej rozmowy podeszliśmy schodami w górę ruiny na platformę. Stamtąd widzieliśmy wyraźnie postacie wojowników Beni Sallah powracających stopniowo do *duaru*. Właśnie między namiotami ukazał się jakiś jeździec; był to stary szejk Beni Abbas. Obok niego znajdował się mój Halef. Szejk prowadził konia, na widok którego moje serce zaczęło bić mocniej.

— Cóż za wspaniałe zwierzę! — zawołałem. — Już na pierwszy rzut oka można zauważyć, że ta klacz ma długi i sławny rodowód.

— *Allah il Allah!* — zawołał Hilal. — Znam tego szlachetnego konia! To ulubiona klacz szejka Beni Suef. Nazywa się Selsele — Trzęsienie Ziemi. Ma taką wartość, że nikt nie jest w stanie wyrazić jej pieniędzmi.

— Ale gdzie szejk odnalazł tego konia? Nie było go w obozie wroga.

— Zaraz się dowiemy!

Oczywiście, dla szejka liczyły się teraz inne sprawy, które były ważniejsze niż koń. Zauważyłem wyraźnie napięcie w jego oczach. Jak zachowa się teraz w stosunku do wybawcy swoich córek?

Szejk zsiadł z konia u podnóża schodów i ociągając się zaczął wchodzić na górę. Oczywiście, znał całą historię. Halef— byłem o tym przekonany — opowiedział mu już o wszystkim. Nie mogło być inaczej.

Gdy szejk wszedł na najwyższy stopień i stał tuż przed nami, zauważyłem na jego twarzy oznaki głębokiego zakłopotania i zmieszania. To była przecież jego wina, że jego córki stanęły u wrót zagład⁷. Patrzył na nas długo milcząc, a potem zwrócił się do Hilala:

— Jesteś *behlwanem*, bohaterem. Ten pojedynek musiał być straszny.

— Nie wiem nawet jaki był — odpowiedział szczerze Hilal. — Byłem jak obłąkany, gdy zobaczyłem twoją córkę w ramionach Faiehda, który chciał zepchnąć ją w przepaść.

— Uratowałeś jej życie.

— I moje również — dodała Khanum. — Faiehd był jak wściekła bestia. Na pewno zginęłybyśmy z jego rąk.

— Tak. Był szatanem! Ale ciebie, Hilalu jak anioła zesłał Allach, aby je uratować. Jak mogę ci się odwdzięczyć?

Szejk spojrzał poważnie na młodzieńca. Hilal spuścił oczy.

— To był mój obowiązek.

— Ale nie działałeś tylko z obowiązku. Kierowała tobą także miłość. Dlatego również ona powinna zostać nagrodzona. Powiedz, czy naprawdę kochasz Hiluję?

To pytanie przeszło Hilalą. Jego palce rozprostowały się, jak gdyby chciały coś chwycić i zatrzymać. Jego oczy rozblysnęły. Oddech stał się ciężki, przerywany.

— Jak swe życie i tysiącrotnie więcej.

— Więc udowodnij to!

Hilal spojrzał na niego badawczo, ale milczał. Widziałem, jak nabrzmiały żyły na jego szyi.

— Czyżbyś nie wiedział, w jaki sposób to udowodnić?

— Ja... ja... to potrafiłbym. Ale jestem biedny i nie mogę zapłacić ci ceny, jaką zażądasz w wielbłądach, koniach i jagnię-ciach.

— Jaką cenę mógłbym za nią zażądać, gdyby leżała teraz martwa u mych stóp? Zachowałeś dla mnie jej życie. I jest to dla mnie więcej warte, niż życie tysiąca wielbłądów, koni i owiec. Czy chcesz Hiluję za żonę?

Hilal spojrzał na niego ze zdziwieniem, jak gdyby się przesłyszał. Hiluja z trudem powstrzymywała się od głośnego wybuchu radości. Szejk uśmiechnął się.

— Czy zaniemówiłeś?

— Na Allacha! Tak! Chcę! — głos Hilala brzmiał jak chryпка.

— Więc jest od dziś z tobą zaręczona.

— Zarę...

Hilal zaniemówił. Olbrzymia radość zdławiła w jego krtani ostatnie słowo. Wystarczyło kilka dni, aby miłość obydwu dzieci pustyni wybuchła płomieniem a szejk spełnił teraz ich najskrytsze pragnienie.

Hiluja podbiegła do szejka i przytuliła się do niego.

— Czy to prawda, ojczy?

— Tak to prawda — odrzekł poważnie szejk.

— Więc nie myślisz już o synu szejka Meszerów jako zięciu? — wyszeptala.

— Nie, choć nie będzie dla mnie łatwym, zrezygnować z tak dobrze ułożonego mariażu bez Hilala jednak nie miałbym teraz żadnej córki. Byłbym samotny, bez dzieci i wnuków. Daję mu cię więc za żonę. Niech Allah wam błogosławi, moje dzieci!

Czy był ktoś teraz szczęśliwszy, niż ci dwoje? Hilal rzucił ku mnie spojrzenie, które zrozumiałem bardzo dobrze. Czyż nie mówiłem mu nie tak dawno, gdy prosił mnie o wstawiennictwo u starego szejka: „Wydaje mi się, że musisz sam wywalczyć sobie szczęście swojego życia”. To właśnie te słowa przypomniały mu się teraz — to chciał mi wyrazić tym spojrzeniem.

Przeciąłem atmosferęj wzruszającej sceny pytaniem do szejka Beni Abbas:

— Skąd masz tę szlachetną klacz, którą przyprowadziłeś za cugle?

— Znalazłem ją.

— *Allah il Allah!* — zadziwił się Hilal. — Zwierzę o takim rodowodzie? Nie można ich tak po prostu znaleźć!

— A jednak tak było — odrzekł szejk. — Sługa efendiego i ja znaleźliśmy tego konia jadąc ku ruinie między namiotami.

— W jaki sposób mógł się tam znaleźć?

— Chyba już wiem — wtrąciłem się. — To Falehd na nim przybył.

— *Allah kheriml* Jak mógł szejek powierzyć swą ukochaną klacz takiemu człowiekowi?

— Kto wie, jak do tego doszło. Przypuszczam, że Falehd przywłaszczył sobie tego konia bez wiedzy szejka. Okazję ku temu wykorzystał, gdy jego przyjaciele pieszo wyruszyli na nasz *duar*.

— Z pewnością tak było. *Allah akbar!* Do czego można porównać nasze szczęście w momencie, gdy ten koń stał się naszym łupem? Jestem pewny, że można udowodnić jego rodowód aż do Proroka!

Arabowie przywiązują olbrzymią wagę do swoich koni. W oczach Beduinów, koń jest najszlachetniejszym ze wszystkich zwierząt. Cieszy się tym samym szacunkiem co szacowny mąż i o wiele większym niż przeciętny mężczyzna. Koń jest na tych terenach nieodzowny do życia. Dzięki niemu można odbywać dalekie wędrowki i podróże, strzec stad i wyróżniać się w walce i w czasie rodzinnych spotkań. Beduin żyje i umiera na swym rumaku. Miłość do koni jest nierozzerwalnie związana z naturą człowieka Orientu.

Gdy Allah stworzył świat, zawołał do rumaka: „Ciebie stworzyłem jako nieporównywalnego z innymi. Między twymi oczami leżą wszystkie skarby ziemi. To ty stratujesz kopytami moich wrogów, a moich przyjaciół będziesz nosił na swym grzbiecie. Twój grzbiet niech będzie miejscem, z którego będzie się wznosić do mnie modły. Na całej ziemi bądź obdarzony szczęściem i bądź najbardziej ulubionym spośród wszystkich zwierząt, bo ty pozyskałeś miłość Pana ziemi. Będziesz płynął w powietrzu bez skrzydeł i zwyciężał bez miecza”.

Już źrebak jest traktowany jak członek rodziny. Gdy skończy osiemnaście miesięcy rozpoczyna się jego tresura. Najpierw uczy się na nim jeździć chłopiec; on prowadzi zwierzę do wodopoju i na pastwisko, on dba o niego i czyści jego sierść. Oboje uczą się w tym samym czasie. Z chłopca wyrośnie jeździec, a ze źrebaka koń. Będzie traktowany pieszczotliwie, ale też karany za złe wybryki. W drugim roku życia rumaka wkłada mu się na grzbiet siodło i stopniowo przyzwyczajają do nieprzyjemnego żelastwa w pysku; początkowo owijając jego pysk wełną spryskaną słoną wodą. Dopiero gdy minie mu siedem lat, koń jest uznany za wychowanego. Przysłowie arabskie mówi: „Siedem lat dla mojego brata, siedem lat dla mnie i siedem lat dla mojego wroga”.

To, czego może dokonać dobrze wyszkolony koń rasowy jest również nadzwyczajne. Zdarza się, że Beduin na koniu pokonuje w ciągu pięciu, sześciu dni pod rząd trasy od siedemdziesięciu do stu kilometrów dziennie. Gdy da się takiemu koniowi później dwa dni

odpoczynku, to jest on w stanie w tym samym czasie pokonać tę samą trasę po raz drugi. Przy tym musi dźwigać nie tylko jeźdźca, ale także jego broń, maty do spania, żywność i swoją paszę. A niekiedy musi cały dzień wytrzymać bez wody i pokarmu.

Każdy Beduin przechowuje rodowód swojego konia jak najwyższą świętość, podobnie jak to czyni potomek Rycerzy Krzyżowych. Imiona wybitnych koni są znane na całą okolicę i poza nią tak, że na przykład o klaczy, która zjada swoje daktyle w zachodnim Maroku opowiada się w dalekiej Arabii Wschodniej, w Kur-dystanie i w Persji. Najbardziej znani są potomkowie tych zwierząt, które wyróżniły się w czasie wypraw Proroka. Ich rodowody zachowały się do dziś. Każda z klaczy, wywodząca się od tych praprzodków, ma o wiele większą wartość, niż inna z równie starego rodu, która nawet może posiadać te same zalety.

Jasnym stał się więc dla mnie zachwyty Hilala, który opowiedział mi następującą sagę, w którą niezłomnie wierzą wszyscy Beduini:

— Ta klacz — mówił — nie ma sobie równych. Prorok Mahomet miał za sobą długi, wyczerpujący marsz w żrących promieniach słońca. Ani jeźdźcy, ani konie nie mogły pokrzepić się chociaż kroplą wody. I zwierzętom, i ludziom języki przysychały do podniebienia; pragnienie stało się nie do zniesienia. Wielu sądziło, że zbliża się ich koniec. Aż w końcu dostrzeżono maleńkie źródło. Wszystko co żywe rzuciło się na wodę. Tylko trzydzieści koni, szlachetnych klaczy, przystało aby poczekać, aż ich właściciele zezwolą im podejść do wodopoju. Mahomet pobłogosławił je i własnoręcznie zapisał ich imiona na zwojach pergaminu, które wręczył potem jeźdźcom. I tak powstały rodowody dla potomków tych klaczy. A jedna z tych sławnych klaczy była w posiadaniu właśnie szejka Beni Suef

Hilal dodał jeszcze:

— Niech właśnie ta klacz będzie moim wierzchowcem w czasie wyprawy do *duaru* wroga!

Ta ostatnia uwaga znów zwróciła naszą uwagę na stojące przed nami zadanie. Musieliśmy dobrze przygotować się do wymarszu i musieliśmy to zrobić jak najszybciej. Była szósta rano. Najpóźniej o ósmej powinniśmy wyruszyć, jeżeli chcieliśmy dotrzeć do *duaru* Beni Suef przed nimi.

Wszystko co zostawili na poboju wrogowie miało być zebrane przez pozostałych w obozie i przechowane do naszego powrotu. Potem chcieliśmy obdzielić tym zwycięzców. Należało pogrzebać zmarłych, opatrzyć rannych a jeńców zamknąć w odpowiednim pomieszczeniu.

Wszystkie te czynności na pewno zabiorą mieszkańcom *duaru* prawie tyle czasu, ile będzie trwała nasza wyprawa. Moim zadaniem było przekonanie szejka Beni Abbas, aby spowodował

ludzkie obchodzenie się z jeńcami. Wkońcu stary szejik obiecał mi użyć swych wpływów w tej sprawie.

Gdy minęły dwie godziny wyruszył z oazy pochód pod wodzą Hilala, a ja uspokajałem swoje sumienie, że uczyniłem wszystko, co było w mej mocy, aby zapobiec potwornościom.

*

Tarik godnym tytułu szejka

Duar Beni Suef położony był w żyznej oazie, tak gęsto porośniętej palmami, że ich pnie zatrzymywały każdy podmuch wiatru. Według zwykłych obliczeń potrzeba było przynajmniej dwudniowej jazdy, aby osiągnąć ten obóz, licząc każdy dzień podróży po dwanaście godzin. Kamienny Puch — była to mniej więcej połowa drogi. Jeżeli więc chcieliśmy osiągnąć cel naszej wyprawy, nie mogliśmy w ogóle brać pod uwagę dwudniowego terminu. Musieliśmy być nastawieni na niesamowity wysiłek i dążyć wszelkimi siłami do tego, aby cała trasa została pokonana w jeden dzień.

Oczywiście, pokonany nieprzyjaciel podążał w kierunku swojego *duaru* z olbrzymią prędkością. Musieliśmy więc być jeszcze szybsi, tym bardziej, że Beni Suef wyruszyli kilka godzin przed nami. A oprócz tego, aby być niezauważonymi, musieliśmy założyć zatoczenie szerokiego łuku. Wymagania postawione ludziom i zwierzętom były więc bardzo duże. Ale mieliśmy nadzieję, że sprostamy temu zadaniu. Byliśmy dobrze wyposażeni do podróży, dysponowaliśmy odpowiednim zapasem wody, nasze zwierzęta były wypoczęte. Mogliśmy więc być przekonani, że szybko pokonamy różnicę odległości.

Nasza droga prowadziła najpierw przez beznadziejne morze piasku, którego wgłębienia przebiegały w kierunku południowym i umożliwiały nam dzięki temu szybkie posuwanie się naprzód. Ten smutny, pustynny krajobraz, w którym nie mogło żyć żadne zwierzę, ani żadna roślina, obudził nie tylko we mnie wszechogarniające uczucie samotności i małości ludzkiego istnienia. Przytłoczył nawet wciąż gadatliwego Halefa do tego stopnia, że nawet on nie próbował nawiązać rozmowy. Halef jechał obok mnie, przed nami Hilal, który znał tę okolicę; była przecież jego ziemią ojczystą. Za nami ciągnął się długi sznur Beni Sallah. Tylko Hilal, Halef i ja jechaliśmy na koniach. Hilal osiodłał Selsele, klacz szejka Beni Suef Halef i ja otrzymaliśmy od Khanum dwie wspaniałe i szybkie klacze. Te trzy konie były jedynymi, które w dłuższej drodze mogły dotrzymać kroku wielbłądom, jadąc na zmianę w galopie i stępem, czasami nawet krocząc powoli.

Tylko od czasu do czasu padało jakieś słowo. Milcząco spieszyliśmy do wytyczonego celu. Przed nami rozpościerała się grobowa cisza pustyni, tylko niekiedy dało się słyszeć parskanie koni, czasami zaryczał wielbłąd. Jednostajnie skrzypiała skóra siodeł, cicho pobrzękiwała broń.

Gdy nadeszło południe zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Wyjeżdżając z ostatniej piaszczystej wydmy nagle znaleźliśmy się na *hammadzie*, kamiennej pustyni. Przed nami wyrastały z podłoża, jak wyspy, niskie wzgórza z wapienia, które przybrały kształt tarasów. Ich olbrzymie szare, czasami różowo i fioletowo zabarwione płyty wypolerował na gładko pędzony przez wiatr piasek. Twarda jak szkło powierzchnia odrzucała promienie słoneczne oślepiającym blaskiem. Upał był tu jeszcze większy niż wśród piaszczystych wydm. Na szczęście Hilal znał miejsce, gdzie mogliśmy odrobinę odpocząć w mizernym cieniu.

Dalsza droga prowadziła przez to pełne żaru piekło wapiennej równiny. Wyglądało na to, że ta podróż nigdy się nie skończy, a przecież potrzebowaliśmy jeszcze kilku godzin, aby dotrzeć w dziwny, skalisty labirynt. Mieliśmy wrażenie, że to olbrzym bawił się blokami skalnymi, rzucał nimi jak kostkami do gry, a niektóre zbił w fantastyczne formy. Piętrzyły się tu wielkie kamienie, ruiny zamczysk, uwypuklały łuki bram; gdzieś królowała postać sfinksa, a tuż obok wznosiły się skały przypominające jakieś zwierzę lub popiersia sławnych ludzi.

Nasza droga przewijała się zygzakami, a ja wciąż podziwiałem zmysł orientacji Hilala, który potrafił w tym pomieszaniu znaleźć właściwą drogę.

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, gdy wyszliśmy z tego labiryntu skał. Przed nami rozpościerał się, jak szeroka ulica, pas terenu pokryty żwirem, który był obramowany po obu stronach piaszczystymi wydmami. W blasku zachodzącego słońca zdawało mi się, że widzę przed sobą roztopioną, a potem nagle zastygłą rzekę płynnego żelaza, której ciemny blask podkreślał biel wydm wznoszących się tuż obok.

Nasz drugi odpoczynek zrobiliśmy w blasku dogasającego dnia. Napoiiliśmy i nakarmiliśmy nasze konie, a potem zaspokoiliśmy nasze pragnienie i głód, obserwując przy tym w całkowitym spokoju jak dzień staje się nocą.

Gdy ponownie wyruszyliśmy, nad naszymi głowami na ciemnogrnatowym, bezchmurnym niebie rozbłysły gwiazdy jak niezliczone diamenty. Od czasu do czasu rozbłyskiwała spadająca gwiazda, przelatywała jak rakietą swym torem i gasła. Było już chłodniej i jazda stawała się przyjemniejsza niż w żarze dnia. Nasze konie stały się bardziej rześkie. Podążaliśmy żwirową ulicą, która zdawała się nie mieć końca. Widoczność była dobra i polepszyła się jeszcze wraz ze wschodem księżyca, który rozlał na pustyni światło widm.

O północy nastala pora krótkiego odpoczynku. Wyprostowaliśmy zeszywniale od długiej podróży nogi i przez chwilę wyciągnęliśmy się na ziemi. A potem dalsza jazda. Żwirowy ciąg skończył się, a pustynia przekształciła się znów w piaszczyste morze, którego fale musieliśmy pokonać. Stopniowo zmatowiało migotanie gwiazd a niebo na wschodzie zbladło. Jego wypłowywały kolor zapowiadał rychły świt.

Wtedy Hilal odwrócił się i dał Halefowi, i mnie znak ręką, abyśmy podążyli za nim. Beni Sallah pozostali we wgłębieniu wydmy, a my wyjechaliśmy na górę jej płaskiego stoku. Na jej grzbiecie Hilal zatrzymał się i wskazał na południe. Nasz cel — oaza Beni Suef — leżał przed nami. W świetle księżyca, w odległości mniej więcej dwóch kilometrów, wznosiły się dostojnie pojedyncze, niskie skały pośrodku piaszczystej pustyni, a między nimi połyskiwały liście palm, które lekko falowały w porannym wietrze. Był to obraz najbardziej błogiego spokoju.

Jak dotąd nie spotkaliśmy nikogo w czasie naszej wędrówki i także teraz nie dostrzeżliśmy w pobliżu oazy żywej duszy. Nawet strzegący pastwisk zdawali się być uśpieni w ramionach wczesnego poranka w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa.

Naradziliśmy się krótko. Mogliśmy założyć, że wróg pozostawił jedynie kilku mężczyzn dla ochrony obozu. Napadnięcie na obóz zdawało się być łatwym. Zaproponowałem podzielenie się na grupy, które miały otoczyć obóz tak, aby każda z nich ustawiła się z określonej strony: z północnego wschodu i zachodu oraz południowego zachodu i wschodu. W czasie ataku, teoretycznie, nikt nie powinien się nam wymknąć z *duaru*.

Przyjeliśmy to rozwiązanie. Rozdzieliliśmy więc grupy, ustalając jako moment naszego wspólnego ataku czas po modlitwie porannej. Obie grupy, którymi dowodziliśmy ja i Hilal, musiały wziąć dłuższą trasę marszu na południowy wschód i zachód. Byłem przygotowany, że w każdej chwili możemy usłyszeć ostrzegający krzyk któregoś z mieszkańców oazy. Ale w oazie nic się nie działo. Kilka kogutów pozdrowiło ranek, zaszczekało kilka psów i raz żałośnie zaryczał osioł. Nawet żaden pasterz nie pojawił się wśród zwierząt, które pasły się na wstędze stepu. Ale z pewnością w namiotach i szałasach wyciągali się jeszcze leniwie mężczyźni czekając, aż wyrwie ich z posłania głos *muezina*, a kobiety już zajęte były przygotowywaniem posiłku, który, zgodnie z Koranem, mógł być spożyty dopiero po modlitwie porannej.

Wkrótce górna krawędź słońca wspięła się na niebo, a migocące promienie zasypały ziemię swym blaskiem. Jednocześnie rozległ się wzywający na modlitwę głos *muezina*. Wszyscy zaczęli się modlić; mieszkańcy oazy i również Beni Sallah, stojący już gotowi do natarcia.

Zaledwie wypowiedziano „Amen”, wyruszyła moja grupa. Wiedziałem, że jednocześnie posuwają się do natarcia trzy inne. Jedyńm, który zauważył nasze pojawienie się, był stary pasterz. Szybko pobiegł do wsi by ogłosić straszliwą wieść — „wrogowie!”

Gdy podjechaliśmy do namiotów, nie mogliśmy dostrzec ani jednego człowieka. Wszyscy zaszyli się w swych namiotach i wyglądało na to, że rezygnują z wszelkiego oporu. Postawiłem warunek, aby unikać przelewu krwi, o ile to możliwe. Gdy nasze cztery oddziały zaczęły zlewać się ze sobą, podjechałem do Hilala.

— Dlaczego nie dajesz znaku wtargnięcia do obozu? — zapytał ognisty wojownik.

— Bo to z pewnością wywoła zamieszanie, którego możemy łatwo uniknąć. Pojadę do obozu.

— Jesteś bardzo odważny, efendi.

— Ty też jesteś dzielny. To zadziało.

— Pojadę z tobą.

— Więc jedźmy! Nasi wojownicy mają czekać, aż wrócimy lub prześlemy im inne rozkazy.

Jechaliśmy obok siebie w kierunku oazy. Na próżno wypatrywaliśmy w gaju palm jakiejś ludzkiej istoty. Dojechaliśmy do ogrodów, w których rosły bujne, zielone drzewa oliwkowe, figowe, granaty i morwy. Uprawiano tu również zboże i jarzyny. Tylko kilka kur przeleciało nam drogę trzepocząc skrzydłami. Zajadłe szczekało na nas kilka kundli, ale szybko podwijały ogony i uciekały, gdy tylko podnosiliśmy rękę.

Przez moment zatrzymaliśmy się przy żwawo tryskającym źródle, które obudowano kamieniami. Napiliśmy nasze zwierzęta i sami zeskoczyliśmy z siodeł, aby poczuć chłód tego drogiego płynu. Nie było ani jednej kobiety przy źródle, choć o tej porze z pewnością codziennie zjawiały się tu z glinianymi dzbanami, aby zaczerpnąć wody i zamienić ze sobą kilka słów.

Źródłana woda wpływała do kilku zbiorników, a od nich prowadzona była rowami do pól. Ogólnie cały teren sprawiał wrażenie bardzo urodzajnego, a do jego obrazu trudno było dopasować kilka rozpadających się, starych szałasów. Z pewnością zbudowali je w dawnych czasach mieszkańcy oazy, którzy teraz jednak przeprowadzili się do namiotów stojących przed nami w kilku długich rzędach.

Gdy jechaliśmy już obok nich wciąż nikt nie wychodził nam naprzeciw. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed największym namiotem. Dwie zatknięte w ziemię włócznie

świadczyły o dużym znaczeniu jego mieszkańca. Zaklaskałem w dłonie. Dopiero po pewnym czasie wytknęła głowę przez otwór namiotu starsza kobieta.

— *Sallam* — pozdrowiłem ją. — Kto mieszka w tym namiocie?

— Ojciec szejka.

— Czy jest w domu?

— Tak.

— Niech więc wyjdzie, bo muszę z nim porozmawiać.

— Czy nie chcesz wejść?

— Nie.

Gdybym wszedł do środka namiotu byłbym od tego momentu gościem i nie mógłbym już rozmawiać z nim jako jego przeciwnik.

— Więc poczekaj tu. Przyjdzie do ciebie. Zauważyliśmy doskonale, że wiele par oczu obserwowało nas

z ukrycia.

— Poznasz teraz najzacieklejszego wroga Beni Sallah — powiedział do mnie Hilal. — Stary szejka Hulam zamordował wielu naszych. Jego język jest fałszywy i nie należy wierzyć jego przysięgom. Gdy tylko spojrzysz w jego oczy, zaraz będziesz wiedział, z jakiego rodzaju człowiekiem masz do czynienia.

Namiot odsłonił się i wyszedł z niego starzec. Był pochylony ze starości. Jego włosy i broda były białe. Nosił biały haik i turban tego samego koloru. Nie miał ani brwi ani rzęs, a powieki miał czerwone i nabrzmiące.

Jego oczy obrzuciły mnie i Hilala niepewnym spojrzeniem. Z pewnością rozpoznał klacz, naktórej jechał Hilal; zauważyłem głęboki cień, który przemknął po jego twarzy. Ten właśnie szczegół nie zostawiał żadnych wątpliwości, co do rozstrzygnięcia walki. Ale był to mądry człowiek i potrafił ukryć swoje uczucia.

— *Sallam aleikum*] — pozdrowił nas.

Jeżeli bylibyśmy na tyle nieostrożni, aby dosłownie powtórzyć jego pozdrowienie, to przebiegły starzec już zyskałby nad nami przewagę, bowiem w tej formie używane jest to pozdrowienie tylko między przyjaciółmi. Nieznanego muzułmanin pozdrawia słowem *sallam* — pokój, nie dodając już *aleikum* — niech będzie z tobą! To, że Hulam użył w stosunku do nas, których przecież uważał za swoich wrogów, pełnego pozdrowienia, było z jego strony

podstępem. Odpowiadając tak samo nie mogliśmy już występować przeciw niemu jako wrogowie.

— *Sallam* — odpowiedziałem z rezerwą. Tak samo uczynił Hilal.

— *Min inte*, kim jesteś?

To pytanie było skierowane do mnie. Syna Błysku starzec znał już od dawna.

— Jestem Kara Ben Nemzi. Czy już słyszałeś o mnie?

— Nie.

— Więc mnie teraz poznasz.

— Czy nie chcesz wejść do mojego namiotu?

— Nie. Nie wchodzi się do namiotu wroga. Starzec udał wielce zaskoczonego.

— *Maschallah!* Jakżesz mógłbym być twym wrogiem, gdy widzę cię pierwszy raz w życiu?

— Wróg moich przyjaciół jest też moim wrogiem.

Stary szejik był przekonany, że jego ludzie powrócą z wyprawy jako zwycięzcy. Nasza tutaj obecność była dowodem na to, że Beni Suef zostali pokonani. Hulam skrywał swoje przerażenie.

— *Mafihimtisiz*, nie rozumiem cię — powiedział przyjaźnie, w tonie pozornie najszczerzego zdziwienia.

— Aleja rozumiem cię doskonale. Gdzie są wojownicy twojego plemienia?

— Wyruszyli.

— Dokąd?

— *Musz 'arif*, nie wiem.

— Jesteś ojcem szejika i nie wiesz tego?

— Moje oczy niewiele już widzą, a ręce słabe. Już dawno nie troszczę się o to, co czynią silniejsi niż ja.

— Kłamiesz!

— Panie!

— Nawet gdybyś mówił prawdę, to powinieneś właśnie zatroszczyć się o ludzi z twojego plemienia. Może żyliby wtedy w pokoju z sąsiadami i dzisiaj nie wracaliby pokonani.

— Któż miałby ich pokonać?

— Teraz ja cię nie rozumiem. Przecież poznajesz konia swojego syna i znasz też męża, który na nim jedzie.

— Znam i konia i jeźdźca, ale nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Ludzie z twojego plemienia w sile sześciuset wojowników wyruszyli na *duar* Beni Sallah.

— *Allah il Allah!* Mylisz się.

— Zatrzymali się — mówiłem niewzruszenie dalej, — w Fers el Hadszar i wysyłali stamtąd swoich zwiadowców. Walczyliśmy z nimi i zgotowaliśmy im taką porażkę, że jak widzisz, przybywamy wcześniej niż ci, którzy uciekli w popłochu z placu boju. Będziesz mógł ich szybko policzyć, bo niewielu ich zostało.

— Na Allacha! Przelaliście krew niewinnych! — wybuchnął starzec. — Któż wam powiedział, że chcą walczyć przeciw wam? Teraz znów dzieli nas stukrotna zemsta krwi.

— Nie udawaj! Nie masz przed sobą dziecka. Twoi wojownicy przyznali, że zbliżają się jako wrogowie. Ostrzegałem ich, ale mnie nie posłuchali. Za karę ich kości zabielią piasek pustyni.

Starzec milczał. Ta wiadomość załamała go; mimo to starał się ze wszystkich sił, aby nie można było tego po nim poznać.

— Nie boimy się zemsty krwi — mówiłem dalej. — Otoczyliśmy wasz *duar* i jesteśmy na tyle silni, aby was wszystkich zniszczyć. Ale nie jesteśmy spragnionymi krwi zwierzętami; oszczędzimy was, gdy się poddacie. Daję ci pół godziny czasu. Omów to ze swoimi ludźmi, a potem przyjdź przed namiot. Będę cię tam oczekiwał, aby usłyszeć jaką podjęliście decyzję.

— *Di eh 'aizihn*, czego żądacie?

— Żądamy, abyście się poddali wraz ze wszystkim, co posiadacie. Jeżeli spełnicie nasze żądania, to darujemy wam życie. W przeciwnym razie dojdzie do rozlewu krwi.

Hulam spojrział na mnie mrocznym wzrokiem.

— Czy rzeczywiście pokonaliście naszych wojowników?

— Tak, wczoraj rano, jeszcze przed pierwszą modlitwą.

— A co z moim synem?

— Leży martwy przed naszymi namiotami.

— *Allah kerihm!* Czy Amram nie zapobiegł temu?

— Jak mógł to uczynić, skoro sam leży martwy.

Mogłoby się wydawać, że do Hulania w ogóle nie dotarła wieść o klęsce. Jego twarz pozostała kamienna. Albo nie miał serca, albo cechowała go niesamowita wprost zdolność opanowywania uczuć. Zaczął wiercić swoim kłującym spojrzeniem w moich oczach.

— Dlaczego mówisz w imieniu Beni Sallah? Czyżby sami nie byli tu obecni?

— Podziękuj Allachowi, że zesłał mnie z niebios tutaj, abym to ja mówił z tobą. Gdyby na moim miejscu przemawiał Beni Sal-lah, to usłyszałybyś zupełnie inne słowa.

— Ale ja nie chcę pertraktować z tobą. Gdzież jest szejk tych ludzi? Czyżby był jeszcze chłopcem i dlatego mówisz w jego imieniu?

Uśmiechnąłem się do niego.

— Jesteś chytrym człowiekiem. Przecież wiesz, że szejk Beni Sallah umarł.

— Tak, wiem.

— I wiesz również, że Falehd miał zamiar objąć tę godność.

— O tym wiem również. Gdzie on?

— Zginął z rąk tego oto dzielnego młodzieńca, który walczył z nim o śmierć lub życie.

— *Allah akbar!* Pozwala nawet na zwycięstwo dzieci nad dojrzałymi mężczyznami.

To była zniewaga. Ręka Hilala sięgnęła po broń, ale młody Beni Sallah zdołał się opanować.

— Tak, ale tylko Dzieciom Błysku. Tarik, drugi Syn Błysku, został szejkiem, o czym nie możesz jeszcze wiedzieć. Jego pierwszym zwycięstwem było zwycięstwo nad Beni Suef. A czy wiesz, jaką bronią tego dokonał? Karabinami, których wy oczekiwaliście. To one wpadły w ręce Tarika, a on nie zwlekał, aby wymierzyć je przeciw wam.

Ta wiadomość zdruzgotała starca. Broń, która była przeznaczona dla Beni Suef, wpadła w ręce ich śmiertelnych wrogów! Było to gorsze niż wszystkie inne hiobowe wieści. Hulam nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Oczekuję teraz, że będziesz na tyle rozumny — mówiłem dalej, — że się poddadzie. W przeciwnym razie musimy was potraktować z całą surowością.

— Jakie są wasze warunki? — wydusił Beni Suef.

— Już powiedziałem. Żądamy całkowitej kapitulacji.

— Zwołam radę starszych.

— Uczynź tak. Ale nie sądz, że nas przechytrzysz. Macie pół godziny czasu.

Odjechałem wraz z Hilalem.

— I jak? — zapytał. — Jak podoba ci się ten starzec?

— Nie podoba mi się w ogóle. Ma na twarzy wypisaną przebiegłość.

— Czyżbyś oczekiwał jakiegoś podstępu?

— Tak. I jest tylko jeden, do którego może się uciec. Będzie chciał zyskać na czasie, aby wróciła reszta jego wojowników.

— Nie będziemy czekać tak długo.

— Nie, ani minuty dłużej ponad pół godziny.

— A potem zaczniemy ich zabijać?

— Nie, chociaż mamy do tego prawo.

— Chcesz więc ich oszczędzić? A potem może nawet wynagrodzić?

— O tym nie ma mowy. Nie tylko poczucie człowieczeństwa, lecz również mądrość nakazuje wam okazanie litości. Beni Suef są przecież takimi samymi ludźmi jak wy, posługują się tym samym językiem, wierzą w tego Boga co wy i żyją w tych samych warunkach co wy.

— To prawda, ale...

—.. .życie w stanie ciągłej walki. To zemsta krwi was podzieliła. Jesteście uwikłani w *thar*, prawo zemsty za zamordowanie waszych bliskich i nie możecie się wydobyć z jego sieci.

— Wiesz efendi, że *thar* zobowiązuje do zemsty wszystkich, aż do piątego stopnia pokrewieństwa?

— Tak, i żaden ze sprawców nie jest skłonny zapłacić rodzinie zmarłego pieniędzy jako zadośćuczynienia, ani też nikt z rodziny zabitego nie chce przyjąć pieniędzy zamiast krwi. I tak zbrodniczy czyn rodzi inny występki, aż w końcu obydwie plemiona same wyniszczą się nawzajem. Czy wiesz, czego dotąd brakowało waszym plemionom?

— Na Allacha! Skąd mam to wiedzieć?

— Brakowało wam prawdziwych władców. Mądrych i wyrozumiałych mężów, którzy jako rozjemcy zatroszczyliby się o pokojowe zakończenie tej poplątanej pajęczyny zemsty. Takich, którzy myśleliby o przyszłości plemienia zamiast o wojnach i łupach. Cóż za zysk byłby dla was w tym, że zabilibyście teraz Beni Suef, i wrócilibyście do waszego *duaru* z ich dobytkiem i ich stadami? Czy patrząc w przyszłość nie jest korzystniejszym zakopanie topom dawnych nienawiści i zawarcie z nimi przymierza? Czyż nie byłoby pożądanym, aby wasi synowie żenili się z ich córkami i obydwie plemiona wkrótce stopiły się w jedno?

— Przez twe słowa przemawia mądrość.

— W ten sposób stalibyście się jednym wielkim plemieniem, którego nie sposób pokonać.

— Ale Beni Suef nigdy nie zgodzą się na taki układ.

— Będzie to zależało tylko od was. Teraz możecie ich do tego zmusić. Pokonaliście ich i możecie postawić im warunki pokoju. Właśnie mówiłem o tym, że im także brakowało prawdziwego szejka. Szejk Beni Suef nie żyje. Również jego zięć. Dlaczego nie moglibyście narzucić im nowego szejka. Musi być mądry i taktowny. Wiesz, o kim teraz myślę?

— Nie, sidi.

— O tobie. Jeżeli potrafisz rządzić, twoje imię będzie znane i powtarzane nawet daleko stąd. Oczy Hilala rozbłysnęły.

— Efendi, jesteś mężem, z którym nikt nie może się równać. To co czynisz, to zawsze bohaterski czyn; to co mówisz, to słowa, które brzmią jak gdyby wymawiały je usta Proroka.

Jeszcze nie wróciliśmy na swoje dawne pozycje, gdy usłyszeliśmy z *duaru* Beni Suef głośne, żalosne zawodzenia. To Hulam ogłosił to, o czym go powiadomiliśmy. Z pewnością nie było ani jednej rodziny, z której nie wyruszyłyby przeciw Beni Sallah choć jeden wojownik. I wszystkie z napięciem oczekiwały teraz tej najgorszej wiadomości. Kobiety biegały ze swoimi dziećmi wokół obozu i zanosily się płaczem, a mężczyźni zebrali się na placu obrad.

Po pół godzinie pojawiło się między namiotami siedmiu mężczyzn. Na czele kroczył stary Hulam. Szli z trudem utrzymując godną postawę i dokładnie musztrowali wzrokiem nasze zwierzęta. Chcieli dojrzeć między nimi jakiegoś wielbłąda, którzy wcześniej był własnością ich plemienia.

Hulam skierował na mnie spojrzenie pełne wyrzutu.

— Efendi, twoje słowa zapowiedziały nadejście wielkiego nieszczęścia. Nasi synowie nie żyją, nasi ojcowie i bracia leżą zabici na piasku pustyni. *Maschallah kanwa ma lam jasha Allah lam jekun*, stało się tak, bo zechciał tak Allah, nie zdarzyłoby się tak, gdyby Allah chciał inaczej! Jego drogi są niezbadane. Nie możemy działać niezgodnie z jego wolą, bo jesteśmy wiernymi zwolennikami jego Proroka. Poddajemy się.

Spojrzałem na niego badawczo. Ton jego słów był zupełnie inny niż poprzednio. Czyżby tak szybko pogodził się z tym, co nieuchronne? Ten człowiek nie wzbudzał zaufania.

— Chcecie się więc poddać i przyjąć nasze warunki?

— Tak.

— Bez żadnych ukrytych zamiarów?

— Cóż moglibyśmy przed wami ukryć, gdy macie nad nami taką przewagę?

— Cóż! Podstęp ma czasami przewagę nad siłą.

— Możesz nam zaufać.

Zabrzmiało to szczerze i prostodusznie, ale nie dałem się zmylić.

— Dobrze. Spróbuję wam uwierzyć. Jest was tu siedmiu. Ile głów liczy rada starszych?

— Dwudziestu ośmiu.

— Niech więc jeden z was zawróci, aby przywołać pozostałych. Chcę uzgodnić z wami to, czego możemy od was zażądać, aby wasze plemię nie zostało doszczętnie wyniszczone. Chcę to uczynić zanim wkroczymy do waszego *duaru*.

Moje słowa zabrzmiały obiecująco. Dawały nadzieję, że nie chcieliśmy zawładnąć całym ich dobytkiem. Starzec chciał się oddalić ucieszony, aby wydać odpowiednie rozkazy.

— Powiadom również wszystkich, aby mężczyźni i chłopcy, którzy skończyli już dziesięć lat, zebrali się na placu — doda— łem. — Muszę ich policzyć, aby wiedzieć, ile musimy zostawić wam broni. Syn pustyni musi mieć nóż, pistolet lub strzelbę. Możecie zachować tyle broni, ile potrzebujecie.

Wyznaczony posłaniec oddalił się pospiesznie. Widać było po nim, że był bardzo z moich warunków zadowolony. Ojciec szejka powiedział:

— Efendi, jeżeli traktujesz pokonanych z taką dobrocią, to Allah będzie ci błogosławił a wrogowie będą cię kochać.

— Nie przesadzaj, starcze! Nie mówmy zbyt wiele o waszej miłości. A już o twojej szczerości nie mówmy wcale!

— Efendi — zawołał oburzony. — Chyba nie chcesz mnie obrazić?

— Chcę cię tylko unieszkodliwić. Nie jest przy tym istotne, czy cię to obrazi czy nie.

Odwrociłem się i dałem znak towarzyszącym mi ludziom.

— Efendi, czy chcesz nas kazać zamordować? — zawołał przerażony starzec.

— Nie, chcę tylko zapobiec, abyś ty wydał rozkaz, żeby nas zamordowano.

— *Allah il Allah!*. Cóż za pomysł!

— Allah naznaczył twą twarz, jest na niej wyraźnie wypisane, co zamierzasz w swym sercu.

— Przysięgam, że nic nie knuję przeciw wam!

— Przysięgnij na Proroka!

Oczy wszystkich skierowały się na Hulama. Starzec ociągał się z odpowiedzią.

— Widzisz, przyłapałem cię na kłamstwie!

— Efendi, moje słowo to przysięga!

— Więc również przysięga powinna być jak twoje słowo. Wmówiłeś sobie, że jesteś mądrzejszy niż my i sądziłeś, że będziemy na tyle zmęczeni, iż pójdziemy spać. Widzę, jak wasze ręce już się zaciskają na nożach. Beni Sallah nie są owcami, które można wyróżnić zgodnie z twoją wolą! Związać ich i odprowadzić!

Mężczyźni podnieśli co prawda głośny sprzeciw przeciw tego rodzaju traktowaniu, ale musieli się poddać.

Zaledwie odprowadzono ich poza linię obozu, przybył posłaniec z pozostałymi członkami rady starszych. Dowiedzieli się o innym powodzie wezwania i byli wielce zawiedzeni, gdy związano im bez pardonu ręce na plecach i zaprowadzono do pozostałych jeńców — Czy jesteś pewny, że rada starszych knuła jakiś podstęp? — spytał Hilal.

— Jestem o tym przekonany. Hulam pogodził się zbyt szybko z losem i właśnie to pozwala nam wątpić w szczerłość jego postępowania.

— Czym mógłby nam zaszkodzić?

— Być może jeszcze się dowiemy. Spróbujmy teraz tak ciasno otoczyć obóz, aby żaden człowiek nie mógł się stąd wydostać. Niech stu wojowników podąży z nami na plac, gdzie zebrali się mężczyźni, starcy i chłopcy. Wszyscy rodzaju męskiego mają być wzięci do niewoli i związani.

— Więc weźmy też całą broń.

— Tak, nawet noże. Nie mamy zbyt dużo czasu. Wojownicy Beni Suef wybrali drogę przez Fers el Hadszar, a więc krótszą niż nasza. Mogą tu być łąda moment.

Trwało to zaledwie kilka minut i *duar* był już otoczony. Poza linią znalazły się oczywiście pasące się na pastwiskach stada.

Stu ludzi Beni Sallah podeszło do placu. Każdy z nich trzymał w dłoni załadowaną broń. Na placu zebrała się męska część *dua-ru*, około osiemdziesięciu starców, młodzieńców i chłopców. Wszyscy mieli ze sobą broń i zatknięte za pasem noże; bo nawet jeszcze niewyrośnięci chłopcy mają ze sobą zawsze nóż. Nie było to zbyt mądre z ich strony, bo dzięki temu ułatwili nam ich rozbrojenie.

Objąsniałem im, że nie muszą obawiać się o swoje życie. Zapewniłem, że nie chcemy też spustoszyć ich obozu. W tych okolicach jest przyjęte, że zwycięzca uprowadza ze sobą stada pokonanego, niszczy jego palmy i zasypuje jego studnie. Pokonany musi więc podążyć za zwycięzcą jako niewolnik albo też ginie bez wody na zgliszczach swojej siedziby.

Moje zapewnienia zrobiły wrażenie na zebranych. Ale twarze Beni Suef wydłużyły się, gdy zażądałem, aby każdy z obecnych złożył broń. Oczywiście, nie mieli innego wyboru jak się podporządkować.

Później wyprowadzono ich z obozu i musieli usiąść pod palmami. Przeprowadzono również najstarszych plemienia. Powiadomiłem ich, że każda próba ucieczki będzie karana śmiercią.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na dzieciach i kobietach wywołało wzięcie do niewoli mężczyzn. Zrazu rozległ się głośny lament, który jednak wkrótce zamilkł, gdy zauważono, że więźniowie nie doznali żadnej szkody.

Później oglądaliśmy zwierzęta na pastwiskach. Były wśród nich wspaniałe okazy o tak wielkiej wartości, że Beni Suef nie odważyli się narażać ich na trud wędrówki, w czasie wymarszu na swoich sąsiadów.

Kobiety i dziewczęta Beni Suef miały pełne ręce roboty, aby przyrządzić posiłek dla swoich, wziętych do niewoli mężczyzn oraz dla głodnych zwycięzców.

Gdy Hilal się posilił wysłałem go z kilkoma dobrze przygotowanymi do drogi ludźmi na zwiad w kierunku na północ od *dua-ru*, z którego powinni nadejść pokonani wojownicy Beni Suef. Dałem mu swoją lunetę, którą umiał się już posługiwać. Umożliwiła mu ona obserwację bez obawy zdradzenia swojej obecności.

Dla mnie nastąpił okres oczekiwania. Byłoby bezsensownym poczynić dalsze działania, gdy uciekinierzy z pola bitwy nie zostali jeszcze wzięci do niewoli. Tę chwilę wytchnienia wykorzystałem na dokładne zwiedzenie namiotowej części *duaru*. Przy tej okazji doszedłem do maleńkiej budowli na krańcu oazy. Była zbudowana z kamienia, miała wysokość dorosłego człowieka i posiadała jeden szczegół, który tutaj, w oazie był niezwykle rzadkością: drewniane drzwi. Drzwi te zaopatrzone były w jedyny w swoim rodzaju zamek. Składał się on ze skrzyżowanych w stosunku do siebie drewnianych rygli, które w tak dziwaczny sposób zachodziły jeden za drugi, że tylko ktoś wtajemniczony mógł otworzyć to dziwaczne zamknięcie.

Właśnie nadeszła młoda Beduinka, która niosła dzban wody ze studni.

— Co to za szalas? — zapytałem.

Kobieta przystanąła, jej twarz pokryła się rumieńcem. Była ładna, drobna, a jej oczy ozdabiały bardzo długie rzęsy.

— Służy do suszenia *bla halefa* — odrzekła powoli.

Po pojęciu *bla halefa* rozumie się najpodlejszy gatunek daktyli, które wysuszone służą za paszę dla zwierząt.

— A do kogo należy?

— Do szejka.

— Otwórz go!

Chciałem oglądnąć trochę dokładniej ten szałas, który wydawał mi się coraz bardziej podejrzany. Jeżeli służył do przechowywania *bla halefa*, to nie zasługiwał na to, aby ktoś tak pieczołowicie go zamykał. Musiało się coś za tym kryć.

Młoda kobieta uczyniła krok w tył i stanęła zakłopotana.

— Nie mogę tego uczynić — odparła wykrztuszając słowo po słowie. — Nie potrafię otworzyć tych rygli.

— Nie kłam! Widzę przecież, że nie mówisz prawdy! Powiedziałem to tak groźnie, że Beduinka przeraziła się.

— Wybacz efendi! Nie wolno mi ich otworzyć! — powiedziała i cała drżała ze strachu.

— Dlaczego nie?

— Ojciec szejka zabronił.

— Kiedy? Już dawno, czy dopiero teraz, po naszym przybyciu?

Z pewnością miała ochotę wymyślić znów jakieś kłamstwo, ale spojrzałem na nią tak gniewnie, że nie odważyła się tego uczynić.

— Dopiero teraz.

— Acha! Więc potrafisz otworzyć ten zamek?

— Tak.

— Więc otwórz!

— Ojciec szejka mnie ukarze.

— Ja jestem teraz tu władcą. Obiecuję, że nikt się nie dowie, że to ty otworzyłaś ten szałas. Co w nim jest?

Rozejrzała się wokół i gdy upewniła się, że jesteśmy sami, podeszła do mnie i cicho odrzekła:

— W środku tego szałasu jest Ali, sługa starego szejka.

— Kiedy został tam zamknięty?

— Po *dzemmie*, która niedawno się zebrała.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Być może podsłuchiwał mówiących.

— Podejrzewam coś niedobrego! Otwórz więc!

Kobieta podeszła do drzwi, przesunęła rygle w pewnej określonej kombinacji, a potem szybko chwyciła swój dzban z wodą i odeszła. Drzwi były otwarte.

Aby móc zajrzeć do środka musiałem się schylić. Zobaczyłem tam piec, który z pewnością był ogrzewany suszonym wielbłądzim łajnem. Powyżej, w regularnych odstępach umieszczono plecionki, które służyły do suszenia daktyli. Nie było ich teraz dużo. Na podłodze zobaczyłem skępowaną powrozem postać, odzianą tylko wkoszulę. Głowę miała owiniętą kocem, który zaciskał sznur. Szybko odsunąłem derkę. Twarz ukrytego pod nią nieboraka była czerwona jak burak, a oczy wychodziły mu z orbit. Nie miał wystarczającej ilości powietrza i był już bliski uduszenia. Teraz zaczerpnął głęboko i głośno powietrza, a gdy mnie zobaczył zawołał z radością w głosie:

— *Hamdulillah!* Czy to ty, efendi? Jestem uratowany!

— Czy jesteś niewolnikiem ojca szejka?

— Tak, efendi.

— Dlaczego twój pan uwięził cię tutaj?

— Obawiał się, że zdradzę ci jego zamiary. Właśnie udawałem się do ciebie, aby cię ostrzec.

— Przed kim?

— Przed ojcem szejka i wszystkimi mieszkańcami wioski. Strzeżcie się! Macie wszyscy zginąć!

— Acha! Tak właśnie podejrzewałem.

— Czy weszliście już do *duaru* ?

— Tak.

— Więc odbierzcie, zaklinam was na miłość do Allacha, wszystkim Beni Suef broń. Chcą zamordować was w czasie snu.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za twoje ostrzeżenie i jestem rad, że to co mi radzisz już uczyniłem. Beni Suef zostali naszymi jeńcami a ich broń przeszła w nasze ręce.

—Więc jesteście zwycięzcami! Czy będę musiał być teraz waszym niewolnikiem, efendi?

— Nie, jesteś wolnym człowiekiem!

Mężczyzna rozplakał się i złożył ręce jak do modlitwy.

— Dzięki Allachowi! Niech wynagrodzi ci to w twojej ostatniej godzinie.

— Jak znalazłeś się tu, na Saharze? Czy jesteś synem tej ziemi?

— Nie. Pochodzę z Istambułu.

— Jakież los zawiódł cię więc tutaj?

— Mój pan jeździł w okolice Nilu, gdzie handlował niewolnikami i kością słoniową. Domyśliłem się, że transportował niewolników do Egiptu jako „wielbłądy” i wkrótce dowiedziałem się już zbyt wiele o jego ciemnych interesach. Stałem się niewygodny, więc sprzedał mnie potajemnie w Kordofanie. Gdy odjeżdżał zostałem schwytany, a potem kolejno zmieniałem swoich panów, a przez wojny i inne przegrane moich dotarłem aż tutaj.

— Dokąd chcesz się udać teraz, gdy jesteś wolny?

— Tęsknię za swoją ojczyzną. Ale nie mam środków na podróż.

— Zatrąszczę się o to, abyś nie odchodził stąd z pustymi rękami.

— Efendi, obdarowałeś mnie już szczerze obiecując mi wolność. Będę pracował, aby zaoszczędzić tyle pieniędzy, bym mógł wyjechać do ojczyzstego miasta. Jeżeli twoja litość da mi teraz tylko jakieś odzienie, to więcej nie mogę nic żądać.

Mówiąc to wskazał na swoje ubogie, podarte ubranie.

— Rozumiem. Otrzymasz zaraz to, o co prosisz. Chodź za mną!

— Czy uwięziłeś także ojca szejka?

— Tak. Nie musisz się już go obawiać. Szybko wróciliśmy do *duaru*.

Gdy kroczyliśmy wśród rzędów namiotów, zauważyłem przerażenie kobiet. Widząc idącego ze mną Alego wiedziały już, że ich zamiary zostały zdradzone.

Poprowadziłem Alego prostą drogą do namiotu starego Hulania. Jego żona, prawdziwa mumia, która była warta swojego męża, zbladła na widok niewolnika.

— Czy znasz tego człowieka? — zapytałem.

— Tak, efendi.

— Potrzebuje jakiejś szaty.

— Gdzie mam mu ją znaleźć?

— U was.

— U nas? — zapytała zdziwiona. — Nasz niewolnik ma zostać ubrany w nasze szaty?

— Tak. Otwórz swoją skrzynię i wydobądź najlepsze odzienie twojego męża.

Starucha spojrzała na mnie jak na niepoczytalnego.

— Uczyń jak mówię i obym nie musiał ci w tym pomagać!

Chwyliłem gruby powróż, który wisiał na jednej z podpór namiotu, złożyłem go czterokrotnie i zacząłem nim groźnie wymachiwać nad głową nieposłusznej kobiety.

— Na Allacha! Zaraz! Natychmiast przyniosę! — krzyczała skrzypiącym głosem.

Teraz spieszyła się tak bardzo, że Ali już po dwóch minutach zmienił się bardzo na korzyść. W nowym stroju upodobił się do Araba wysokiego rodu.

— A teraz chodź za mną!

Wyprowadziłem go z *duaru* w kierunku, gdzie trzymaliśmy jeńców i przykazałem mu:

— Zostań tu, pod tą palmą. Gdy dam znak ręką, podejdź do mnie!

Podszedłem do spętanych Beni Suef. Gdy zobaczyli mnie, ojciec szejka zawołał głośno:

— Efendi! Żądamy sprawiedliwego traktowania. Jesteśmy jeńcami wojennymi a nie przestępcami. Dlaczego kazałeś nas związać?

— Bo na to zasłużyliście. Jesteś kłamcą, chociaż stoisz już jedną nogą w grobie.

Starzec przybrał obrażoną pozę.

— Efendi, gdybym nie był twoim jeńcem, od razu musiałbyś mi zapłacić za tę zniewagę.

— To podobne do ciebie. Może nawet kazałbyś mnie zamknąć w szałasie, w którym zazwyczaj suszysz swoje *bla hale/a*?

Starzec przestraszył się, ale wkrótce opanował się ponownie.

— Nie, walczylibym z tobą jak przystało na wojownika.

— A ja poczęstowałbym cię pejczem a nie bronią. Podstępnych morderców traktuje się właśnie w ten sposób. Spójrz na tego człowieka!

Dałem znak Alemu, który powoli podszedł do nas. Z powodu tak bogatych szat nie został rozpoznany przez Beni Suef

— Kim jest ten mężczyzna? — spytał Hulam.

— Przyglądnij się mu dokładnie. To jego zamknąłeś w suszarni.

— *Allah Hallahl*

— I cóż! Chcesz mi może wmówić, że nie znasz powodu, dla którego zamknąłeś go tam?

Stary nałożył na twarz wyczekującą maskę.

— Czyżbym musiał ci się z tego spowiadać? To niewolnik i mogę uczynić z nim co zechcę.

— Mylisz się. To był twój niewolnik. Teraz to my jesteśmy zwycięzcami i nie należy on już do ciebie a do nas. Musisz odpowiadać na wszystkie moje pytania jeżeli nie chcesz, abym cię do tego zmusił!

Hulam rzucił we mnie spojrzenie jak zatrutą strzałę.

— W jaki sposób chcesz mnie zmusić?

— Och! Jest tyle różnych sposobów. Na przykład baty na krnąbrnych chłopców.

— Mnie wychłostać? — wybuchnął. — Mnie? Szejka i wolnego syna pustyni?

— No cóż! Już nie jesteś szejkiem i nie jesteś też wolny. Ale odpowiedz! Co uczynił ten nieszczęśnik, że kazałeś go uwięzić?

— Kazałem mu pracować, a on tego nie wykonał.

— Kłamstwo! Bałeś się, że mógłby nam zdradzić wasz podły plan, który uknułeś przeciw Beni Sallah. Związałeś go w taki sposób, że umarłby, gdybym przez przypadek go nie znalazł.

— Ten człowiek chciał doprowadzić do naszej zguby.

— Jesteście na nią już skazani. Będziecie traktowani bardzo surowo. Zapamiętajcie: każdy, kto tylko spróbuje oddalić się z miejsca, gdzie się teraz znajduje, zostanie zastrzelony!

Z pewnością zajmowałbym się jeszcze dłużej skutkami udowodnionego podstępu Beni Suef, gdyby nie nagła przeszkoda. To Hilal i jego jeźdźcy pędzili przez *duar*. Usłyszałem od niego z oddali:

— Nadchodzą!

— Ilu może ich być?

— Nie mogłem ich zliczyć. Nadjeżdżają zwartą grupą.

— ATarik? Czy zauważyłeś jego wojowników?

— Nie.

— Sam to sprawdzę. Prowadź!

Kazałem przyprowadzić swoją klacz i wyjechałem z Hilaiem niedaleko przed oazę. Przez lunetę zauważyłem na północnej linii horyzontu ciemny punkt, który, gdy uważnie się przyglądałem, zbliżał się w naszym kierunku.

— Chyba się nie myliłem? To oni? — spytał Hilal.

— Tak. A kawałek dalej wydaje mi się, że zauważyłem ciemną, wąską linię. Mogę się założyć, że to Tarik i jego ludzie. Jeżeli dobrze obliczyłem, to Beni Suef przybędą tu za niecałe trzy kwadransy.

— Jak przygotujemy się do ich powitania?

— Ani jeden z nich nie może nam ująć. Podzielimy się. Pięćdziesięciu ludzi pojedzie na wschód i tyleż samo wyruszy na zachód. Pojadą galopem, aby nie zauważyli ich nadciągający Beni Suef. Później utworzymy dwa półokręgi, które na północy połączą się z oddziałem Tarika, i dopiero wtedy zaczniemy zaciskać nasze okrążenie.

— To dopiero stu ludzi. Co z resztą?

— Pozostałych pięćdziesięciu jeźdźców, bo jeszcze pięćdziesięciu potrzebujemy do pilnowania jeńców, aby utrzymać ich w szachu, będzie czekało tutaj, aby w odpowiednim momencie przywitać nadjeżdżających na zewnątrz przed oazą. Nie możemy dopuścić do walki w wiosce, między namiotami.

— Kto będzie dowodził?

— Ja przejmę dowództwo w obozie. Ty poprowadzisz grupę kierowaną na wschód, a któryś z twoich ludzi, którego sam wybierzesz, będzie dowodził oddziałem zachodnim. Musicie zaplanować wszystko tak, aby nie przybyć ani za wcześnie, ani za późno. A teraz musimy się pospieszyć. Nie mamy ani minuty do stracenia.

* * *

Już wkrótce Hilal wyruszył z *duaru* ze swoimi wojownikami w dwóch grupach; jedna skierowała się na prawo, druga na lewo. Wszystkie rozkazy wykonano oczywiście w ten sposób, że nasi jeńcy nic nie zauważyli; nie powinni się mianowicie dowiedzieć, że nasze siły zostały wydatnio uszczuplone po wysłaniu aż stu ludzi poza obóz.

Znów nadeszła pora oczekiwania. Wraz ze swoimi pięćdziesięcioma wojownikami oczekiwałem na zbliżających się wśród palm, w najbardziej wysuniętej na zewnątrz części oazy. Wrogowie nie byli w stanie nas zauważyć.

Beni Suef nadjeżdżali kłusem. Nie poruszali się ze zbyt dużą prędkością; zarówno im, jak i ich zwierzętom, dało się już we znaki zmęczenie. Poza tym przynosili do *duaru* wieść o porażce. I to spowodowało, że nie będąc uskrzydłonymi zwycięstwem nie spieszyli się zbytnio, aby obwieścić o klęsce i śmierci bliskich.

Oczywiście, wciąż nie spuszczałem z oczu strony zachodniej i wschodniej. Zauważyłem ledwo dostrzegalną linię, która szybko rozprzestrzeniła się na północ, aby dołączyć do oddziału dowodzonego przez Tarika. Jak zaobserwowałem przez lunetę, wkrótce doszło do połączenia sił, i to jeszcze zanim Beni Suef zbliżyli się do oazy na tyle, że można było rozróżnić

pojedynczych jeźdźców. Teraz tylko oddziały Hilala powinny połączyć się z moimi i wrogowie byliby okrażeni.

Beni Suef zbliżali się w tym czasie nie zachowując środków ostrożności. Zauważyłem przez lunetę, że wciąż oglądali się na ścigających ich ludzi Tarika. Zdawało się, że nie mogą zrozumieć, jak tak niewielka grupa wojowników odważyła się deptać im po piętach. Teraz z grupy Beni Suef odłączyło się kilku jeźdźców, którzy wyruszyli galopem. Z pewnością zostali wysłani, aby zapowiedzieć w oazie o zbliżaniu się swoich i przygotować mieszkańców *duaru* na wieść o nieudanej wyprawie.

Wycofałem trochę swoich ludzi, ale sam pozostałem z wybranymi wojownikami, aby pozwolić przejechać posłom, których było pięciu, a potem ich osaczyć. Wysłani przodem wkrótce dojechali do palm i niczego nie podejrzewając kłusem przebyli odcinek drogi prowadzący tuż koło naszej kryjówki. Natychmiast zjawiliśmy się za nimi.

— *Wakkif*, stać!

Zdziwieni zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Było dla nich niesamowitym, że jeźdźcy, którzy stali teraz za nimi, nie zostali przez nich wcześniej zauważeni.

— *Intu gaijin min ehrO*. Skąd przybywacie?

Jeden z posłańców podjechał odrobinę w naszym kierunku i zawołał:

— O to możemy zapytać my, a nie wy, obcy na tym terenie. Skąd przybywacie?

— Z północy.

— To kłamstwo! Musielibyśmy was dostrzec.

— Cóż mogę poradzić na to, że nie potrafiliście szerzej otworzyć oczu.

— *Allan akbar!* Twój język nie grzeszy uprzejmością. Do jakiego plemienia należycie?

— Ci mężowie to Beni Sallah.

— Łżesz!

— Powściągnij swój język. Mówisz z Karą Ben Nemzi.

— Kara Ben Nemzi? Łżesz ponownie. Ten człowiek jest u Beni Sallah na północy. Nie możesz więc być nim!

— Mimo to jestem nim. Ostrzegłem was wczoraj przed walką na wydmach, ale nie posłuchaliście mojej rady i sami podążyliście w otchłań zagłady. Przybyliśmy do waszego *duaru* wcześniej niż wy i teraz żądamy od was, abyście się poddali!

— Czy postradaliście zmysły? Tu, w naszym *duarze* Beni Suef wyciągnął swój *dżiryt*.

— Zostaw swoją włóczęgę. Czy naprawdę chcesz wystąpić przeciw nam wszystkim? Spójrz tylko wokół!

Beni Suef spojrział za siebie i zauważył tylko twarze wrogów. Wystarczyłby jeden ruch ręką z mojej strony a pięciu posłańców leżałoby martwym.

Ich konie niosły ich tak szybko w kierunku *duaru*, że nie pomyśleli o zabezpieczeniu tyłów.

— Rozbroić ich i odprowadzić do reszty jeńców! — rozkazałem widząc, że był już najwyższy czas, aby powitać pozostałych Beni Suef Byli bowiem już tak blisko, że można było rozróżnić ich twarze. Rozkazałem swoim ludziom utworzyć linię i na ich czele wyruszyłem galopem w kierunku wroga.

Beni Suef zatrzymali się, gdy spostrzegli zbliżającą się ku nim od strony *duaru* tak dużą grupę jeźdźców.

Chociaż sami tworzyli sporą grupę, to nie sprawiali wrażenia dumnych i napawających lękiem. Było widać, że jeszcze nie otrząsnęli się z szoku po swojej porażce. Wielu z nich prawie resztką sił utrzymywało się w siodłach; niektórzy byli ranni. Niektóre zwierzęta dźwigały dwóch jeźdźców.

Beni Suef zdziwieni patrzyli w naszym kierunku. Cóż to mogli być za ludzie, którzy przybywali im na spotkanie od strony ich oazy? Czy byli to przyjaciele? A może ich ludzie, którzy będąc niezdolnymi do walki nie wyruszyli na Beni Sallah? Nie, to było nieprawdopodobne. Ale nie mogli to być wrogowie, bo w jakież sposób znaleźli się w *duarzel* Być może byli to wojownicy zaprzyjaźnionego plemienia, którzy dotarli do obozu w czasie ich nieobecności.

Ponieważ nie dało się znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, Beni Suef zatrzymali się aby poczekać na dalszy bieg wydarzeń.

Podjechałem na taką odległość od wrogiego oddziału, aby mój głos mógł do nich dotrzeć i zatrzymałem się.

—Wojownicy Beni Suefmajątak złe konie, że pozwolili swoim wrogom dotrzeć do *duaru* wcześniej niż oni sami.

— Wrogom? — zapytał ich dowódca. — Do jakiego plemienia należycie?

— Do plemienia Beni Sallah.

— To z pewnością żart. Jak mogłyby te psy — niech Allah ich spali żywcem! — być tutaj przed nami! Mówię ci! Zanim choćby jeden Beni Sallah...

Nagle ktoś przerwał dowódcy wołając przerażonym głosem:

— Kara Ben Nemzi!

— Kto? Ten człowiek?

— Tak!

— *Kul szejatin!* Do wszystkich diabłów! Czy się nie mylisz?

— Nie, to on!

Ta wieść wywołała wśród wojowników natychmiastowe działanie: wszyscy sięgnęli po broń.

— Porzućcie myśl o użyciu broni! — rozkazałem ostro. — Broń nie może wam pomóc!

— Jesteś szalony! — zawołał szyderczo dowódca. — Jest nas prawie dwustu, a was zaledwie pięćdziesięciu.

— Więc rozejrzyjcie się; na prawo, lewo i za siebie!

Beni Suef jak dotąd wciąż obserwowali tylko przestrzeń przed *duarem*. Nie dostrzegli więc, co stało się w międzyczasie. Oto obydwie oddziały Hilala połączyły się z grupą Tarika i zamykający się okrąg wokół powracających z pola bitwy zacieśnił się. Zanim Beni Suef zdążyli przyjąć pozycje obronne byli już osaczeni ze wszystkich stron. Co prawda, nie mieliśmy nad nimi liczebnej przewagi, ale mogliśmy uczynić wśród ich ciasno ustawionych szyków tak olbrzymie spustoszenie dzięki broni palnej, że tylko nieliczni mieliby szansę ująć z życiem.

— Widzicie więc, że każda próba oporu jest bezsensowna — ostrzegłem. — Zajęliśmy wasz obóz i wzięliśmy do niewoli jego mieszkańców.

— *Allah ilAllah!* Są w niewoli?

— Wszyscy. Również ojciec poległego na polu bitwy szejka. Próbujcie się więc ratować. Jesteście otoczeni! Jeśli choć jeden z was wystrzeli, to jesteście zgubieni! A o tym, że nasze kule nie chybiają, przekonaliście się wczoraj!

Beni Suef zwarli szyki i zaczęli się naradzać. Można było odczytać z ich twarzy, jak bardzo byli rozgniewani swą własną bezsilnością. Po chwili uzgodnili dalsze postępowanie i odezwał się wojownik, który dotychczas rozmawiał ze mną.

— Jakie stawiasz warunki, gdy poddamy się bez walki?

— Darujemy wam życie.

— Nic więcej? Co stanie się z naszym dobytkiem?

— O tym jeszcze zdecydujemy. Nie chcemy, abyście głodowali.

— Nie mogę wydać rozkazu o złożeniu broni. Jestem tylko tymczasowym dowódcą. Sprowadź starego Hulama. Jego słowo będzie naszą decyzją.

Jeszcze w czasie wymiany zdań podjechał ku nam Hilal. Usłyszał ostatnie słowa i dał mi znak, że chce ze mną rozmawiać.

— Efendi, czy chcesz spełnić jego żądanie i sprowadzić tu tego starca?

— Tak, każ go tu przyprowadzić.

— Po co? Po co te długie rozmowy? Czy to, jaką decyzję podejmą nasi wrogowie ma zależeć od jednego słowa starca, który jest naszym jeńcem? Czyż nie mamy nad nimi przewagi dzięki naszej broni?

— Ale jeżeli dojdzie do walki, muszą się bronić. Również niektórzy z nas nie powrócą już do *duaru*. Dlaczego musi dojść do przelewu krwi, jeżeli nie jest to konieczne?

— Być może masz rację. Ale te psy nie zasługują na to, aby ich oszczędzać!

— Oszczędzając ich, oszczędzam nas samych. Czy znów zapomniałeś, o czym wcześniej mówiliśmy? Więc pojedź do *duaru* i przyprowadź starca!

Moje słowa skłoniły go do przemyśleń. Był synem pustyni ognistej krwi i nie było dla niego prostym okiełznanie swojego temperamentu. Jego stare przyzwyczajenia i poglądy tkwiły jeszcze zbyt głęboko w nim, i nie było łatwym je stłumić, zwłaszcza w zdenerwowaniu. Byłem już przygotowany na dalszy sprzeciw z jego strony, ale wtedy właśnie zawrócił swego konia i pogalopował w kierunku oazy.

Obydwie strony obserwowały się wzajemnie posepnym wzrokiem.

Nie trwało to długo i Syn Błysku powrócił. Jechał na koniu. Starzec musiał biec obok niego. Gdy przybyli do miejsca, gdzie stałem, Hilal chwycił spętanego szejka za kołnierz i powiedział:

— Ci oto wojownicy chcą wiedzieć, czy mają się poddać, czy też nie. Masz im powiedzieć, co uważasz za lepsze rozwiązanie.

Mówiąc to wy dobył swój sztylet.

— Czyżbyś chciał mnie zabić? — zaskrzeczał starzec.

— Jeśli twoi ludzie nie poddadzą się, będziesz pierwszym, który przekroczy próg piekła.

Hulam nie miał wątpliwości, że groźba zostałaaby spełniona. Spojrzał na swoich wojowników a potem na nas.

— Opór jest daremny. Poskromcie swoją odwagę i poddajcie się.

— Czy mamy pozwolić się rozbroić? — zapytał posepnie przywódca.

— Tak.

— Szejku, nie jesteśmy tchórzami! Walczyliśmy!

— Tak, walczyliście i równie dzielnie uciekaliście z pola bitwy — wybuchnął Hilal. — Nie mamy ochoty czekać, aż podejmiecie decyzję po długich naradach. Poddajcie się natychmiast, albo musicie zginąć. Nie tylko wy, ale także wszyscy w waszym *duarze*.

— Również ci, których ja wziąłem do niewoli — zabrzmiało za Beni Suef

Właśnie tam stał Tarik ze swoją grupą ścigającą uciekinierów od samego pola walki. Z daleka skinął mi głową na znak pozdrowienia, ale jeszcze nie zamienił ze mną ani słowa. Mógł jednak śledzić moją głośną rozmowę z Beni Suef Teraz wskazał najeźdźców ukrytych za jego ludźmi. Jego sześćdziesięciu wojowników, z którymi wyruszył w pościg, tworzyło długi rząd. Teraz jednak rozsunęli się, abyśmy mogli zobaczyć tych, którzy zostali schwytani. Było ich około pięćdziesięciu. Byli przywiązani do wielbłądów i koni. Wszyscy byli rozbrojeni i wyczerpani. Był to dowód na to, że Tarik wykonał swoje zadanie wyśmienicie.

Gdy Beni Suef zobaczyli jeńców, ich dowodzący zawołał:

— Szejku, czy mamy być winni śmierci tak wielu naszych ludzi?

— Nie! Straciliśmy ich już zbyt wielu. Czy jesteście jedynymi, którzy powracają?

— Tak.

— Na Allacha! A gdzie pozostali?

— Wielu poległo. Leżą martwi w pobliżu *duaru* Beni Sallah.

— Allah rozlał wielką rzekę bólu na nasze plemię. Nasze kobiety będą zanosić się płaczem, a dzieci żałośnie zawodzić. Niech będzie przeklęty...

— Wystarczy! — krzyknął Hilal, trzymając sztylet na jego szyi. — Jeżeli obrazisz nas choć jednym słowem, umrzesz starcze!

Hulam zacisnął wargi pomimo zaciętego wyrazu na jego twarzy.

— Zsiądźcie ze swoich zwierząt i oddajcie broń! — rozkazał Tarik i podjechał bliżej do jeńców.

— Dlaczego ten człowiek wydaje nam rozkazy? — zapytał kąśliwie dowódca.

— To szejka Beni Sallah — wyjaśnił Hilal.

Dowodzący Beni Suef nie znalazł na to odpowiedzi. Zeskoczył z wielbłąda i złożył swą broń na ziemi. Był to znak dla jego ludzi, że mają uczynić to samo.

Pozostawiłem zadanie rozbrojenia Beni Suef i ich uwięzienie wojownikom Tarika, a sam udałem się w kierunku *duaru*. Teraz, gdy przybył już szejka, mogłem ustąpić ze stanowiska głównodowodzącego w oazie i to z czystym sumieniem. Nie musiałem już o nic się troszczyć.

Chciałem jedynie wykorzystać swe wpływy, aby nie potraktowano Beni Suef zbyt surowo. Ich czyn zasługiwał na ciężką karę, ale nie zasłużyli jednak na całkowitą zagładę.

Nie pozostawiono mnie jednak długo samego. Wkrótce odszukał mnie Tarik. Chciał ze mną porozmawiać o sposobie traktowania zwyciężonych.

— Efendi — zaczął — moje plemię jest ci winne wdzięczność, która nie zna granic. Nigdy nie odnieśliśmy takiego zwycięstwa bez twojej wszechobecnej rady i pomocy.

— Podziękujcie mi tym, że potraktujecie pokonanych Beni Suef po ludzku.

— Uczynimy tak. Właściwie powinni zostać naszymi niewolnikami. Mamy prawo zniszczyć ich palmy, zasypać ich źródła wody i odebrać cały dobytek.

— Ale nie postąpicie w ten sposób.

— Nie. Zabierzemy, co prawda, nasze łupy i broń, aby nie mogli walczyć przeciwko nam. Zostawimy jednak ich stada i zapasy w takich ilościach, aby wystarczyło to im do życia.

— To dobrze.

— Nie będą mogli handlować z żadnym innym plemieniem i będą zmuszeni kupować wszystko od nas. Nie będą więc naszymi niewolnikami, a jednak będą od nas zależni.

— Uznaję to za słuszne.

— Nie chcę być zbyt surowy wobec nich, ale też nie mogę być niesprawiedliwy w stosunku do moich ludzi. Czyż mógłbym zostawić Beni Suef daktyle, a swojemu plemieniu dać kamienie? Nie chcę odbierać im życia, stracili już tak wielu spośród swoich wojowników; to wystarczy. Ale nie mogę pozwolić, aby zachowali kosztowne przedmioty. W przeciwnym razie podźwigną się szybko, wymienią wszystko na broń, poszukają sprzymierzeńców i znów na nas napadną. Jeżeli będą ubodzy, to nie zyskają sojuszników, nie będą mogli zakupić broni i będą we wszystkim zależni od nas. Jestem szejkiem Beni Sallah i muszę dbać o swoich ludzi. Uczynię więc tak, jak powiedziałem. Ale przy tym zawsze będę na tyle pobłażliwy, na ile pozwoli mi poczucie obowiązku.

Słowa te były godne prawdziwego mężczyzny i musiałem przyznać mu rację. Ten człowiek zapowiadał się bardzo dobrze. Jeżeli będzie postępował tak dalej, to jego plemię czekała świetlana przyszłość. Nie mogłem przecież żądać od niego, aby tutaj, na pustyni, gdzie panowało prawo zemsty bez jakichkolwiek ograniczeń, zaczął działać zgodnie z zasadami krajów cywilizowanych. Byłoby to niewątpliwie uznane w tych okolicznościach za oznakę słabości.

— Radziłbym ci jeszcze — dodałem do wywodu Tarika, — abyś nie rezygnował całkowicie z wojsk Beni Suef, mimo ich zależności od nas. Wychowujcie ich na wojowników. Możecie ich kiedyś potrzebować.

— Pójdziemy za twą radą. Wiemy, że wszystko zawdzięczamy twoim dobrym wskazówkom. To ty najbardziej przyczyniłeś się do naszego zwycięstwa nad Beni Suef. To ty dopomogłeś nam w zdobyciu broni, która uczyniła nas tak potężnymi.

— Mam nadzieję, że pozostaniecie dobrymi przyjaciółmi z kedywem.

— Byłem nim i nim pozostanę. Czyżby właśnie nie dzięki temu, że zdecydowaliśmy się na przymierze z nim, otrzymaliśmy od ciebie broń — najskuteczniejsze wsparcie. Broń, której nie zobaczylibyśmy nigdy, gdyby *dżemma* zdecydowała inaczej.

— Cieszę się, że sam doszedłeś do tego wniosku.

— Jeżeli kedyw będzie nas potrzebował, wystarczy jedno jego słowo, a uczynimy wszystko, czego zażąda.

— Byłoby dobrze, gdybyś posłał do niego jednego ze swoich ludzi, lub jeszcze lepiej, gdybyś porozmawiał z nim sam.

— Tak, pojedę do niego i opowiem o wszystkim, co się wydarzyło.

— Będziesz musiał opowiedzieć mu znacznie więcej, aniżeli sam teraz wiesz.

«

— Co masz na myśli?

— Falehd nie żyje.

— Ach tak. Zginął w czasie bitwy na wydmach?

— Nie, zakradł się do obozu i wtargnął do ruiny.

— *Allah il Allah!* Co się wydarzyło? Czy doszło do nieszczęścia?

— Na szczęście nie udało mu się wprowadzić swych planów w czyn.

Nie było innego wyjścia — musiałem wszystko opowiedzieć Tarikowi o tym, co wydarzyło się tuż po starciu z wrogiem w siedzibie Khanum. Udało mi się uspokoić szejka, który niepokoił się o los wybranki swego serca. Tarik zarzucał mnie pytaniami, ale nim zdążyłem mu na nie odpowiedzieć, przeszkodzono nam. Trzeba było podjąć decyzję o sposobie podziału łupów.

Najdzielniejsi wojownicy zebrali się na naradę. Oczywiście, wezwano mnie również do udziału w niej, ale odmówiłem. Temat łupów wydawał mi się niewyczerpalny. Nie chciałem nic o tym wiedzieć.

Moje ciało domagało się snu. Po tak wyczerpującej ciągłej jeździe konnej w ciągu ostatnich dni poczułem, że gdy opadło napięcie i zapadały rozstrzygnięcia, zasłużyłem na odrobinę spokoju. Tarik i Hilal oddalili się, aby porozmawiać zanim spotkają się z wojownikami. Byłem pewny, że moje wysiłki, aby zmienić ich nieprzejednane stanowisko w stosunku do wroga, nie spełzły na niczym. Szukałem schronienia w palmowym lesie. Poszukałem sobie cienistego miejsca i ułożyłem się do snu.

* * *

Nie wiem, jak długo spałem, ale doskonale pamiętam, że przebudził mnie ktoś, kto potrząsnął mnie mocno za ramię. Był to Halef

— *Allah akbar!* Wreszcie cię znalazłem, sisi! Szukałem cię wszędzie jak sztuki złota, którą zgubiłem.

— Naprawdę? — zapytałem kpiąco. — Prawie już byłem przekonany, że nie jestem dla ciebie więcej wart, niż miedziany *dabah*, wart pół grosza.

— *Allah kerihm!* Jak możesz porównywać siebie do tak pogardzanego przez wszystkich miedziaka⁷ I zresztą, skąd przyszło ci namyśl...

— Gdzie podziewałeś się wczoraj cały dzień? A dziś, gdy zajmowaliśmy *duar'*! Widzę cię teraz po raz pierwszy. Czy to w ten sposób chronisz wiernie swego sisi?

— Panie — odrzekł Halef urażony. — Obrażasz głębię moich delikatnych uczuć i nie doceniasz niezmiernie chęci służenia ci. Jeszcze nigdy, odkąd cię znam, nie służyłem ci wierniej, jak wczoraj i dziś, gdy nie mogłeś mnie dostrzec.

— *Ajjuha!* Co ty powiesz? A jak potrafisz to udowodnić?

— Nie wymaga to dowodów. Cóż dałaby ci moja obecność u twego boku? Jeżeli miałeś jakieś życzenie, to wystarczyło abyś skinął ręką i już pospieszyliby do ciebie dwustu Beni Sallah gotowych je spełnić. Nie byłeś więc zdany na mnie. Ale nie sądz, że nie myślałem w tym czasie o tobie. Opowiadałem Beni Sallah o nieprawdopodobnych czynach bohaterstwa i chwały, których razem dokonaliśmy. Przyniosło ci to nieporównywalne korzyści. O wiele większe niż to, że podpaliłbym ci *tszibuk* lub przygotował filizankę najprzedniejszej mokki.

— Inaczej mówiąc: znów przechwalałeś się i blagowałeś niebotycznie, co weszło ci ostatnimi czasy w nałóg o wiele większy, niż ten, który jest do przyjęcia. Ale powiedz w końcu, dlaczego mnie szukałeś?

— Sidi — objaśnił mi odrobinę zbity z tropu, — dwaj obcokrajowcy z Turcji i Moskwy chcą z tobą rozmawiać.

Prawda! Zapomniałem o nich zupełnie. I oni brali udział w wyprawie przeciw Beni Sallah. A teraz byli wśród jeńców. Mogłem sobie wyobrazić, czego chcieli. Ale nie byłem skłonny, aby coś dla nich uczynić.

— Powiedz im, że nie chcę mieć z nimi nic do czynienia. Niech zostawią mnie w spokoju! Halef odszedł, ale wkrótce znów się pojawił.

— Sidi, powiedziałem im jak kazałeś, ale oni żądają rozmowy z tobą.

— Żądają? Rzeczywiście? Czyżbym musiał być im posłuszny?

— Nie zrozum mnie źle — wyjaśniał Halef trochę speszony. — Chciałem tylko wyrazić ich prośbę o szybką rozmowę z tobą.

— Więc proszą? To coś innego. W takim razie raczę z nimi porozmawiać.

Zrozumiałem słowa Halefa aż za dobrze. Zapłata, którą otrzymywał ode mnie nie była wysoka. Prawdopodobnie obcokrajowcy dali mu dobrą łapówkę, aby uzyskać widzenie ze mną.

Uczyniłem więc Halefowi tę przysługę, wstałem głęboko wzdychając i podążyłem za nim. Zaledwie zrobiliśmy kilka kroków, gdy natknęliśmy się na Ben Alego, niewolnika Hulama, którego obdarowałem wolnością. Mógł się poruszać po całym obozie, a za pasem miał zakrzywiony sztylet.

— Efendi, chciałbym ci jeszcze raz podziękować — zaczął, lecz mu przerwałem:

— Nie dziękuj mnie, lecz Allachowi! Czy dalej masz zamiar powrócić do ojczyzny, czy też zostaniesz wśród Beni Sallah?

— Efendi, mam dość pustyni i tęsknię za wodami cieśniny Złoty Róg. Od twego przyjaciela Hadzi Halef Omara usłyszałem, że twoja dalsza droga prowadzi do Egiptu. Chciałbym zapytać, czy nie mógłbyś mnie zabrać ze sobą. Nie będę ci ciężarem.

— Hm. O tym możemy jeszcze porozmawiać. Teraz muszę udać się do obozu jeńców. Jeżeli chcesz, możesz mi towarzyszyć, a potem porozmawiamy o twojej prośbie.

— Dobrze, pójdę z tobą, efendi.

Ben Ali dołączył do nas.

Jeńców umieszczono w piaszczystej dolinie niedaleko oazy. Tam, pod czujnym okiem uzbrojonej straży Beni Sallah, leżeli lub siedzieli w kucki ze związanymi rękoma i oczekiwali z ǳie maometańskim fatalizmem na decyzję o ich losie.

Halef zaprowadził nas na miejsce, gdzie leżeli agenci. Ujrawszy mnie usiedli a Rosjanin rozpoczął bez wstępu.

— Efendi, żądamy aby nas rozwiązano i uwolniono. Wzruszyłem ramionami.

— Z tą sprawą zwróciliście się do niewłaściwej osoby. To nie ja zadecyduję o waszym losie.

— Ani nie Beni Sallah! Nie należymy do ich wrogów..

— ..ale mimo to wzięliście udział w wyprawie przeciw nim.

— To nieprawda! Przypadkowo natknęliśmy się na Beni Suef i jako zupełnie nie biorący w niczym udziału podążyliśmy wraz z nimi.

— Nie wysilaj się, aby mnie wprowadzić w błąd. Byłem w Fers el Hadszar i podsłuchałem, że oddaliście swą wiedzę wojskową Beni Suef w przeddzień walki. Zrozumiałem słowo w słowo.

— A jednak się mylisz.

— *Uskut!* Milcz! Czyżbyś miał mnie za dziecko, któremu musi się najpierw wyjaśnić znaczenie słów? Całe tygodnie wykorzystywaliście gościnność Beni Sallah, a teraz znaleźliście się wśród ich wrogów. Nie dziwiłbym się, gdyby szejka, uznając was za szpiegów, kazał was powiesić na pierwszej lepszej palmie.

— To niezgodne z porozumieniami międzynarodowymi. Jesteśmy wysłannikami naszych rządów i mamy prawo żądać ...

— Nie macie żadnych praw! Ale nie wpadajcie w panikę. Trudno mi uwierzyć, aby szejkowi przyniosła coś wasza śmierć.

— Sądzisz więc, że wypuści nas na wolność? — zapytał Aksakow z nadzieją w głosie.

— Jestem przekonany, że tak zrobi. Zapłacicie tylko należny mu okup. Wysokość sumy nie będzie dla niego powodem do łamania sobie nad tym głowy, bo wie jakimi dysponujecie sumami.

— Mamy zapłacić okup? Ani nam to w głowie.

— Ależ tak. Zrobicie to, i to z wielką ochotą. Czyżbyś sądził, że niewola wśród tych półdzikich ludów należy do rozkoszy życia? Już wkrótce pokornie zgodzicie się na warunki szejka.

— Nie zapłacimy okupu.

— To wasza sprawa. Ja uważam naszą rozmowę za zakończoną i...

— Zaczekaj! Prosimy cię, abys został jeszcze chwilę — poprosił Rosjanin, gdy spostrzegł, że naprawdę mam zamiar odejść. — Sądziliśmy, że mógłbyś wstawić się za nami u szejka.

— Co do tego myliliście się i to bardzo. Nie wchodzi w rachubę, abym miał się za wami wstawiać.

— Dlaczego nie? Co ci uczyniliśmy, że jesteś do nas tak wrogo nastawiony?

— Nic mi nie uczyniliście. Ale tylko dlatego, że nie mieliście ku temu sposobności. I od początku nie ukrywałem, że brzydzę się tym, co robicie. Jesteście szkodnikami na ciele narodów. Nie ma takiej kary, która mogłaby być dla was zbyt surowa. Należycie do tego rodzaju agentów, którzy działają nie z miłości do własnego kraju, ale dla pieniędzy. Szpiclujecie, knujecie intrygi i podjudzacie innych tylko po to, aby przynosiło to wam dochody. A ludzkie życie nic dla was nie znaczy. Temu, kto więcej płaci, sprzedajecie swe usługi.

Rosjanin skoczył na równe nogi, podniósł ku górze spętane powrozem ręce i potrząsnął nimi gniewnie.

— Ciesz się, że nie mam wolnych rąk! W przeciwnym razie musiałbym cię spoliczkować. Jesteś Niemcem. Car zażąda od twojego cesarza zadośćuczynienia za tę bezczelną zniewagę rosyjskiego dyplomaty.

— Nie ośmieszaj się — odrzekłem lodowatym tonem. — Twój car ma inne kłopoty niż dbanie o honor jednego ze swoich szpicli. A i cesarz nie będzie się troszczył ani trochę o rzeczy, które zdarzyły się pośrodku pustyni. Zresztą wiesz, że każdy rząd zostawia agenta, który nie wykonał swojego zadania, pozostawiając go samemu sobie. Nie chcę mieć z wami nic do czynienia. Niech Allah da wam rozsądek, którego dotąd wam brakowało.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, wmieszał się do rozmowy Turek.

— Poskarżymy się na ciebie kedywowi. I to przed nim będziesz się tłumaczył, jak przyjedziesz do Masr.

Ta groźba zabrzmiała tak nedorzecznie, że nawet jego towarzysz dał mu kuksańca.

— Tak, tak powinniście zrobić! — zaśmiałem się. — Nie mogłem wam dać lepszej rady. Już widzę oczyma wyobraźni, jak kedyw przyjmuje was z otwartymi ramionami. On, przeciw któremu spiskowaliście za pomocą wszystkich dostępnych wam środków. Szejk Beni Sallah musiałby mieć piasek zamiast oleju w głowie, jeżeli nie powiadomiłby kedywa o zdarzeniach ostatnich dni. A szczególnie zaś nadmieni o was z wielką tkliwością. Bądźcie przekonani, że

szejk przedstawi waszą działalność tutaj w tak różowym świetle, że z pewnością nie będziecie mogli skarżyć się na brak zainteresowania ze strony władz Egiptu. Jeżeli w ogóle odważycie się wytknąć nos poza granicę z Egiptem.

— Tego szejka z pewnością nie uczyni — twierdził Turek.

— A ja wam mówię, że tak uczyni! Czyżbyś sądził, że się ciebie boi, Sadik Efendi?

— Ale przecież musimy wybrać drogę przez Egipt, jeżeli chcemy wrócić do naszych mocodawców.

— Dlaczego? Możecie przecież równie dobrze wyruszyć na zachód przez pustynię. Naprawdę, pustynia jest o wiele piękniejsza niż można pomyśleć. Być może będziecie mieli szczęście i dokonacie podobnego jak ja odkrycia.

Pominęli mój żart milczeniem.

— Możecie też wybrać drogę przez Sudan — mówiłem nieubłaganie dalej. — Tamtejsze plemiona są jeszcze mniej cywilizowane niż tutejsze. I być może będziecie u nich mieli większe szanse ze swoimi propozycjami uszczęśliwiania.

Być może Czytelnik zgani moje postępowanie w stosunku do jeńców. Miałem przed sobą bezbronnych, których obrzucenie obelgami nie jest zbyt szlachetnym. Przyznaję tu rację. Podkreślam, że zazwyczaj nie skłaniam się do radości z cudzego nieszczęścia, określanej jako *Schadenfreude*. Ale w ostatnich dniach mogłem dokładnie przyjrzeć się bezdusznej i przewrotnej polityce do tego stopnia, że ogarnęło mnie prawdziwe oburzenie i głęboki wstręt. I tym większe zadowolenie przepełniało me serce, gdy pomyślałem, że dzięki sprzyjającym okolicznościom udało mi się rozerwać tak podstępnie i misternie utkane nici intrygi. Ani więc nie przyszło mi na myśl, że miałbym dopomóc winnym w wybrnięciu ze ślepej uliczki, w którą sami się zapędzili. Nie mogłem tego uczynić. Sami musieli z niej wybrnąć.

Sprawa ta jednak miała przybrać zupełnie inny obrót niż myślałem. Właśnie odwróciłem się aby odejść, gdy Ben Ali, który cały czas stał w pobliżu, usłyszał w czasie rozmowy imię Sadik Efendi. Wydał okrzyk zdziwienia, podszedł blisko do Turka i wpatrywał się w niego z napięciem.

— Sadik Efendi! Na Allacha! Najpierw miałem wątpliwości, ale gdy usłyszałem to imię, byłem już pewny. To on! To właśnie on! — wołał podniecony.

— Kim on jest? — zapytałem, chociaż już się domyśliłem.

— Ten psi syn to właśnie handlarz drzewem hebanowym i kością słoniową, który tak podstępnie mnie sprzedał. Człowiek, któremu zawdzięczam swą niedolę ostatnich lat. Trochę się zestarzał i przytył, dlatego nie byłem zrazu pewien, czy to on — morderca i oszust, który ma

na sumieniu nieszczęśliwe życie tak wielu ludzi. Nie ma prawa pojawić się w Masr. Jeżeli złapią go żołnierze kedywa, zostanie powieszony.

— Nie znam tego szaleńca — stwierdził Turek, ale w jego oczach zabłysła niebezpieczna iskra jak w oczach dzikiego zwierzęcia, które czuje się zagrożone.

— A to szczególna sytuacja! — powiedziałem. — Masz na imię Sadik i w twych interesach nie gra roli jeden lub więcej trupów. Sądzę, że zabiorę cię ze sobą do Egiptu, abyś jednak mógł poskarżyć się na mnie. Nie będziesz mógł mieć do mnie pretensji, jeżeli cię tam postawią przed sądem.

— A ja będę świadkiem i opowiem o jego niecnym czynach — zawołał Ali.

— Nie zrobisz tego! — krzyknął Turek.

Jeszcze siedząc wyciągnął szybko swe związane ręce do przodu i wyrwał stojącemu przed nim Ben Alemu sztylet z pochwy. Szybko wstał, zakrzywione ostrze zabłysło w promieniach słońca. Popchnąłem Alego tak, że upadł na ziemię. Ostrze przecięło powietrze, Turek zachwiał się, ale wnet stanął znów pewnie na nogi a jego ręce, zaciskające kurczowo sztylet, opadły w dół. Teraz doskoczył do mnie ziewając nienawiścią. Chciał wbić mi klingę od dołu. Z prędkością, na jaką stać tylko człowieka, który ratuje swe życie, rzuciłem się na bok. Podstawiłem mu przy tym nogę. Gdy znów stanąłem na nogach, Halef stał już nad Turkiem z obnażonym sztyletem, aby zapobiec następnemu atakowi.

Ale Sadik nie poruszył się. Gdy dłuższą chwilę nie zmienił swej leżącej pozycji, odwróciliśmy go ostrożnie. I wtedy zobaczyliśmy: w czasie upadku sam przeszył się sztyletem. Już nie żył.

— Allah go osądził! — powiedział Ben Ali ochryple i zaczął modlić się werselem z Koranu:

Niech będzie chwała Allahowi, władcy świata, najmiłosierniejszemu, który panuje w dniu sądu. Tobie chcemy służyć i do ciebie się uciekać, abyś prowadził nas prawą drogą. Drogą tych, którzy cieszą się twą łaską, a nie drogą tych, na których jesteś zagniewany. Inie drogą błędzących.

Rosjanin wlepił nieruchomy wzrok w zmarłego. Nie odezwał się ani słowem, gdy odchodziliśmy.

W tym czasie zakończyła się narada wojowników i zaczęto zbierać łupy. Mężczyzn opanowała wielka żądza posiadania. Czyż prorok Izajasz nie powiedział w swej słynnej księdze mądrości: „Jakże jest się wesołym, gdy dzieli się zdobycze”. Ze wszystkich zwierząt wybrano najlepsze sztuki, ale pozostawiono Beni Suef tyle, ile było dla nich koniecznym. Oczywiście, mieszkańcy oazy przyglądali się z ukrytą złością jak większa część ich dobytku przechodzi w ręce zwycięzców, ale wiedzieli, że na długi czas odebrano im możliwość zemsty.

Natomiast inni skierowali swą złość nie przeciw Beni Sallah, ale przeciw współplemieńcom, którzy doradzali rozpetanie tego wyniszczającego konfliktu. Właśnie im przypisywano winę za wszystkie nieszczęścia i nie było to bezpodstawne. Zwrócono się zwłaszcza przeciw Hulamowi, który był głównym dowódcą wojennej wyprawy. A na dodatek namawiał jeszcze dzisiaj swych ludzi do planu wymordowania Beni Sallah, bez którego można było oczekiwać bardziej łagodnego postępowania ze strony zwycięzców.

W końcu napełniono wszystkie tykwy wodą i załadowano wiele worków daktylami. Spędzono również olbrzymie stado przygotowane dla Beni Sallah.

Plemię stało się dwa razy bogatsze niż wcześniej. Stado wyruszyło wśród wiwatów zwycięzców w kierunku Kamiennego Puchu, gdzie istniała jedyna możliwość, aby po drodze uzupełnić zapasy wody. Jak się okazało, właśnie tam znajdowało się ukryte, bogate źródło wody, o którym wiedzieli tylko Beni Suef. Byli zmuszeni podjechać do niego w czasie ucieczki, aby zaopatrzyć się w niezbędną na czas drogi powrotnej, wodę. Jednak Tarik ze swoimi ludźmi przybył ich śladem tak szybko, że nie mieli już czasu, aby zakryć źródło. W ten sposób Beni Sallah odkryli tajemnicę, która, oczywiście dla nich, miała olbrzymie znaczenie. Rozumie się samo przez się, że w przyszłości to właśnie oni będą korzystali z tego tajemnego źródła.

Grupa pięćdziesięciu Beni Sallah, których zostawiłem w *duarze* aby nadzorowali jeńców, została wzmocniona do stu wojowników. Mieli rozkaz pozostać do następnego wchodu słońca w namiotowej wiosce Beni Suef, aby zapobiec buntowi i nieposłuszeństwu. Nie miałem tu nic więcej do roboty. Nie chciałem jednak wyruszyć w nudną drogę z prowadzącymi zdobycze stado. Wybrałem więc jazdę z Halefem, aby wyprzedzając pozostałych Beni Sallah, zanieść do *duaru* radosną wieść o udanej wyprawie. Hilal dołączył do nas jako przewodnik.

Nie muszę szczegółowo opisywać, jaką radość wywołała wiadomość przyniesiona przez nas.

Gdy Tarik dotarł ze stadem w obozie urządzano jedną za drugą biesiadę, a głównym punktem uroczystości były wesela obydwu Synów Błysku z siostrami. Oczywiście ja, jako

Ojciec Błysku, nie mogłem odmówić usilnym prośbom swoich „dzieci”: zostałem jeszcze czternaście dni u Beni Sallah i cieszyłem się wraz z nimi ich szczęściem, w które miałem też swój wkład.

Ale wkrótce nastąpił czas odjazdu. Nie tylko dla mnie, ale także dla mojego maleńkiego Halefa.

W ostatnim czasie dostrzegłem w Halefie olbrzymią przemianę. Cierpiał na chorobę, której nazwę zaraz wymienię, aby nie trzymać dłużej w napięciu Czytelnika, który zdążył już polubić Halefa. Po łacinie zwie się ta choroba *superbia*, Grek zwie ją *hybris*, a Niemiec określa ją słowem „mania wielkości”.

Tak, mój Halef stał się niezwykajnie dumny. Nasze sukcesy, które przecież zawdzięczaliśmy w większej części sprzyjającym okolicznościom, uderzyły mu do głowy. Nie mogłem mu co prawda nic zarzucić odnośnie jego usług jako służącego, ale w stosunku do innych ludzi rościł sobie nieuzasadnione pretensje, a jego opowiadania o dniu walki graniczyły już z baśnią. Często dziwiłem się, że Beni Sallah tak spokojnie przyjmowali jego blagi i przechwałki. Tłumaczyłem sobie to tylko tym, że ludzie Orientu nie mierzyli przesady tą samą miarą co Europejczycy. Co więcej przypuszczałem, prawdopodobnie słusznie, że nie mieli oni za złe Halefowi jego nałogu, ponieważ był on moim sługą a mnie zawdzięczali część swojego sukcesu. Gdyby nie ta okoliczność, Halef nie mógłby się tak zachowywać. Już z tego powodu, że jako mahometanin był sługą pogardzanego *giaura*, zasługiwał na ich pogardę. Nie byliśmy bowiem w którymś z miast wybrzeża, gdzie Muzułmanie byli już przyzwyczajeni do kontaktów z niewiernymi, ale tkwiliśmy pośrodku Sahary otoczeni przez fanatycznych wyznawców islamu, którzy być może jeszcze nie mieli styczności z żadnym chrześcijaninem.

Gdyby nie udało mi się zyskać zaufania i wdzięczności Beni Sallah i to już od chwili naszego pierwszego spotkania, to z pewnością musiałbym liczyć na inny sposób traktowania niż na przyjazną uprzejmość. Przeważył jednak wzgląd na dostrzegalne korzyści, które im przyniosłem. Religijne wątpliwości, które mogły stać na przeszkodzie przyjacielskim stosunkom, pozostały w tle. Oczywiście, przez cały czas pobytu u Beni Sallah nie uczyniłem nic, co możnaby uznać za jakąkolwiek próbę nawracania tych ludzi. Tego rodzaju postępowanie było z góry skazane na niepowodzenie. Mimo to osiągnąłem coś, co było dla Beduinów zupełną nowością. Doprowadziłem do tego, że po raz pierwszy odeszli od sztywnej zasady zemsty zawartej w starotestamentowej *ed dem bed dem* — krew za krew. Zrezygnowali z tego, aby całkowicie zniszczyć swoich wrogów; z tego, co jest uznane za święte prawo w tych okolicach. I zezwolili swoim wrogom na dalsze istnienie jako plemienia.

To było już coś, choć muszę przyznać, że głównym powodem tego postępowania nie było uczucie miłości do bliźniego, ale tylko myśl o własnym zysku. Ale mimo wszystko ja, chrześcijanin, spowodowałem zrobienie tego pierwszego kroku i z tego mogłem być dumny.

Oprócz tego zrezygnowałem z podziału zdobycznych trofeów. Doprowadziłem też do tego, że Halef uczynił to samo, chociaż pod groźbą, że w przeciwnym razie musiałby się ze mną rozstać.

I to był dopiero czyn, który przekraczał ogólnie przyjęte nor-my. Dawałem nie biorąc nic w zamian, co wychodziło poza ramy gościnności. To było niepojęte! Ale mile widziane, bo nasz udział w łupach byłby przecież znaczny. I dzięki zrezygnowaniu przez nas z części nam przysługującej, mogli otrzymać więcej członkowie plemienia Beni Sallah.

Być może zaświtała też u tego i innego Beni Sallah w chwilach zadumy myśl chrześcijańska „dawać jest lepiej niż brać”. Gdy w przyszłości będzie się opowiadać o tych wydarzeniach, które przyczyniły się do pomnożenia bogactwa i dobrobytu plemienia, będzie to nierozłącznie związane ze wspomnieniem chrześcijanina, któremu plemię Beni Sallah tak dużo zawdzięczało. Czyż religia tego człowieka mogła nie wzbudzać ich szacunku, nawet gdy dotąd otaczali ją taką nienawiścią? Nie sądzę.

I w ten właśnie sposób osiągnąłem o wiele więcej niż przekrzykując ich wieczne *Allah il Allah, we Mahomet rassul Allah* słowami „Jezus, syn Marii jest wielki” — *Isa ben Marryam akbar!*

Muszę przyznać, że bardzo ceniłem u małego Halefa, że ze względu na przywiązanie do mnie i aby nie być zmuszonym do pożegnania się ze mną, zrezygnował ze swojego udziału w łupach. Zrównoważyło to szalę jego cnót i przywar, z których najgorszą był nałóg blagierstwa.

Nadszedł moment rozstania się z Beni Sallah. Sądzę, że było to także korzystne dla Halefa. Chorym na niektóre schorzenia lekarz zaleca zmianę powietrza i miejsca zamieszkania. Miałem więc nadzieję, że oddalenie się z tego miejsca, gdzie mania wielkości Halefa miała tak korzystne warunki rozwoju, pozwoli sprowadzić go znów na ziemię. Nie będę długo rozwodził się o naszym pożegnaniu z Beni Sallah.

Wyruszyliśmy do Asr a stu wojowników plemienia towarzyszyło nam przez dwie godziny jako honorowa świta. Później zawrócili. Jednak Synowie Błysku pojechali z nami jeszcze dalej. Było nas pięciu, Ben Ali — były niewolnik Beni Suef— podróżował również z nami. Został bogato obdarowany przez władców Beni Sallah i nie zabrakło mu środków na wymarzoną podróż do oj czystego kraju.

Nadszedł w końcu czas rozstania z braćmi. Tarik wyciągnął ku mnie rękę i nie schodząc z konia powiedział na pożegnanie:

— Efendi, ma dusza pozostanie z tobą. Dopomogłeś mi osiągnąć szczęście mojego życia i zwyciężyć wrogów naszego plemienia. Jesteśmy ci winni dozgonną wdzięczność. I nawet nie możemy ci wynagrodzić twych zasług, bo zawsze wzbraniałeś się przyjąć cokolwiek od nas. Powiedziałeś, że postępowałeś w ten sposób, bo jesteś chrześcijaninem. Efendi, dotąd nie miałem zbyt dobrego zdania o chrześcijanach; nienawidziłem ich i gardziłem nimi. Ale nie było to słuszne. Nigdy nie rozmawiałeś ze mną o swej wierze, ale będę jeszcze długo rozmyślał o twym postępowaniu i będę się starał być choć w części podobnym do ciebie. *Allah jebarik fik*, niech Allah cię błogosławi!

Mówiąc to uwolnił swą rękę z mojej i spiął konia ostrogami.

Teraz Hilal podjechał blisko do mnie i ścisnął moje dłonie.

— Efendi, pożegnam cię krótko, bo mój brat zabrał mi słowa, którymi chciałem to uczynić. Będę codziennie modlił się do Allacha, abym mógł dożyć tej szczęśliwej godziny gdy zobaczę cię ponownie. Byłaby to dla mnie radość, której nie sposób opisać. Jesteś silny, szlachetny i dobry. Efendi, nigdy cię nie zapomnę!

Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dalej. Zawrócił swego konia i powoli podążył za swoim bratem.

Długo patrzyłem za nimi. Nagle, tuż za swoimi plecami usłyszałem westchnienie, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem Halefa, który spojrzał na mnie oskarżającym wzrokiem i powiedział:

— Cóż za nieszczęście! Cóż za bolesna chwila! Minęła chwila pożegnania. Wzgardziłeś wygodnymi namiotami Beni Sallah i ich córkami, a twoje dzieci i wnuki nie będą znały osiadłego trybu życia, bo ty go nie znasz. Jesteś tak nieuchwytny, jak gdybyś zamiast sumienia miał zaczarowaną duszę. Aleja nie odstąpię cię na krok, sisi. Zostanę przy tobie, aż zaznasz spokoju. I mimo wszystko nawrócę cię na wiarę Proroka, czy tego chcesz, czy nie!

* * *

Nasza droga prowadziła na północny zachód. Kamienie i piach, piach i kamienie. Pierwszą noc spędziliśmy w oazie Baherieh, w samym sercu pustyni. Później zobaczyliśmy je: olbrzymy dawno minionych dni — trzy piramidy: Cheopsa, Chefreina i Mykeriona. I Ojca Strachu. Tak nazywają Arabowie sfinksa. I mówią: „Kto raz spojrzał w jego oblicze, nigdy go nie zapomni”.

Wjechaliśmy na drogę prowadzącą z Memphis do Gizy. U naszych stóp leżała dolina Nilu otoczona żółtymi, pustynnymi wzgórzami, sama pełna zielonych pól i gajów palmowych.

— *El Mobarek!* Błogosławiony Nil! — zawołał Halef.

Po tyłu tygodniach spędzonych na pustyni pojawiła się szeroka rzeka o bujnych brzegach; rzeka z białymi żaglami *dahanbii* jak baśniowy obraz z innego świata. Nasze spojrzenie powędrowało jeszcze dalej, a tam od ciemniejszego tła Hammada Mokata tam odcinało się wyraźnie morze domów miasta Masr el Kahira -Kairu, z którego dumnie wystrzeliwały w górę delikatne minarety meczetów. Jak wydłużona chmura w kolorze królewskiej purpury przeleciało stado różowawych flamingów.

— *Hamdulillah!* Jesteśmy nad morzem, *sidi* — powiedział Halef — Czeka ją tu na nas nowe przygody, a już wkrótce nasze imiona będą sławne tam, gdzie słońce się budzi i znów układa się do snu.

Grobowiec nad jeziorem el Chiyam.

Ostatnią linijką poprzedniego rozdziału mogłem właściwie zakończyć swoje opowiadanie. I z pewnością powinienem to jako jego autor uczynić. Ponieważ sam uważałem ten rozdział swojego ożywionego życia za zakończony. I nie myślałem nigdy, że życzenie Hilala, aby mnie znów zobaczyć, mogło się spełnić kiedykolwiek lub gdziekolwiek. Ale Kara Ben Nemzi myśli swoje, a sir Dawid Lindsay kieruje jego losem.

Czytelnik pierwszych sześciu tomów moich opowiadań z podróży zna tego jedyne go w swoim rodzaju Anglika i przypomni sobie, że gdy moja przygoda w kraju Skipetarów dobiegła końca, uczynił mi on tak nęcącą propozycję, aby towarzyszyć Halefowi i Omarowi Ben Sadek na jego parowcu do Jaffy i Jerozolimy, skąd bez większych trudności moglibyśmy osiągnąć pastwiska Haddedińców. Nie zgodziłem się od razu, ale zjednoczone prośby Halefa i Omara szybko pokonały, niezbyt silny zresztą, opór z mojej strony. Anglik wynajął parowiec, który zakotwiczony w Antivari czekał tylko na rozkazy właściciela by wyruszyć w morze.

Trzy dni po naszym przybyciu nad Jezioro Skutari już mogliśmy wypłynąć. Napomknąłem w powieści „Szut”, że być może kiedyś jeszcze opowiem, jak dojechaliśmy do Jaffy i El Kuds esz Szerif Cieszy mnie, że mogę choć w połowie dotrzymać tego przyrzeczenia. Tym bardziej, że wszystko to, o czym będę teraz opowiadać, jest tak ściśle powiązane z treścią tej książki.

Jak sobie przypominacie z powieści „Od Bagdadu do Stambułu”, Lindsay nabył cały dobytek nieszczęśliwego Hassana Ardszir Mirza. Pochłonęło to niemały majątek, ale nie było to zbyt wiele w stosunku do niezliczonych majątkości lorda. Jednak przez ten nieprzewidziany wydatek skurczyło się jego konto w kairskim banku do tego stopnia, że lord poczuł się

zmuszony najpierw pojechać do Kairu, aby uregulować swoje sprawy finansowe i uzupełnić konto.

Podróż przebiegała bez przeszkód. Po pięciu dniach nasz parowiec przybił do Bulak, jednego z portów Kairu. Pobyt w el Kahira — w Zwycięskim Mieście jak nazwano by je po niemiecku, nie powinien, jak przewidywaliśmy, być dłuższy niż dwa dni. Tyle bowiem czasu potrzebował lord, aby uregulować swoje sprawy.

Ta przerwa w podróży była mi bardzo na rękę. Dała mi okazję, aby odświeżyć wspomnienia o naszym pierwszym tu pobycie. Było to mniej więcej przed rokiem. W czasie, gdy lord załatwiał swe interesy, a Omar Ben Sadek rzucił się w uliczny gwar, szukałem z Halefem tych miejsc, z którymi łączyło się w naszych wspomnieniach jakieś wydarzenie.

Ostatni rok był dla nas tak pełen wydarzeń i przeżyliśmy tyle, że podróże już trochę nas zmęczyły. Skutkiem tego było, że poświęciliśmy się życiu polegającemu na oglądaniu świata, czynnej działalności, która zazwyczaj, polegała na tym, że siedzieliśmy godzinami, w którejś z kafejek.

Stolica Egiptu zwie się słusznie Zwycięskim Miastem. Przetrwało dzielnie stulecia i do dziś stoi zwycięsko na granicy dwóch olbrzymich kontynentów. Jeszcze niedawno było wzorem prawdziwych orientalnych osobliwości. Ale od około piętnastu lat zaczęło stroić się we wzorce krajów europejskich. Odkąd przybyli tu masowo Anglicy i Francuzi, odtąd istnieją tu europejskie części miasta.

Tylko w starych, arabskich dzielnicach można znaleźć się jeszcze w płątaninie wąskich uliczek, które często są ślepe i tak wąskie, że można przechodząc podać rękę przechodzącemu drugą stroną, lub też przeskakiwać z jednego płaskiego dachu na inny. Kto chce poznać prawdziwy Orient z jego wszystkimi zaletami i przyzwarami musi wynająć sobie dom właśnie w takiej uliczce.

Na północ od Bulak, pomiędzy Nilem i sławną, prostą jak sznur uliczką Sykomoren, która prowadzi z Kairu do Szubra, znajdowała się w owych czasach kiepska kafejka z namiotowym zadaszeniem na froncie. Przy okazji naszego pierwszego pobytu odwiedzałem ją z Halefem wiele razy. Co prawda, oprócz morza domów nie było tu prawie żadnego ruchu ulicznego, ale właśnie stąd — i to był powód, dlaczego tak chętnie tu bywaliśmy — rozlegał się nieprawdopodobny wprost widok na Nil, i prawdziwie orientalny gwar i gąszcz czółen, maleńkich stateczków z żaglami i wiosłami, i innych pływających środków transportu, których przeszywający uszy hałas stopiony z najokropniejszymi arabskimi przekleństwami i

powtarzanym śpiewnym tonem imieniem Allacha dobiegał do nas wyraźnie, gdy sączyliśmy kawę.

Dlatego też skierowałem z Halefem już po południu po naszym przybyciu do Kairu pierwsze kroki właśnie do tego tak dobrze nam znanego miejsca. Było jeszcze wcześniej i byliśmy jak na razie jedynymi gośćmi. Nie usiedliśmy jednak pod namiotowym dachem, ale w „eleganckim pokoju dla panów”, gdzie nie było ani stołu, ani krzesła, ani puchatych puf, a jedynie kilka podartych, zżółkłych, słomianych mat na podłodze, które tworzyły jedyne, nędzne wyposażenie. A jednak to pomieszczenie ofiarowało nam jak zawsze przyjemny chłód, a poza tym otwór w ścianie zapewniał nam wymarzony widok na okolicę przed domem i życie na rzece.

Być może przez godzinę oddawaliśmy się rozkoszy danej nam przez fajki i wyśmienicie zaparzoną mokkę, gdy błogi spokój przerwało zjawienie się nowych gości: ośmiu lub dziesięciu uzbrojonych Arnautów zajęło hałaśliwie miejsca na zewnątrz kafejki pod namiotowym zadaszeniem.

Arnauci są następcami krwawo wyniszczonych, straszliwych Mameluków, ale są o wiele gorsi niż te osławione wojska. Arnaut nie tylko jest dzielny, ale też odważny do zuchwalstwa — idzie na śmierć nie mrugnawszy okiem. Ale przy tym jest niewierny i podstępny, i tak brutalny, że trudno znaleźć mu równego. Nie rozstaje się nigdy z nożem i pistoletem. Strzela i walczy nożem o najmniejszą błażostkę i wie, że może to robić bezkarnie. Sam jest sędzią i niełatwo znaleźć kogoś, kto go skaże, bo każdy musi wtedy drzeć o swoje życie. Jeżeli nie zostanie zakłuty już na sali sądowej, to z pewnością spotka go ten los później. Dlatego też wszyscy się ich obawiają i unikają.

Dwóch spośród nowoprzybyłych posiadało wojskowe odznaczenia; jeden z nich był sierżantem, drugi — wysoki i dobrze zbudowany, był oficerem. Sierżant, wchodząc do kafejki, zaglądnął również do naszego pomieszczenia, ale cofnął się szybko nic mówiąc. Widocznie nie zasługiwaliśmy na jego uwagę.

Arnauci zamówili *tszibuki* i kawę. Rozpoczęli głośno i hałaśliwie rozmawiać, przeplatając prawie każde słowo zwrotami, których nie należy powtarzać. W każdym razie nie czuli się w najmniejszym stopniu skrępowani naszą obecnością.

Nagle na zewnątrz wszystko umilkło. Wyglądało na to, że coś przykuło uwagę rozmawiających. Wyglądnałem przez otwór w ścianie i od razu spostrzegłem powód ich milczenia. W dole, brzegiem rzeki szło dwoje spacerowiczów — mężczyzna i kobieta. Samo w sobie niezbyt pasjonujące zjawisko. Ale kobieta nie miała zakrytej twarzy *czarczafem*; w tych

okolicach rzecz niezwykajna i oznaczająca tylko kobiety lekkich obyczajów. Nieznajoma była młoda i piękna. Ujrawszy ją o mały włos nie zakrzyknąłem. Znałem ją bardzo dobrze, również towarzyszącego jej mężczyznę. Jeszcze przed rokiem dużo przebywaliśmy ze sobą. W międzyczasie wiele przeżyłem, ale pełnia nowych wrażeń nie była w stanie zatrzeć obrazu, który czasami pojawiał się w mej pamięci. Byli to Hilal i Hiluja.

— Spójrz przez okno! — zawołałem do Halefa. — Czy znasz tych dwoje na brzegu?

„Malec” zerknął przez otwór i już w następnym momencie zerwał się na równe nogi.

— *Allah il Allah!* Zdarzają się jednak znaki i cuda! Skąd oni tutaj? Musimy natychmiast iść ku nim. Natychmiast! Już!

Rzucił się do drzwi, ale chwyciłem go za ramię i odciągnąłem go.

— *Manna szuwaje*, zaczekaj chwilę. Z pewnością się z nimi spotkamy, ale nie tutaj i nie teraz. Spójrz! Wygląda na to, że zanoszą się na coś, co chyba będzie wymagało naszej interwencji.

W międzyczasie Hilal i Hiluja doszli do zadaszania kafejki.

Hilal nosił się identycznie jak wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Czymś nowym w tym stroju był przewieszony przez ramię zdobyczny, angielski wielostrzałowiec. Hiluja przystrojona była w szatę bogatej Bent Arab. Jej strój uzupełniała biżuteria. Nie rozumiałem jednak, jak mogła się odważyć pokazać bez *czadom*. Być może sądziła, że skoro u siebie musiała go nosić tylko w wyjątkowych sytuacjach, to ma prawo zrobić to również tutaj, w porcie.

Szczególnym było również, że jej mężowi to niezgodne ze zwyczajami i niestosowne zachowanie kobiety zdawało się być obojętnym.

Widziałem, jak Arnauci wyciągnęli szyje, aby ich lepiej obejrzeć i szeptem wymieniali swoje uwagi. Teraz ich przywódca wstał i stając w rozkroku zastąpił drogę idącej parze.

— Spójrzcie, kto tu idzie! Na Allacha! To najpiękniejsza i najśłodsza *oruspu*, jaką kiedykolwiek widziałem. Niech usiądzie tu z nami, aby dać nam przedsmak tego, co czeka nas dopiero wśród aniołów raju! Chodź tu!

Oruspu znaczy nierządnicą.

Hiluja przeraziła się. Twarz Hilala pozostała kamienna. Dziewczyna schwyciła kurczowo ramię swojego obrońcy i chciała uciekać.

— *Ta 'al!* Zawróćmy szybko!

— Zawrócić? — wtrącił się Arnaut. — Dlaczego? Czyżby tylko jeden mężczyzna mógł nacieszyć się rozkoszą twojej obecności i twojego spojrzenia? Ten miał już tę przyjemność! Teraz nasza kolej!

Chwytał ją za rękę, aby siłą przyciągnąć ją do siebie. Ale Hilal oswobodził ją szybko i stanął między nią a napastnikiem.

— *Wakkif!*. To córa Beni Arab. Nie jest tą, za kogo ją uważacie. Należy do innego mężczyzny.

Oczy wszystkich skierowały się teraz na niego. Rozległ się ogólny, szyderczy śmiech a podoficer zawołał:

— Czy słyszycie? Ten człowiek oszalał!

— Nie jestem szalony. Ta kobieta jest pod moją opieką.

— Kobieta — szydził dalej wojskowy. — Czy słyszycie, mężczyźni! Z jakimi honorami traktuje tę *oruspenl*

— Nie jest nią. I powtarzam! Jest pod moją opieką!

— Pod opieką chłopca!

Podoficer powiedział to pogardliwym tonem. Hilal wzruszył ramionami i powiedział bez lęku:

— Nazywacie mnie chłopcem? Czy mam ci udowodnić, że chłopiec żyjący na pustyni ma więcej odwagi niż *tszausz*, oficer Arnautów?

— Czyżbyś chciał mnie obrazić? — wybuchnął *tszausz*.

— Czy to nie ty pierwszy mnie obraziłeś nazywając chłopcem? Jestem pewny, że pokonałem więcej wrogów niż ty kiedykolwiek mogłeś ich zobaczyć!

— Myszy i szczurów, to z pewnością.

— Masz rację. Bo Beni Arab traktuje swych wrogów właśnie jak myszy i szczury, a one chowają się przed nim do swoich nor.

— Spróbuj więc, czy i my będziemy chcieli się tam schronić!

— To nie jest konieczne! Nie uważam was za wrogów. Będziecie nimi dopiero wtedy, gdy nie zostawicie w spokoju tej kobiety.

— Czy masz do niej prawo?

— Tak, to moja *gohze*, żona.

— Twoja *gohze* — szydził dalej wojak. — Jak możesz nam to udowodnić?

— Moje słowo nie wymaga dowodów. Samo w sobie jest przysięgą.

— Mówisz bardzo dumnie!

—Ale mówię prawdę! A Ben Arab ma przynajmniej tyle samo powodów, aby być dumnym jak oficer Arnautów, który sprzedaje kedywowi swe życie za czterdzieści piastrów miesięcznie.

To było dla Arnautów najcięższą obrazą. Czterdzieści piastrów to niecałe osiem marek, a jest to miesięczny żołd egipskiego oficera.

Arnaut nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie słyszał, aby ktoś odważył się w ten sposób mówić, a przynajmniej w obecności tak wielu przeciwników. Każdy wzięłby pod uwagę, że podpisuje tym samym swój wyrok śmierci. Dlatego też obrażony spojrział na mówiącego szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczyma.

— Człowieku, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

— Tak.

— Nie sądzę. Gdybym w to uwierzył, pogłaskałbym cię nożem między zębami!

— Na to musiałbyś trochę poczekać!

Spokój Hilala doprowadził podoficera do wściekłości.

— Człowieku! Posiekam cię na kawałki!

— Chciało to zrobić już wielu, a przecież, jak widzisz, jeszcze żyję!

O Hilui nie myślał teraz nikt, ponieważ całą uwagę Arabów przykuwał ten spór będący dziesięć razy większą gratką niż najpiękniejsza kobieta świata.

Hiluja miała teraz wyśmienitą okazję, aby uciec. Żaden z napastników nie przeszkodziłby jej w tym. Pozostała jednak, trochę z obawy o Hilala, a trochę z kobiecej ciekawości, której jako prawdziwa córka pustyni nie była w stanie się oprzeć.

Hilal mówiąc ostatnie słowo odwrócił się, aby odejść, ale *tszausz* chwycił go za ramię.

— Z pewnością nie zauważyłeś, że dotąd tylko żartowaliśmy?

— A ty nie zauważyłeś jeszcze, że rozmawiałem z wami poważnie?

Mężczyźni stanęli naprzeciw siebie i wtopili w siebie wrogie spojrzenia. Nagle Arnaut roześmiał się głośno.

— Nie! To nie jest na serio! To najlepszy żart jaki usłyszałem w życiu! Czyżbyś, mój synu, naprawdę chciał ze mną walczyć?

Stał przy tym w wyprostowanej postawie tak, że można było dopiero teraz zobaczyć dokładnie jego masywną postać. Był koło czterdziestki. Blizny na jego twarzy świadczyły, że nie był to tchórz. Szyderczy wyraz jego twarzy pozwalał wnioskować, że oczyma wyobraźni widział już jak Beduin ucieka przed nim w panice.

Ale tu się mylił. Ten bowiem wzruszył jedynie obojętnie ramionami i powiedział:

— Jestem gotowy!

— Dobrze więc, chłoptysiu! Chodźmy za dom i szybko to załatwimy. Twa dusza nie powinna czekać, aby móc przykucnąć w jakimś ciemnym zaułku piekła.

— Jak sądzisz — zapytał mnie cicho Halef, — czy możemy spokojnie przyglądać się, jak nasz przyjaciel zostanie zasztyletowany przez tego obwiesia? Wygląda na takiego, który ma niedźwiedzią siłę.

— Jak na razie nie mamy powodu, aby się wmieszać — odrzekłem. — Pojedynek nie jest w tych okolicach czymś zabronionym. Zresztą, nie boję się o Hilala. Znam go lepiej niż ty i wiem co potrafi. Chodź szybko za dom! Nie możemy przegapić tej walki. Ale narzuć kaptur *haika* na głowę, aby nikt cię nie rozpoznał!

Jednocześnie nasunąłem swoją kapuzę tak głęboko, że nikt nie mógł odgadnąć, czyja twarz się pod nią kryje.

Później opuściłem pomieszczenie kafejki bocznymi drzwiami. Halef podążył za mną.

W czasie naszej krótkiej wymiany zdań Arnauci zdążyli już utworzyć krąg, w środku którego stał *tszausz* i jego przeciwnik. Hiluja stała z boku. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Gdy zjawiliśmy się na placu, obecni tam spojrzeli na nas z zaciekawieniem, ale ponieważ spokojnie przykucnęliśmy, uspokoili się. Byliśmy dla nich ciekawskimi, którzy chcieli zobaczyć pasjonującą walkę.

Zwróciłem uwagę, że nie wszyscy Arnauci stanęli po stronie swojego podoficera. Był jeden wyjątek. Był to *onbasi*, sierżant. Już wcześniej nie śmiał się szyderczo wraz z kompanami i obserwował wszystko poważnymi oczyma, ale nie mieszał się do sprawy.

Obserwowałem z boku Hiluję. Teraz, gdy nie chodziło już o nią, nie było na jej twarzy ani śladu trwogi. Być może sprawiało to na niektórych wrażenie, że była bez serca. Ale wzrosła na pustyni i wielokrotnie przyglądała się tego rodzaju walkom. Nerwowa Europejka mogłaby zemdleć już na początku walki, ale tej Arabce na pewno to nie groziło. Wiedziałem przecież doskonale jak bardzo była związana z Hilalem uczuciowo. Ale spokój, z jakim oczekiwała na rozpoczęcie pojedynku mówił mi, że nie miała żadnych wątpliwości, kto wygra.

Wyglądało na to, że *tszausz* czekał tylko na nasze pojawienie się. Zaledwie zajęliśmy miejsca, powiedział:

— Niech rozpocznie się zabawa! Ale najpierw jeszcze raz zapytam cię z litości, czy ty chłopcze wiesz na pewno, na co się ważysz?

— Wiem — odrzekł spokojnie Hilal.

— Nie masz nikogo, kto cię pomści. Bo nikt nie odważy się sądzić Arnauta. Zresztą będzie to uczciwa walka. Umrzesz, a twe ciało znajdzie się w Nilu.

— Moje lub twoje.

— Ha, ha! Nawet jeżeli stanie się to co niemożliwe i tak jesteś zgubiony. Moi kamraci rozszarpią cię na kawałki.

— I to nazywasz uczciwą walką?

—Walczysz z Amautem, więc tak czy inaczej jesteś zgubiony! Hilal spojrział na niego z pogardą.

— Więc przyznajecie sami, że jesteście najemnymi żołnierzami, a nie wolnymi ludźmi. I nie radziłbym twym kompanom napadać na mnie. Nie zniosę, aby napadały mnie hieny.

— A cóż uczynisz? Ty glisto!

— Niech on wam powie! — Hilal wskazał przy tym na sierżanta.

— On? *Onbasi*? A cóż ty masz z nim wspólnego? Czyżbyście byli przyjaciółmi?

— Nie, ale on stał na warcie u kedywa. On wie, że jestem gościem wicekróla, i że kędy w pomści mą śmierć!

— *Allah akbar!* Czy to prawda, *onbasi*?

— Tak — odrzekł zapytany. — Widziałem go rozmawiającego z *Khedivem*. Ten człowiek jest pod jego opieką i cieszy się jego względami. Nie mogę więc pozwolić, abyście go skrzywdzili.

— *Ajjuha!* To coś nowego! Czy jesteś naszym kamratem czy nie?

— Jestem nim. Ale życie też mi miłe. Nie chcę zostać powieszonym tylko dlatego, że z nudów macie ochotę zamordować protegowanego władcy. Radzę wam, pozwólcie odejść temu młodemu człowiekowi i kobiecie, którą uważa za swą żonę.

— Żądasz rzeczy niemożliwych. Obraził nas.

— Tylko ciebie. Mnie i pozostałych — nie! A jego obraźliwe słowa były tylko odpowiedzią na twoje.

— Zapominasz, że jestem starszy rangą — wybuchnął *tszausz*.

— Nie tutaj! Nie mam nic przeciw uczciwemu pojedynkowi. Kedyw też nie miałby nic przeciw temu. Ale nie pozwolę tego człowieka zamordować!

— Co? Co słyszysz? Bronisz go?

— Tak, będę go bronił jeżeli będziesz chciał walczyć nieuczciwie.

— Dobrze, *onbasi*, nie mam dłużej ochoty kłócić się z tobą. Jeszcze porozmawiamy o tym.

I tak oto zmieniła się sytuacja przybierając inny obrót, niż początkowo przypuszczaliśmy: *onbasi* stanął po stronie Hilala. Arnauci zaczęli mamrotać między sobą. Jedni opowiadali się za oficerem, inni za sierżantem. *Tszausz* zaczął się obawiać, że jego ludzie zaczną się kłócić między sobą i dlatego zawołał:

— Dość kłótni! To ja, a nie wy stoczę walkę z tym chłopcem. To legalny pojedynek. I nikt nie może mnie pociągnąć do odpowiedzialności, jeżeli go zabiję. Oby Allah pozwolił jego duszy zaznać spokoju! A więc chłopcze! Jesteś słabszy niż ja, więc wspaniałomyślnie zostawiam ci wybór broni. Będziemy strzelać do siebie czy wybierzesz walkę na noże?

Przez twarz Hilala przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Noże! — odrzekł. — Byłbyś zgubiony, gdybym wybrał pistolety. Więc to ja daję ci fory!

— *Kelb*, ty psie! — zaryczał Arnaut.

— Nie wiesz, co mówisz. Gdyby ktoś inny użył w stosunku do mnie tego obraźliwego słowa, nie żyłby już w następnej chwili. Ale ponieważ i tak nie ominie cię kara, daruję ci tę zniewagę.

Powiedziałem: jeżeli wybrałbyś strzelby byłbyś zgubiony. I to jest prawda. Nazwano mnie Ibn es sa'ika!

— *Ibn es sa 'ika*, Syn Błysku! — zaśmiał się *tszausz*. — Teraz już wiem, że jesteś szaleńcem. Synowie Błysku to przecież dwaj bracia z plemienia Beni Sallah. Jeden z nich jest szejkiem, drugi włada plemieniem Beni Suef. Gdy zabłysną ich flinty, ten kogo wzięli za cel, jest zgubiony. I ty podajesz się za jednego z nich? I ty chcesz mi to wmówić?

— Myśl co chcesz! Czy wreszcie sięgniemy po broń?

— Tak! Dość tej próżnej gadaniny! Najwyższy czas, abyśmy pokazali co jesteśmy warci.

Tszausz wyrwał nóż z za pasa i przybrał pozycję atakującego. Hilal zrzucił swój płaszcz i położył karabin na ziemi. Miał teraz na sobie tylko koszulę bez rękawów, która sięgała mu aż do kolan.

— A więc zaczynajmy! — zawołał *tszausz*.

— A więc chodź! — odrzekł Beduin.

Wyciągnął swój nóż z za pasa, usiadł na ziemi wyciągając nagie nogi. Trzymał nóż w prawej ręce. *Tszausz* oczekiwał czegoś zupełnie innego.

— Co to znaczy? — zapytał. — Co ci wpadło do głowy?

— Nie rozumiesz? Pojedynek na noże!

— W pozycji siedzącej?

— Tak. Mam na myśli pojedynek pustyni. Tylko on wykaże, czy rzeczywiście jest się odważnym.

— *Kuli szejtan!* Do wszystkich diabłów! Ani mi się nie śni! Jestem Arnautem, nie Beduinem!

Prawdziwa walka na noże na Saharze polega na tym, że walczący siadają naprzeciw siebie i każdy z nich trzyma w ręce nóż.

Jeden wbija sobie nóż w dowolne miejsce własnego ciała, powiedzmy w łydkę tak, że ostrze przebija ją na wylot. Drugi z walczących musi przebić się w tym samym miejscu tak samo mocnym ciosem. Jeżeli potrafi tego dokonać, ten pierwszy rozcina sobie na przykład mięśnie uda aż do kości. Przeciwnik musi uczynić to samo. Wygrywa ten, kto wytrzyma najdłużej ból z kamienną twarzą. Beduini są szkoleni w tego rodzaju pojedynekach. Mają tak wyszkoloną technikę opanowywania własnych uczuć, że potrafią zadawać sobie najcięższe rany z uśmiechniętą twarzą.

Ale tego rodzaju pojedynek nie był tym, którego życzył sobie *tszausz*. Chciał on po prostu wbić swojemu przeciwnikowi nóż prosto w serce, ale nie kaleczyć samego siebie. To on był tym silniejszym, jemu należało się zwycięstwo! Wybranie tego rodzaju walki było dla niego szaleństwem.

Hilal spojrział na niego z drwiącym uśmiechem i zapytał:

— Nie chcesz?

— Nie.

— Boisz się bólu?

— Ty psie! Ani słowa więcej!

— Dobrze! Jak sobie życzysz!

Syn Błysku wstał i mówił obojętnie dalej:

— Chciałem oszczędzić tve życie, bo z pewnością nie potrafiłbyś sam sobie wymierzyć śmiertelnego ciosu. Dlatego zaproponowałem ci ten rodzaj walki. Ten rodzaj, który odpowiada tobie, jest dla ciebie śmiertelnie niebezpieczny. Mój nóż nigdy nie chybia!

— Spróbuj więc — zaśmiał się ten drugi.

— Nie muszę tego robić. Znam swój nóż aż za dobrze i nie muszę go jeszcze raz wypróbować. Ale jestem gościem kedywa i nie chcę zabijać jego żołnierzy. Nie byłoby to uprzejmiem z mojej strony!

— Dość tych bzdur! Zaczniemy walkę! Tylko ja będę mógł zobaczyć kto z nas umrze, bo to ja będę tym, który przeżyje!

— Zgadza się z tobą. Za dużo czasu straciliśmy na rozmowy. Zaczynajmy!

Już w następnej chwili stali obaj naprzeciw siebie; noże w zaciśniętych pięściach, wzrok wbity w przeciwnika.

— No, dalej chłopcze! — zawołał Arnaut.

— Czekam na ciebie! Czy masz tyle odwagi?

— Ach, chłopcze, no podejdź bliżej! Poderżnę ci gardło jak owcy!

— Nie mam zamiaru cię zabić. Ale będę się starał, aby twe ręce nie były zdolne cię bronić. Będzie to zemsta za to, że obraziłeś córkę Beduinów. Nazywasz mnie chłopcem, a sam bawisz się jak dziecko.

Te słowa obraziły wojaka do żywego. Wydał przeraźliwy krzyk i rzucił się na przeciwnika z obnażonym sztyletem. Chciał go chwycić lewą ręką, a prawą zadać śmiertelny cios — ale trafił w próżnię; Hilal stał uśmiechnięty za nim, wyślizgnął się pod jego wyprostowanym ramieniem.

— Ty psie! Stań do walki — zawył ze złości Arnaut.

— Czyż jeszcze nie zauważyłeś, że tylko bawię się z tobą? — odrzekł Beduin.

— Ach, gdybym tylko cię mógł dostać w swoje ręce! — zaręczał *tszausz* jękając się ze złości.

— Dobrze! Złap mnie!

Zabrzmiało to poważnie, prawie jak groźba; Hilal zatrzymał się, stanął w rozkroku z twarzą zwróconą do czerwonego ze złości oficera. Arnaut wydał zdławiony okrzyk, chwycił Hilala lewą ręką w okolicach piersi i przymierzał się do ciosu z prawej. Ale Hilal był szybszy. Odparł cios prawą, a potem wyrwał się mocnym obrotem z uścisku. Uderzenie w pachę i *tszausz* uczynił ćwierćobrót tak, że na moment stanął tyłem do przeciwnika. Ale ten moment wystarczył w zupełności. Zabłysnął nóż Hilala, dwa niesamowicie szybko wykonane cięcia, dwa odbijające się przeraźliwym echem krzyki *tszausza* i Hilal odskoczył do tyłu. Oficer stał bez ruchu jak rażony piorunem.

— Walka skończona — powiedział Arab. — Jak widzicie, dotrzymałem słowa.

To wszystko toczyło się w tak niesamowicie szybkim tempie, że ani *tszausz*, ani jego kompani nie wiedzieli co się stało. Widzieli tylko krew spływającą po ramionach Arnauta. Ten stał cicho jęcząc; chciał podnieść ramiona, aby schwycić przeciwnika, ale nie był w stanie tego uczynić. Wtedy krzyknął jeszcze raz przeraźliwie.

— *Allah il Allah!*

— Co z tobą? — zapytał teraz jeden z jego towarzyszy i podszedł bliżej.

Dopiero teraz dostrześliśmy co się stało. Hilal przeciął mu mięsień grzbietowy w poprzek obojczyków i łopatek.

Ponieważ właśnie ten mięsień jest konieczny do uniesienia ramion, ranny podoficer nie mógł wykonać tego ruchu. Okrzyki przerażenia szybko wyjaśniły mu jego położenie. Jego wściekłość nie miała granic. Zachowywał się jak dzikie zwierzę i okrzykami wzywał pozostałych, aby sprawcę natychmiast uśmiercić. Jego stan zrobił na jego kompanach takie wrażenie, że należało spodziewać się najgorszego. Byłem przygotowany na to, że muszę wkroczyć i pomóc Hilalowi. Zaczęli już nacierać. Dwóch z nich odnosiło rannego do domu. Pozostali podeszli do zwycięzcy.

— Był w zмовie z szatanem — zawołał jeden z nich.

— Tak, pomogły mu złe duchy! — potwierdził inny. — W przeciwnym razie nie potrafiłby zwyciężyć.

— Sparaliżował go! To gorsze niż śmierć.

Hilal stał spokojnie przy ścianie domu trzymając w ręku nóż i z oczyma skierowanymi na swój karabin, który leżał na ziemi. Był przygotowany na wszystko.

— Ostrzegalem go!

— Z pewnością masz amulet! Oddaj go — zawołał jeden z napastników.

— Oto mój amulet! — odparł Hilal i podniósł w górę swój nóż.

— Nie kłam! Jak mógłbyś go inaczej pokonać? Był najsilniejszy z nas!

— Powiedziałem wam, że jestem Synem Błysku. Powinien mi uwierzyć.

— My również ci nie wierzymy! Zemsta! *Ed dem bed dem*, krew za krew!

— Nie zapominajcie, że jestem gościem kedywa.

— Tak, nie zapominajcie o tym! I pamiętajcie też, że ten człowiek jest pod moją opieką — powiedział teraz *onbaszi* i stanął przed Hilalem odpychając od niego nacierających.

— Nie postępujesz jak jeden z naszych — padł zarzut jednego z Arnautów.

— Postępuję tak, jak muszę postąpić! Ten człowiek zwyciężył oficera w uczciwym pojedynku, udowodnił, że jest mężczyzną. Nie pozwolę wyrządzić mu krzywdy!

— My również chcemy uczciwego pojedynku. Nie przyszło nam do głowy, aby na niego napadać. Ale my nie wybierzemy noży. Chcemy strzelać!

— Czy słyszysz? Oni chcą twej krwi!

— Więc muszą ją spróbować zdobyć! Oto jestem!

— Nie! To nie ma być morderstwo. Walcz! Walcz osobno z każdym z nas!

— To mądrze pomyślane z waszej strony — uśmiechnął się Hilal z pogardą. — Was jest wielu, ja sam. Z pewnością któremuś z was uda się mnie zabić. No cóż! Spróbujecie? Który z was pierwszy?

— Niech rozstrzygnie przeznaczenie.

— Więc rzućmy kości, aby mieć to wkrótce za sobą.

— Nie teraz i nie tutaj! Będziemy strzelać i nikt nie może tego słyszeć!

— Strzelać? Czyżbyście stwierdzili, że jestem mistrzem w walce na noże?

— Nie drwij — odezwał się *onbaszi*. — Ciesz się, że otrzymałeś przyrzeczenie uczciwej walki, ale gdy ich rozzłościś, nie potrafię cię dłużej osłaniać.

— A więc, gdzie odbędzie się walka?

— Nad małym jeziorem El Chiyam, po drugiej stronie Kanału. Czy wiesz, gdzie to jest?

— Potrafię je odnaleźć! Kiedy?

— Gdy słońce dotknie pustyni.

— Za dwie godziny. Przyjdę tam.

Hilal podniósł swój *haik*, aby go zarzucić i sięgnął też po swój karabin.

— Czy mi się wydaje, czy chcesz odejść? — zapytał zdziwiony *onbaszi*.

— Tak. Czyżbyś uważał za konieczne, abym został?

— To chyba zrozumiałe. Musisz przecież jeszcze z nami walczyć!

— Ale przecież nie tu, a nad jeziorem.

— Ale jeżeli pozwolimy ci teraz odejść, to nie zjawisz się na umówionym miejscu.

— To, że przyjdę, jest tak pewne jak to, że wy tam będziecie.

— Hm! Ty masz wyjść na spotkanie ze śmiercią, i dlatego mogłoby się zdarzyć, że ty ..., że coś cię zatrzyma po drodze.

W tym momencie Hilal położył rękę na ramieniu mówiącego i odrzekł śmiejąc się:

— Na pewno będzie inaczej!

Powiedział to z taką stanowczością, że ta jego pewność siebie poruszyła sierżanta do głębi.

— Jeżeli jesteś swej strzelby równie pewny jak swojego noża, to wynik tej walki może stać się dla niektórych z nas fatalny. Powiedz, czy rzeczywiście jesteś jednym z Synów Błysku?

— Tak powiedziałem. To prawda.

— Więc cieszę się, że mogłem spotkać tak sławnego Beduina. Nie sądziłem, że ci bracia są jeszcze tak młodzi. I cieszę się jeszcze bardziej, że było mi dane wyświadczyć ci grzeczność.

— Mam nadzieję, że będziesz tak grzeczny i pozwolisz nam iść.

— Tak. Ufam ci. I weź ze sobą tę Bent Arab. Cieszymy się, że idzie z tobą. Jej piękna twarzyczka była przyczyną wielkiego nieszczęścia.

Hilal spojrział na sierżanta poważnie.

— Wygląda na to, że jesteście w wielkich miastach przyzwyczajeni do kłamstwa. W przeciwnym razie uwierzylibyście moim słowom. To naprawdę moja żona, a ja pozwalam jej chodzić z odkrytą twarzą.

Widziałem po Arnautach, że teraz uwierzyli jego słowom.

Hilal schylił się, podniósł swój karabin, dał znak Hilui i odszedł z nią w kierunku, z którego przybyli. Był zbyt dumny, aby choć raz oglądnać się za siebie.

Gdy zniknęli wśród zabudowań, wstaliśmy i weszliśmy znów bocznymi drzwiami do środka kafejki. Rzuciłem na matę monetę jako zapłatę, a potem opuściliśmy pachnące kawą wnętrze i udaliśmy się w kierunku miasta. Nie czyniliśmy tego pośpiesznie, aby nie wzbudzić podejrzeń u Arnautów. Ale gdy tylko zniknęliśmy za zakrętem ulicy z ich pola widzenia, przyspieszyliśmy kroku, aby dogonić Hilala i Hiluję, którzy już sporo nas wyprzedzili.

* * *

Zdarzyło się tak szczęśliwie, że droga, którą wybrali oboje, prowadziła niedaleko miejsca kotwiczenia naszego parowca. Spróbowaliśmy więc z Halefem tak dopasować kroki, aby dogonić naszych przyjaciół tuż koło trapu. I udało nam się to. Znaleźliśmy się tuż, tuż za nimi właśnie obok parowca.

Hilal, który usłyszał nasze kroki, odwrócił się i zmarszczył czoło, ponieważ od razu w nas rozpoznał widzów jego pojedynku.

— Czego chcecie od nas? — zapytał ponuro. — Czyżby posłano was za nami na przespiegi?

— Mylisz się. Podążyliśmy za tobą, aby ci powiedzieć, jak bardzo cię podziwiamy.

— Nie potrzebuję waszego podziwu. Zostawcie mnie w spokoju!

— *Sze rarihbl* To dziwne, Hilal, Syn Błysku stał się bardzo nieuprzejmy od czasu, gdy widziałem go ostatnio.

— Czyżbyś mnie już kiedyś widział?

— Pomyśl o cmentarzysku na pustyni.

— Cmentarz na pustyni? Nie rozumiem.

— Pomyśl o zaspanych piachem karabinach.

— *Maschallah!*

— O Falehdzie, tym olbrzymie!

— *Bisihhr*, to nie może być prawdą!

— I o naszej wyprawie do *duaru* Beni Suef!

— *Di eh di*, cóż słyszę? Powiedziałeś „naszej” wyprawie! Czyżbyś brał w niej udział? Więc nie możesz być nikim innym jak... jak...

— ...jak Kara Ben Nemzi? Z prawdziwą przyjemnością słyszę, że przypominasz sobie jeszcze tamte dni!

— Czy całkiem zapomniałeś o mnie? — wtrącił się Halef — Mam nadzieję, że w jakimś zakątku twojej pamięci zachował się jeszcze ślad po mnie, przyjacielu i towarzyszu mojego sisi, i że znasz jeszcze moje imię: Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Ab-bas Ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah!

Syn Błysku stał niemy. Również Hiluja, której twarz zakrywał teraz *kwef*, nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

— Widzę, że jednak pomyliliśmy się — nie znacie nas! — zażartowałem, gdy wciąż stali jak zaczarowani w kamienne posągi.

— *Ia Allah, ia nabi, ia suruhr!* Na Allacha i Proroka, cóż za radość! — wybuchnął teraz Hilal prawie krzyżąc. — *Filjakza wallafilmanahm*, czyżbym śnił? Nie mogę wprost w to uwierzyć. Allah spełnił największe marzenie mojego życia; dozwolił mi łaskawie jeszcze raz wejrzeć w obliczę dobrodzieja, największego dobrodzieja naszego plemienia!

Ten wybuch radości był pozbawiony cienia jakiegokolwiek udawania i poruszył mnie do głębi. Uścisnęliśmy się serdecznie.

— I moją duszę przepelnia radość z naszego spotkania — powiedziałem. — Wy też zabraliście ze sobą część mojego serca.

— *Min kari bisaddak*, któżby pomyślał? Efendi, jak to się stało, że spotykamy cię w Masr?

— O tym później, gdy będziemy mieli więcej czasu. A teraz tylko tyle: byliśmy od początku świadkami twego sporu z Amantami. I już byliśmy przygotowani, aby pospieszyć ci z pomocą.

— Dziękuję wam. Ale jak widziałeś, nie potrzebowałem waszego wsparcia.

— Tak, rozegrałeś to wspaniale.

— Efendi, nie zasługuję na pochwałę z twych ust. Cały czas, gdy stałem na wprost tych ludzi, myślałem o tobie.

— O mnie? — spytałem zdziwiony.

— Tak, o tobie! Wyobrażałem sobie, jak ty zachowywałbyś się na moim miejscu i to decydowało o moich słowach i poczynaniach. Efendi, dopiero po twoim odejściu zrozumiałem, co znaczyłeś dla nas, dla całego plemienia. Stałeś się we wszystkim moim wzorem, do którego próbowałem się upodobnić.

— Brzmi to pięknie — zaśmiałem się. — Ale dzisiaj zapomniałeś o ostrożności i pozwoliłeś Hiluji spacerować po ulicach bez *czadom*.

— Masz rację. Zasłużyłem na naganę z twych ust. Ale i ty jesteś temu trochę winien.

— Ja? Dlaczego?

— Efendi, zawsze unikałeś rozmów z nami o swej wierze, ale czasami wymknęło ci się jakieś słowo, które zmuszało do przemyśleń. Powiedziałeś pewnego dnia, że nie tylko mężczyźni, ale także i kobiety mają duszę. Wystarczy tylko wejrzeć w ich twarze, aby mieć na to dowód. Często myślałem o tym, gdy patrzyłem na twarz kobiety, która zawładnęła moim sercem, a którą jako żonę zawdzięczam tylko tobie. I w końcu sam wiedziałem już, że moja Hiluja posiada duszę, taką samą jak moja.

— Mów dalej!

— I gdy wczoraj przybyliśmy do Masr, gdzie miałem jako szejk Beni Suef uzgodnić z kedywem pewne sprawy, przypomniałem sobie twe słowa, gdy zobaczyłem kobiety mijające mnie na ulicy, a wszystkie kryły swe twarze za *kwefem*. I wtedy ogarnęła mnie złość! Dlaczego dusza mojej żony ma być ukryta pod woalem? Czyżby była tak ohydna, że budziła wstręt przechodzących obok niej? Czyż nie o wiele większą obrazą dla niej byłoby zakrycie tej

twarży, która napawa mnie z dnia na dzień coraz to większą rozkoszą? Zakrycie jej, tak jak skrywa się paskudny wrzód, który gnije?

Milczałem, bo przecież musiałbym przyznać mu rację. A Hilal mówił dalej:

— Dlatego to ja sam zaproponowałem, aby odsłoniła swą twarz.

— Była to szlachetna myśl, ale niezbyt mądrze postąpiłeś. Mógłbyś...

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Powinienem wziąć pod uwagę tutejsze zwyczaje.

— Tak jak powiedziałeś. Zwyczaje tego kraju są inne niż na pustyni, gdzie kobiety przeważnie nie skrywają swej twarzy.

— Niestety, przekonałem się o tym za późno.

— Nie mówmy już o tym! Czy mogę zapytać gdzie mieszkacie?

— Kedyw zaprosił nas do swojego pałacu. Nie mogliśmy odmówić jego prośbie. Zaproponował również spacer w jego lektyce, ale jako dzieci pustyni zatęskniliśmy za powietrzem i słońcem.

— Czy nic nie planowaliście na dzisiejszy wieczór?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Zapraszam was i będę się cieszył, gdy zostanieie moimi gośćmi.

— Gdzie się zatrzymałeś w Masr?

— W pobliżu. Przybyłem statkiem, który należy do pewnego Anglika. Z pewnością się ucieszy i będzie chciał was poznać. Czy mogę was do niego zaprowadzić?

— Chętnie.

— Więc chodźcie!

Podprowadziliśmy ich do pomostu prowadzącego na pokład parowego jachtu. Siedział tam lord Lindsay wygodnie odpoczywając pod słonecznym parasolem. Zobaczył jak nadchodzimy i spojrzał na nas wyczekująco. Przedstawiłem mu swych gości i wyjaśniłem kim są. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu na rozmowę.

Chciałem bowiem towarzyszyć Hilalowi do El Chiyam. Nie ufałem Arnautom i podejrzewałem, że powodowani chęcią zemsty nie będą walczyć z nim *fair*. Do jeziora El Chiyam była dobra godzina drogi. Powiedziałem Hilalowi o swym planie towarzyszenia mu. Halef tylko na to czekał. Od razu stwierdził, że pod żadnym pozorem nie może pozwolić swojemu sidi iść bez niego.

Hilal wzbraniał się przez chwilę, obawiając się, że będzie to uznane za oznakę tchórzostwa, jeżeli przyprowadzi jeszcze kogoś na umówione miejsce walki. Gdy jednak upierałem się i stwierdziłem, że i tak pójdziemy za nim, ustąpił.

Lord Lindsay zauważył, że coś knujemy, ale ponieważ nie rozumiał języka jakim się posługujemy, zwrócił się do mnie:

— Mister, czy bylibyście tak łaskawi aby wreszcie dostrzec, że i ja jestem tu obecny? Siedzę tu już pół godziny bez ruchu jak sfinks, ale żaden dźwięk wypływający z waszych ust nic mi nie wyjaśnia. O co właściwie chodzi?

Wyjaśniłem mu krótko sytuację.

— Co? Arnauci? Jezioro? Niebezpieczeństwo? Więc idę oczywiście z wami. *Well!*

— Raczej nie jest to wskazane — odrzekłem śmiejąc się.

— Dlaczego?

— W tym rynsztunku?

— Rynsztunku? Czyżbyś miał na myśli mój garnitur? Czyż w nim nie jestem w stanie nikogo uratować?

— Wybacz! Jeszcze nawet nie wiemy, jak będziemy musieli działać. Być może będzie koniecznym upodobnić się do tubylców...

— Więc też nim będę. Możecie mnie też upodobnić, bez sprzeciwu z mojej strony, do Eskimosa lub Tungusa! Jest mi to obojętne. Ale chcę wyruszyć z wami. *Well!*

Wymagało to dużo wysiłku i cierpliwości z naszej strony, aby przekonać lorda o tym, by zrezygnował ze swej zachcianki. Ale tak bardzo miał mi to za złe, że wstał i od razu pospieszył do swej kajuty. Nie mogłem mu jednak pomóc; jego obecność wyrządziłaby nam o wiele więcej szkody niż pożytku.

Zostawiliśmy Hiluję pod opieką kapitana.

Wyruszyliśmy. Aby móc dostać się na drugą stronę Nilu musieliśmy najpierw przejść spory kawałek pod górę. Później most i dalsza wędrówka w kierunku północno-zachodnim przez pola obsiane kukurydzą i bawełną. Z lewej strony spoglądały na nas piramidy, z prawej nasz wzrok muskał bezkresną przestrzeń uprawnych pól. s.

Oczywiście, chciałem wypytać Hilala o Beni Sallah.

— *Kifhal es Sallah*, co słyhać u Beni Sallah? — rozpocząłem.

— *Niszkur Allah!* Dziękujemy Allachowi za jego dobroć! *Hal-let elbarakel* Jego błogosławieństwo spłynęło na nas wraz z twoim pojawieniem się!

— *Kifhal achakl* Czy twój brat cieszy się dobrym zdrowiem?

— *Sihhethu tajjib*, jak najlepszym.

— Czy wciąż jest zadowolony z kobiety, którą wprowadził do swego namiotu?

— Jak możesz o to pytać, efendi? Jest światłem i szczęściem jego życia.

— A ty i Hiluja? — wypytywałem.

— Na Allacha! Jesteśmy najszczęśliwymi ludźmi tego świata!

— Mam nadzieję — zaśmiałem się. — Kosztowało to dużo trudu, aby połączyć was w parę.

— Efendi, wiemy o tym i nigdy nie zapomnimy, co dla nas uczyniłeś. Gdybyś mógł wyruszyć z nami do naszego *duaru!* *Wal-lah! Billahl Tillahl* Cóż za radość zapanowałaby w oazie!

— Wierzę ci. Ale nie jest to możliwe.

— Zdziwiłbyś się — zapewniał żarliwie.

— Dlaczego?

— Z pewnością nie poznałbyś naszej oazy.

— Nie rozumiem. Czyżby nie stała tam już ruina? Czy też...

— Nie. Nie o tym myślę. Ale powiększyliśmy nasze pastwiska o olbrzymią powierzchnię.

— Jak to się stało? Skąd mieliście wodę? Jedyne źródło wody nie mogło wam tego zapewnić.

— Masz rację. Ale kazaliśmy wywiercić kilka nowych źródeł wody, które dostarczają nam tyle wody, że już w następnym roku planujemy ponowne poszerzenie powierzchni naszych pól.

— Wiercenie źródeł? — spytałem zadziwiony. — To kosztuje dużo pieniędzy. Bardzo dużo.

— Mieliśmy je — odrzekł dumnie Hilal.

— Skąd? Czyżbyście sprzedali część swych stad lub drogocennych koni?

— *Maschallah!* Cóż za pomysł! Dostaliśmy te pieniądze.

— Od kogo? — spytałem i już coś zaczęło świtać w mojej głowie.

— Od cudzoziemca el Moskofi.

— Aha, rozumiem! Zażądaliście od niego okupu?

— *Tamahm*, właśnie tak. Chciał nam dać czterysta tysięcy piastrów.

— — — Uczynił to dobrowolnie?

— Było jak mówisz. Nic nie zażądaliśmy od niego, ani jednego piastra. Ale śmierć Turka przeraziła go. Zresztą trzymaliśmy go w odosobnieniu, cały czas pod strażą. Nie trwało to długo, gdy sam zaproponował nam pieniądze. Początkowo jeszcze się ociągaliśmy...

— Ale potem jednak przyjęliście pieniądze?

— Kilka dni później Rosjanin podwoił sam od siebie sumę na osiemset tysięcy piastków. Oczywiście, wtedy nie powiedzieliśmy „nie”.

— Tego by jeszcze brakowało! To małe krwiopijstwo z pewnością mu nie zaszkodziło.

— Nam zaś przyniosło szalone korzyści. Już teraz jesteśmy w stanie hodować dwa razy więcej zwierząt, niż w czasie gdy u nas byłeś. Tak, możliwości, które otworzyły się przed nami dzięki nowym źródłom wody, są tak olbrzymie, że Tarik oddał Beni Suef większą część ich wielbłądów i koni zabranych im po przegranej walce.

— To było mądre posunięcie z jego strony.

— Tak, dzięki temu z dawnych wrogów uczynił przyjaciół. Teraz pogodzili się już z faktem, że narzucono im jednego z Beni Sallah jako szejka.

— Jak widać, Tarik radzi sobie wyśmienicie jako władca.

— Tak panie, Beni Sallah kochają go jak ojca, mimo jego młodego wieku. Gdybyś mógł ze mną do niego pojechać!

— Powiedziałem ci już, że tym razem jest to wykluczone. Ale możesz Badii i Tarikowi przekazać, że serdecznie cieszę się z ich szczęścia.

To, co usłyszałem od Hilala w czasie naszej długiej wędrówki do Birket el Chiyam, nappełniło mnie naprawdę głębokim zadowoleniem. Byłem przecież stosunkowo krótko gościem plemienia Beni Sallah, a wyglądało na to, że wywarłem na nich niemały wpływ; o wiele większy niż się tego spodziewałem. Co więcej, ten wpływ nie zmniejszył się wraz z moim odejściem, ale się nawet umocnił; wywnioskowałem to z dziwnie brzmiących z ust mahometanina słów, gdy tłumaczył się z mojego zarzutu, że pozwolił Hilui iść bez *czadom* w takim mieście jak Kair. Mogłem być więc dumny zarówno z Tarika jak i Hilala, którymi na początku naszej znajomości odrobinę opiekowałem się jak matka.

Nasza ożywiona rozmowa była przyczyną, że potrzebowaliśmy odrobinę więcej czasu na drogę, niż zakładaliśmy. Gdy osiągnęliśmy jezioro, nie byliśmy tam pierwsi, Arnauci byli tam już i z niecierpliwością czekali na Hilala.

Birket el Chiyam o tej porze roku nie zasługuje z pewnością na miano jeziora — nie było w nim wiele wody. Gdy wylewa Nil, staje się ono znaczącym zbiornikiem, ale gdy tylko rzeka

wraca do swojego koryta, dopływ zanika, woda paruje, a na płaskim dnie jeziora przez wiele miesięcy w roku można dostrzec tylko kilka większych kałuż. Mimo to na jego brzegu zakorzeniła się roślinność, która teraz nie była zbyt bogata, ale w czasie pory deszczowej rozrastała się bujnie, a zwłaszcza wysokie jak dorosły mężczyzna było sitowie.

Arnauci wyglądali na bardzo rozgniewanych, gdy zobaczyli, że Hilal nie przybył sam. Najpierw naradzali się, a później podszedł ku mnie *onbasi*.

— Czego tu szukacie? Idźcie swoją drogą!

— Nasza droga prowadzi nas prosto na to miejsce. Zostaniemy więc.

Onbasi zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem i podszedł znów do swoich. Poszeptali między sobą, a później *onbasi* zwrócił się znów do mnie.

— Kim jesteście?

— To nie ma znaczenia. Zresztą, znacie nas już, przyglądaliśmy się walce. Nie będziemy wam przeszkadzać, jeżeli będziecie walczyć uczciwie. Jeżeli jednak będzie inaczej, nie zawaham się poczęstować was kulą.

— Oho! Gadasz jak gdybyś był paszą.

— Gadam tak, jak mi się podoba. Jeżeli Hilal chce z wami walczyć, to jego rzecz. Nie będę go od tego zamiaru odwodził. Ale żądam uczciwej walki!

— Nie musimy znosić upokorzenia, aby jacyś przypadkowi ludzie nam przeszkadzali!

— Nie przeszkadzamy przecież!

— Nie radziłbym wam tego czynić! Nie jesteście w to zamieszani. Rozwiążemy tę sprawę między sobą. Jeżeli chodzi o mnie, to możecie się przyglądać. Ale to wszystko. I nie próbujcie czynić nic więcej. W przeciwnym razie przemówią nasze karabiny.

— Nasze również!

Arnauci stali ciasno jeden obok drugiego; ich oczy błyszczały dziko i obserwowały nieustannie mnie i moich towarzyszy. Mieli nad nami przewagę liczebną, nie chcieli aby ktoś mieszał się do pojedynku, ale widzieli też naszą broń i musieli sobie powiedzieć, że przewyższamy ich uzbrojeniem. Dlatego też uważali za wskazane uniknięcie zatargu.

Zauważyłem, że nie wszyscy Arnauci przybyli na umówione miejsce. Brakowało jednego. Nie byłem jedynym, który to spostrzegł.

— Gdzie podziewa się Achmed? — spytał *onbasi*. — Nie możemy dłużej czekać.

— Miał wpaść jeszcze do handlarza tytoniem. Wkrótce nadejdzie — odpowiedział mu jakiś głos.

Onbasi uspokoił się i sprawdził jeszcze raz wzrokiem okolicę. Potem spytał Beduina:

— Jaką odległość wybierasz? Ile kroków?

— Ile chcecie, jeden lub pięćdziesiąt — padła dumna odpowiedź.

— Tylko jeden krok? To byłby twój koniec.

— Chcecie spróbować? Co to za pagórek po drugiej stronie?

— Grób.

Na brzegu jeziora, całkiem w pobliżu znajdowało się niewielkie wzniesienie a na nim wśród zarośli kamienna płyta.

Podszedłem tam z Hilalem. Na płycie widniał zatarty napis, który odczytałem z trudem:

Tu spoczywa James Burton

Esq. z Leeds

zmarł w kwietniu 1816, ukąszony przez żmiję

Hilal podniósł rękę ku czołu.

Na pustyni nie ma poświęconej ziemi. Cała Sahara jest jednym wielkim cmentarzyskiem. Arab jest pochowany, tam gdzie umiera. Ale miejsce, gdzie zmarły oczekuje na zmartwychwstanie, jest dla mieszkańców święte.

— To tylko Anglik — wyjaśnił *onbasi*, zauważając oznakę głębokiego szacunku, który okazał grobowi Hilal.

— Czyżby Anglik nie posiadał duszy? — zapytał Hilal poważnie. — Czyż nie zmartwychwstanie w dniu sądu? Oby Allah łaskawie przeprowadził jego duszę przez Ssireth, Most Śmierci!

— To był niewierny i odszedł splamiony grzechem — odrzekł pogardliwie Arnaut. — Słyszysz się go nocą wyjącego tu na brzegu. Ryczy ze strachu, że musi wędrować do piekła. Nie chciałbym być tu w pobliżu nocą. Dlatego pospieszmy się! Sądzę, że będziemy strzelać z odległości czterdziestu kroków. Kto chce inaczej? Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

— Gdzie ustawią się walczący?

— Niech grób będzie pośrodku — zaproponował jeden z Arnautów, jak mi się wydawało podejrzanie szybko. — Dwadzieścia kroków w przód i tam ustawi się Arab i dwadzieścia kroków w tył, gdzie stanie jeden z nas. Ty, *onbasi*, nie jesteś wśród tych, którzy walczą. Będziesz dawał znak. Gdy policzysz do trzech, pojedynkujący się niech wystrzelą równocześnie.

— Dobrze, może tak być — zgodził się Hilal. — Najpierw jednak złożymy zgodnie z obyczajem pustyni *jamihn el ki tal*.

— Przysięgę walki? — spytał *onbasi*. — Co to takiego?

— Każdy z walczących ma przysiąc, że walka będzie uczciwa a zwycięzca nie padnie ofiarą podstępnej zemsty. Czy jesteście gotowi złożyć taką przysięgę?

— Tak — odrzekł *onbaszi* w imieniu wszystkich.

— Właśnie tego rodzaju przysięgę składa się przed szejkiem lub imamem. Ponieważ jednak ich tu nie ma, musimy zwrócić się do zmarłego. ,

— Do niego? Jak to sobie wyobrażasz?

— Grób to szacowne miejsce, nawet gdy spoczywa w nim ciało niewiernego. Przysięga przy grobowcu jest tak samo ważna jak przysięga w meczecie. Podejdźcie więc i połóżcie prawe ręce na płycie. Potem powtarzajcie za mną słowa przysięgi.

— Co przyszło ci do głowy? Według naszych zwyczajów nie jest konieczna taka przysięga.

— Jeżeli tego nie uczynicie, muszę założyć, że knujecie jakiś podstęp. A w tym przypadku odchodzę rezygnując z walki z wami.

— Oho! — zawołał jeden z Arnautów. — To ty nas obraziłeś i uczyniłeś ręce *tszausza* bezwładnymi. Pomścimy to! I zmusimy cię do walki!

— Uczynię jak zechcę. Czy złożycie przysięgę?

— Tak, zrobię to! — odrzekł *onbasi*. — I ja żądam uczciwej walki. Połóżcie więc ręce na kamieniu nagrobnym!

Wydawało mi się, że niektórym z Arnautów nie było to na rękę. Dla mahometanina przysięga jest rzeczą świętą. Ogarnął ich strach przed tym grobem, gdzie spoczywała błędząca nocą dusza. A mimo to posłuszni swojemu przywódcy stanęli jeden tuż obok drugiego, aby dotknąć płytę dłonią. Również Hilal położył rękę na grobie.

— Czy jesteście gotowi powtarzać za mną przysięgę?

— Tak — odrzekli wszyscy.

— Więc mówcie: W imieniu Boga najmiłosierniejszego! Tu, przy tym grobie przysięgamy, że nie knujemy żadnych podstępów, i że zwycięzca będzie mógł opuścić to miejsce nie obawiając się złośliwości. Tego, kto nie dotrzyma tej przysięgi, niech uwięzi duch tego grobu i nie zostawi go w spokoju dniem i nocą! Przysięgamy na Allacha najsprawiedliwszego ze sprawiedliwych!

Wszyscy powtarzali te słowa z przerwami, które czynił Hilal; widać było, że wcale nie było im do śmiechu. Bo oto wieczór zaczął rzucać swe pierwsze cienie nad tym opustoszałym skrawkiem ziemi i już wkrótce powinien zapaść zmrok. Arnauci zaczęli czuć się nieswojo.

Gdy przysięga została złożona, jeden z nich powiedział:

— Cóż może wiedzieć duch Anglika, który zmarł dawno temu o tym, co tu się stanie? Już widzę jak wychodzi z grobu, aby pochwycić któregoś z nas. To śmieszne! Lepiej zacznijmy tę walkę!

— Tak — powiedział *onbasi*. — Wreszcie. Dawajcie kości. Ten, który wyrzuci najwyższą ilość oczek, oddaje pierwszy strzał.

Rzucono kości. Jeden z nich wyrzucił siedemnaście. Wziął swą strzelbę i odliczył dwadzieścia kroków w tył; Hilal również sięgnął po broń i podszedł dwadzieścia kroków w przód. Potem odwrócił się. Obaj walczący stanęli na wprost siebie tak, że grób stanowił dokładnie linię środkową. Arnauci odsunęli się, aby zejść z pola strzału, a ja i Halef stanęliśmy obok Hilala w odległości kilku kroków od niego.

— Uwaga! — zawołał teraz *onbasi*. — Odliczam! Na trzy strzelacie! *Wahid, itnehn...*

Hilal podniósł swój karabin. Kolbę przyłożył już do policzka. Jego przeciwnik uczynił to samo; nadszedł czas najwyższego napięcia. W następnej sekundzie musiały paść strzały. Ale zanim *onbasi* zdążył wymówić swoje zgubne *talaht*, wydarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał. Padł strzał. Ale nie ze strzelby któregoś z mających brać udział w walce. Oddano go z grobu. W tym samym momencie płyta odsunęła się i wyczołgał się spod niej człowiek z prędkością wystrzelonej z armaty kuli. Przerażony, krzyczał na cały głos. Był to Arnaut, którego nieobecność wydała mi się podejrzana.

— Do wszystkich diabłów! — zawołał przerażony *onbasi*. — Achmed, ty! Ty w tym grobie? Dlaczego tak krzyczysz?

Achmed rzucił się w kierunku grupy swych kompanów i zaczął głośno lamentować.

— *Allah il Allah! We Mahomet rassul Allah!*

— Co się dzieje? Co tam jest w tym grobie? — zapytał *onbaszi* trzymając mocno krzyczącego za ramiona i potrząsając nim.

— On! Duch!

— Czyj duch?

— Anglika!

— Oszalałeś?!

— Tak, on tam jest! Czuję jego dotyk! Ten Arab powiedział przecież w przysiędze, że ma nas schwytać, gdy uciekniemy się do podstępu. Na Allacha! On tu idzie!

Rzeczywiście. W tym momencie duch Anglika przeciskał się przez szczelinę grobowca. Najpierw pojawił się szary cylinder. Potem krawat w szarą kratę a potem frak z tej samej szarej, kratkowanej materii, aż w końcu ta sama krata widoczna na spodniach. I oto przed nami stanął w całej okazałości nasz dobry stary znajomy lord Lindsay. To znaczy był tym, ale tylko dla nas: Hilala, Halefa i mnie. Dla tych, którzy go znali. Dla Arnautów jednak był czymś zupełnie innym. Był duchem!

— Na Mahometa! Na Allacha! — krzyczeli przerażeni. Anglik wyciągnął swe długachne ramiona i rzucił się w podskokach w ich stronę.

— Zjawa! Duch! Uciekać! Ratujcie się! Niech Allah uchroni nas od szatana o dziewięciu ogonach!

Tak krzyczano i wołano zewsząd. Arnauti rzucili w pośpiechu swą broń i uciekali co siłą, lord Lindsay za nimi. I on krzyczał na całe gardło. Moi dwaj przyjaciele byli nie mniej zdziwieni niż ja, widząc wyczołgującego się z piwniczki grobu lorda, który jak sądziliśmy siedzi sobie wygodnie na pokładzie parowca. Było bardzo trudno wytłumaczyć jego obecność w tym miejscu.

Gdy zobaczyliśmy dzielnych Arnautów uciekających jak szaleni i za nimi Anglika trzymającego w dłoni prawdziwą trąbkę na słonie, nie mogliśmy się dłużej powstrzymać i wybuchnęliśmy serdecznym śmiechem.

Po dłuższej chwili lord powrócił ze swojego pościgu za uciekającymi. Stawiał bardzo długie kroki i już z oddali wymachiwał długimi ramionami, a gdy stanął przed nami jego twarz rozjaśnił promienisty uśmiech.

— Wspaniała przygoda, nieprawda? Nie sprzedałbym tych przeżyć za żadne pieniądze świata! Wspaniały żart, well!

Słyszając jego słowa, nie mogliśmy ponownie stłumić fali śmiechu.

— Bardzo zdziwiliśmy się, gdy zobaczyliśmy pana tutaj — powiedziałem w końcu, gdy atak śmiechu minął. — Jak pan, lordzie, znalazł się tutaj?

— Jak? Oczywiście na nogach!

— Miał pan przecież pozostać na pokładzie parowca!

— Powinienem, ale nie chciałem. Jestem lord Lindsay, czy rozumie pan? Zaraz też wyruszyłem w drogę. Wcześniej kazałem przynieść sobie na statek mapę tych okolic. Przeprowadziłem się łodzią przez Nil a potem prosto tutaj. *Yes!*

— Cóż za nieostrożność!

— Nieostrożność? To był najmądrzejszy pomysł, jaki miał kiedykolwiek lord Dawid Lindsay.

— Ale wchodziło w grę pana życie!

— No! Z pewnością nie. Nie moje, lecz życie tego godnego szacunku Araba wisiało na włosku. Chciano go zastrzelić. Zrozumiano!

— O tym wiemy. Dlatego przecież wyzwano go na pojedynek.

— Nonsens! Nie mówię o tym. Chciano go zastrzelić z ukrycia.

— Tego nie rozumiem.

— Czyżbyś nie słyszał huku wystrzału wydobywającego się z grobowca?

— O tak!

— *Well!* Ten strzał był przeznaczony dla Hilala. Ten Arnaut ukrył się w grobie, aby z ukrycia oddać morderczy strzał.

— To prawda! Myślałem, że ci ludzie planują jakąś zasadzkę.

— *Weil*, przypuszczałem tak samo, gdy ten przeklęty wojak wystawił lufę swojej flinty i zaczął celować w Hilala.

— A jak pan znalazł się we wnętrzu grobu?

— Czołgając się. Czy też sądzicie, że przybyłem parowcem w ten przedział pierwszej klasy?

— Ależ skąd! Ale jak pan wpadł na ten pomysł? Ukryć się w tym grobie tuż obok Arnauta?

— Obok Arnauta? Nigdy nie przyszłoby to na myśl lordowi Lindsay. Byłem tam wcześniej niż on. *Yes.*

— Mogę to sobie wyobrazić.

— Przybyłem tutaj, aby wyświadczyć szejkowi przysługę. Chciałem koniecznie być obecny, gdy go będziecie ratować. Dlatego biegłem tak szybko, jak jeszcze nigdy w ciągu swojego życia i szczęśliwym trafem znalazłem to miejsce.

— Czy nie było tu jeszcze żadnego z Arnautów?

— *No!* Byłem sam. Nawet zbyt bardzo sam. Szukałem kryjówki dla siebie. Chciałem skryć się w sitowiu, lecz było zbyt ostre.

— I wtedy wpadł pan na pomysł ukrycia się w grobie?

— Tak, płyta była nie mała lecz lekka. Szybko ją odsunąłem i wczołgałem się do środka nie pytając sir Burtona z Leeds o pozwolenie. On sam zresztą gdzieś wyszedł, bowiem nie mogłem nigdzie dostrzec jego szczątków.

— Czy był pan w stanie obserwować co działo się na zewnątrz?

— Nawet doskonale. Wspaniały widok! Płyta nagrobka miała ubity róg tak, że mogłem przez nią wszystko widzieć.

— A potem?

— Potem przyszło trzech Arnautów. Zatrzymali się przy grobie. Powiedzieli coś, czego nie zrozumiałem i zdjęli płytę. Jeden z nich zaszył się w grobie tuż koło mnie; ja podczołgałem się daleko w tył grobowca.

— Czyżby wgłębienie była aż tak duże?

— Bardzo! Było nadzwyczajnie głębokie! Musiałem się bardzo cicho zachowywać i przez dłuższy czas nic nie słyszałem. W końcu usłyszałem wasze głosy i pomyślałem, że pojedynek już się rozpoczyna.

— Podziwiam, *mylord*, waszą cierpliwość i wytrzymałość.

— Miałem ku temu wszelkie powody! *Weil*, w grobowcu było bardzo ciemno, ale przez otwór wpadało tyle światła, że zauważyłem dzięki temu jak Arnaut chwycił swą strzelbę i wystawił jej lufę przez otwór ubitego narożnika.

— I wtedy wiedział pan już co zamierza?

— *Yes*, nie jestem przecież w ciemności; powiedziałem sobie: ten człowiek coś knuje, w przeciwnym razie nie ukrywałby się tutaj.

— Ależ, mój drogi sir! I pan się tam ukrył!

— Proszę milczeć! — zganił mnie. — Jestem Dawid Lindsay i nie knuję żadnych intryg. Zbliżyłem się więc cicho do niego, a wtedy usłyszałem na zewnątrz słowa: *wahid, itnehn*. Co prawda, nie rozumiem po arabsku, ale domyśliłem się, że zaraz padnie „trzy”.

— I właśnie wtedy chciał ten człowiek wystrzelić.

— *Yes*. Gdzie stał Hilal?

— Dwadzieścia kroków w tę stronę.

— A jego przeciwnik?

— W tej samej odległości w przeciwnym kierunku.

— *Weil*. Wszystko więc jasne. Z wnętrza tego grobowca strzał był tak pewny, że nic nie mogłoby Hilalą uratować. Strzał padłby w tym samym czasie co strzały pojedynkujących się. Nikt nie przypuszczałby, że śmiertelna kula została wystrzelona z grobowca. Musiałem temu zapobiec. Nie namyślając się więc dużo, chwyciłem tego podstępного człowieka za kark i dałem mu klapsa. *Yes!*

— To było wspaniałe posunięcie!

— Dziękuję bardzo! Aż trudno wypowiedzieć, jaką dumą napawają mnie wasze słowa.

— Co było potem?

— Ten człowiek przeraził się tak, że nacisnął spust, ale kula nie trafiła celu. Później rzucił karabin i szybko zaczął mocować się z płytą. *Well!* Cóż za wspaniały żart!

— A później wyszedł pan ze swej kryjówki?

— *Yes*, ale nie od razu. Musiałem najpierw obadać sytuację. Ale gdy was zobaczyłem, mogłem spokojnie rzucić się w sam środek tych obwiesiów!

— To był niezrównany widok!

— *Yes*. Wspaniała przygoda! Z miejsca zapłaciłbym tysiąc funtów, gdyby ktoś tyle *zażądał* za to widowisko!

— Nikt od pana nie *zażąda* tej sumy — zaśmiałem się. — Więc w ten sposób spełnił pan swą powinność?

— *Well!* Jeżeli ja to mówię, to było tak naprawdę. Sądzę, że ci ludzie wzięli mnie za ducha Anglika, który tu spoczywał.

— Bez wątpienia! Wszystko na to wskazywało!

— Widzicie więc, że zastrzelonoby podstępnie Hilalą, gdyby nie było tu lorda Dawida Lindsay.

Uściskałem mu dłoń.

— Proszę wybaczyć, że użyłem w stosunku do pana słowa „nieostrożność”. Działał pan tak, jak według świetnie ułożonego planu.

Coś na kształt wzruszenia przemknęło po twarzy lorda.

— A więc Dawid Lindsay nie jest zupełnym niedołęgą?

— Co panu przyszło na myśl? Okazał się pan dzisiaj nie tylko potrzebnym, ale i wszechstronnym człowiekiem. Stał się pan Anglikiem — zjawą i zarazem aniołem stróżem.

— To wspaniale, że doszliście do takiego wniosku! Zapamiętajcie to więc i weźcie sobie do serca! *Well!*

Oczywiście, Hilal nie rozumiał ani słowa z tej prowadzonej po angielsku rozmowy. Uznałem za konieczne, aby mu wszystko pokrótce wytłumaczyć. Beduin przysłuchiwał się z iście stoickim spokojem.

— Więc zawdzięczam temu Anglikowi życie — powiedział chwilę później.

Uściskał dłoń lorda. Lord nie mógł zrozumieć co do niego powiedział, więc chętnie podjąłem się roli tłumacza. Później Lindsay zaczął wydobywać z grobowca swój ekwipunek i dopiero teraz ujrzeliśmy, jak zaopatrzył się na wyprawę: w dwa karabiny, dwa rewolwery, dwa pistolety, parasol i lunetę. Dziękuję Bogu, że to nie ja byłem tym, który musiał dźwigać jego rynsztunek. Broń Arnautów pozostawiliśmy tak, jak ją porzucili. Byliśmy pewni, że ci ludzie zjawiają się tutaj rano i sami odszukają swe zguby.

Później nastąpił powrót w szampańskim nastroju. Lord był w wyśmienitym humorze i od czasu do czasu obrzucał podstępnych Arnautów kunsztownymi wyzwiskami.

Gdy poważnie zastanawiam się jeszcze raz nad całym tym zajściem, to muszę zdjąć zarzut nieuczciwości z jednego człowieka -z sierżanta. Z pewnością nic nie wiedział o planowanym morderstwie, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Byłem zdania, że plan ten wyszedł od pozostałej trójki, którą obserwował lord. Pozostali nie mieli pojęcia o niczym.

Oczywiście, nie muszę opisywać, jak wielka była radość Hiluji, gdy zobaczyła swojego Hilala całego i zdrowego.

Młody szejik chciał koniecznie zabrać mnie następnego dnia do kedywa, aby przedstawić mnie jako człowieka, któremu Beni Sallah zawdzięczają swoją obecną pozycję, ale zdecydowanie odmówiłem. Nie było to oczywiście w smak mojemu Halefowi, który chciałby być przedstawiony wicekrólowi. Musiałem więc wysłuchać całą listę jego zarzutów „pełnych miłości upomnień”. Jeżeli zależałoby to od niego, nie darowałby sobie tej gratki i nie zastanawiałby się ani chwili.

* * *

Nie pozostało już dużo do opowiedzenia. Spędziliśmy z Hilalem i Hilują przemyle wieczór na pokładzie statku.

Sprawy lorda, wbrew oczekiwaniom, nie wymagały dłuższego pobytu i już następnego dnia mogliśmy wyruszyć. Hilal najchętniej zabrałby mnie do Beni Sallah, ale nie mogłem spełnić jego prośby. Nadszedł czas pożegnania.

Następnego dnia nasz parostatek odcumował od wybrzeży portu Bulak. Jeszcze długo widzieliśmy smukłe postacie obojga dzieci pustyni, które patrzyły za nami, nieruchomo stojąc na brzegu. Wiedziałem, że nie zapomną mnie tak, jak i ja ich.

Podróż do Jaffy na Ziemi Świętej trwała krótko i minęła bez szczególnych wydarzeń. Właśnie w Jaffie mogliśmy znów wsiąść na konie i dane mi było rozkoszować się jazdą na swoim rumaku Rih. Na dłuższy czas była to moja ostatnia przejażdżka.

Już wkrótce przed nami wynurzyły się mury Jerozolimy. W świętym mieście zostaliśmy osiem dni, które minęły o wiele za szybko.

Czy muszę opowiadać, jak bardzo bolało mnie pożegnanie z moim koniem? Jeszcze bardziej, oczywiście, pożegnanie z moim Halefem, który pomimo swoich drobnych wad zyskał me serce. Już od dawna przestał być moim służącym i stał się najwierniejszym i skłonnym do wszelkich poświęceń przyjacielem. Przyjacielem, jakiego już nigdy nie miałem, wyłączając Winnetou, wodza Apaczów, do którego byłem jeszcze bardziej przywiązany.

Wreszcie nadszedł moment pożegnania. Omar Ben Sadek dosiadł konia zdobytego od Aladszy a Halef mojego Rih. Było jeszcze bardzo wcześnie rano, nie po południu po *asr* — mahometańskiej modlitwie, gdy według zwyczajów Koranu należało rozpoczynać podróż. Ale Halef już od dawna nie brał wszystkich zasad tak dokładnie. Jego wiecznie powtarzane: „I tak cię jeszcze nawrócę, czy tego chcesz, czy nie” stało się powtarzane coraz rzadziej, aż wreszcie zamilkło zupełnie.

I gdy teraz, ze łzami w oczach, na szczycie Góry Oliwnej ścisnął mą dłoń, przecisnęło się przez jego usta, jak słońce przez chmury, urzekające a przecież pozornie sprzeczne, bezładnie brzmiące wyznanie:

— Sidi, nie potrafię wymówić teraz wielu słów. Nie dzisiaj! Byłem głupi, że za wszelką cenę chciałem cię nawrócić na swoją wiarę, bo twoja wiara jest o wiele lepsza niż moja. Niech będą dzięki Allachowi i Prorokowi, że pozwolił, aby nasze drogi się spotkały, bo dzięki tobie byłem szczęśliwszy. Oby Prorok wynagrodził ci to siódmym niebem!